



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

4(18) 2011

Rok V

www.nestor-krasnostaw.eu

ISSN 1898-1801



fot. Michał Żywot



ZABYTEK Z OKŁADKI

Zespół pałacowo-parkowy STRYJÓW. Za bramą wjazdową i kordegardą z 1897 roku, kasztanowa aleja prowadzi do ruin eklektycznego pałacu, zbudowanego w 1818 roku, który niegdyś należał do rodziny Smorczewskich. Otaczał go jeden z nielicznych na Lubelszczyźnie, zaprojektowanych przez W. Kronenberga przypałacowy park krajobrazowy o charakterze romantycznym. Niegdyś rosło tu 450 drzew należących do 13 gatunków.



fot. Michał Żywot

Spis treści

Słowo redaktora	2
Andrzej David Misiura	
Bogna, tak trzymaj! „Złota Tarka” dla Krasnegostawu ...	2
Zamek w Krasnymstawie	3
Tomasz Chuszcza	
Krasnystaw w ostatnich latach I Rzeczypospolitej	6
Artur Capała	
Początki kolei w Krasnymstawie	13
Ryszard Maleszyk	
W gościnnych murach krasnostawskiego muzeum	16
Ryszard Maleszyk	
Krasnystaw w planach COP	17
Lucjan Cimek	
Sylwetki biskupów chełmskich i chełmsko-lubelskich..	19
Kazimierz Stolecki	
Krajobraz z Nepomucenem. Część II.	
Kułt św. Jana Nepomucena w XIX stuleciu	26
Agnieszka Szykuła-Żygawska	
Rzecz o wójcie Michale Franczaku (1873-1930)	28
Sławomir Włodarczyk	
O Stanisławie Wójciku	30
Grażyna Wójcik	
Sybiraczka	32
Irena Iwańczyk	
Poezja - Wojciech Wencel	36
Poezja - Edward Franciszek Cimek	36
Bolesław Biegalski - zapomniany rzeźbiarz i pisarz.	
Z chłopskiej chaty do Paryża	37
Teresa Kaczorowska	
Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej -	
Wielokulturowe Centrum Historii	
i Sztuki w Przemyśle	45
Piotr Szal	
Prace z konkursu „Legendy ziemi krasnostawskiej”	48
Czekolada	58
Marta Karauda	
Poezja - Lucyna Lipińska	61
Poezja - Anna Czarniecka	62
Poezja - Lidia Kosk	62
Zapach czasu	64
Jan Henryk Cichosz	
Poezja - Marta Fox	64
Nawroty pamięci	65
Bernard Homziuk	

Spis treści

Poezja - Stanisław Ostapowicz	66
Poezja - Katarzyna Leni Bielska	68
Poezja - Dariusz Jacek Bednarczyk	69
Poezja - Iwona Chudoba	70
Miss Świniobicia	72
Saturnin Naliwajko	
Poezja - Jerzy Ładziak	75
Wielki wybuch	75
Saturnin Naliwajko	
To nie fraszka - aforyzmy w cenie	76
Anegdota krasnostawska	77
Leszek Janeczek	
Nieobecny dziedzic Surhowa	78
Artur Borzęcki	
Zmierch PRL	79
Magdalena Górecka	
Rozmowa z Martą Fox	81
Jan Henryk Cichosz	
Spotkanie z poetą	84
Stanisław Koszewski	
Poeci bez granic	85
Artur Borzęcki	
Poezja - Mirosław Iwańczyk	85
Koleją do literatury	86
Filmowe podróże MDKF „Iluzjon”	86
Ewa Magdziarz	
Strach z tezą	89
Henryk Radej	
Z podróży do raju (II)	90
Krzysztof Kułig	
Poezja - Henryk Radej	93
Rodzinne manowce	94
Henryk Radej	
Dukaty i legendy	95
Nagroda Mackiewicza	
z Marszem Niepodległości w tle	96
Elżbieta Szadura-Urbańska	
Poezja - Wojciech Wencel	99
Iwaniuk trwa	100
Andrzej David Misiura	
Poezja - Czesław Markiewicz	101
Święta ostatnie?	102
Henryk Radej	



NR 4(18) 2011 NESTOR Czasopismo Artystyczne



Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Piłat (skład i łamanie)

Stale współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnystaw)
Artur Borzęcki (Krasnystaw)
Leszek Janeczek (Krasnystaw)
Mariusz Kargul (Krasnystaw)
Henryk Radej (Chełm)
Kazimierz Stolecki (Puławy)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykuła-Żygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Dziękujemy Autorom, którzy zrezygnowali z honorariów
za swoje publikacje w niniejszym wydaniu.

Wydawca:

Oficyna Wydawnicza „ELIPSA”
ul. Piłsudskiego 2, 22-300 Krasnystaw, tel. (82) 576 60 09,
Konfederacja NESTOR,
www.nestor-krasnystaw.eu, e-mail: david57am@op.pl

Montaż elektroniczny:

Paweł Piłat

Druk:

Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnystaw

Nakład sponsorowany przez:

Starostwo Powiatowe w Krasnymstawie
Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie
Przedsiębiorstwo Energoremont w Krasnymstawie

Słowo redaktora



Przed wydaniem każdego numeru „Nestora” mamy ten sam dylemat. I nie chodzi tu wcale o brak materiałów, bo pod tym względem współpracujący z nami autorzy nie zawodzą. Plany komplikuje bardziej prozaiczny problem, czy znaleźć się środki na druk. W zasadzie niewiele jest czasu na rozmyślanie o pieniądzach, ponieważ do późnych godzin nocnych zajmuje nas praca redakcyjna. Składa się na nią dobór tematów, starania o zdjęcia i ilustracje, uściślanie faktów, a nawet ponaglanie autorów (bo terminy go-nią) i mnóstwo innych zabiegów, które pozostaną już tajemnicą redakcyjnej kuchni.

Jednym z najważniejszych zadań jest żmudna, wielofazowa korekta. Po niej następują częste konsultacje z autorami, bo przecież każdy popełnia błędy. To domena niestrudzonego sekretarza redakcji, Wiesława Krajewskiego. Od początku nad szatą graficzną okładki panuje konsekwentnie i niepodzielnie Tadeusz A. Kiciński, a montaż elektroniczny od przeszło roku sprawuje cierpliwy i posłuszny do granic możliwości na setki (to nie przesada!) naszych uwag Paweł Piłat. Jest on jednocześnie twórcą strony internetowej www.nestor-krasnystaw.eu, która od niedawna funkcjonuje pod nowym adresem.

Gdy niemalże straciłem nadzieję na ukazanie się niniejszego wydania, pilnie zadzwonił prezes Radosław Chmielewski z wiadomością, że Rada Nadzorcza Banku Spółdzielczego w Krasnymstawie udzieliła nam długo oczekiwanego wsparcia, a niezawodny i długoletni sympatyk „Nestora”, właściciel przedsiębiorstwa Energoremont Kazimierz Rusznik zadeklarował sfinansowanie aż połowy nakładu! To się nazywa Mikołaj!

W ramach stałej pomocy pamiętał o nas jak zawsze Starosta Krasnostawski Janusz Szpak. Reszta była już w rękach Wydawnictwa ROMAR w Krasnymstawie, którego właścicielami są mistrzowie sztuki drukarskiej bracia Roman i Marian Furmankowie. Oni to z wielką zniżką sprawili, że „Nestor” wraz ze świątecznymi życzeniami tuż za Dzieciątkiem Jezus pojawił się w domach naszych Czytelników.

Andrzej David Misiura

Bogna, tak trzymaj! „Złota Tarka” dla Krasnegostawu

W sierpniu odbył się XLI Festiwal Old Jazz Meeting „Złota Tarka” Iława 2011. Jury w składzie: Maria Kotewicz, Zbigniew Konopczyński (przewodniczący), Janusz Szrom, Andrzej Śmigielski i Aleksander Pałac (sekretarz jury), po przesłuchaniu 13 zespołów i solistów-wokalistów wydało jednomyślny werdykt. Główna nagroda, Złota Tarka przypadła duetowi instrumentalno-wokalnemu Bogna Kicińska & Kuba Cichocki Duo! W programie konkursowym rewelacyjnie przedstawili oni: *Don't let it bother You i Handful of keys* F. Wallera. W kategorii wokalistów Złotą Tarkę otrzymała Anna Frączek. Przyznane zostały także honorowe wyróżnienia, które otrzymali: Zespół Coco Dixie - ze szczególnym uwzględnieniem trębacza Erwina Żebro, Bartosz Kalicki - piano, Dorota Zygałdo - wokalistka oraz Grzegorz Tarwid - (najmłodszy uczestnik konkursu) - piano.



Przypomnijmy, od dwóch lat krasnostawianka Bogna Kicińska doskonali swój warsztat w Nowym Jorku. W wakacje do serii swoich sukcesów, dołączyła kolejny - „Złotą Tarkę”. Bogna swojego talentu użycza również w naszym środowisku, komponując muzykę do spektakli Teatru Pokoleń w Siennicy Różanej. Bogna, tak trzymaj!

(adm)

**Spokojnych i radosnych świąt Bożego Narodzenia,
Czytelnikom, Sponsorom i Współpracownikom
życzy zespół redakcyjny Czasopisma Artystycznego „Nestor”**

Tomasz Chuszcza

Zamek w Krasnymstawie



Jedną z najznakomitszych budowli w dziejach Krasnegostawu był zamek warowny nad Wieprzem. Niestety, podobnie jak wiele ciekawych elementów architektury naszego miasta, zniknął on z jego panoramy rozebrany do gruntu. W latach 80. i 90. XX w. przeprowadzono badania archeologiczne, które potwierdziły lokalizację zamku w rejonie dzisiejszego amfiteatru oraz „zaplecza” szkoły zawodowej. Niestety, to odkrycie, a w zasadzie potwierdzenie niewiele zmieniło. Pomimo zaleceń konserwatorskich, które mogły przywrócić czekające w ziemi zamkowe fundamenty wraz z poziomem schodów i piwnic, a nawet dać podstawę do rekonstrukcji przyziemnych partii zamkowych murów, od czasu badań miasto nie zrobiło nic. W chwili obecnej trwa procedura rozpatrywania wniosków do zmiany Studium Zagospodarowania i Kierunków Rozwoju Miasta Krasnostaw, w którym, być może uda się ograniczyć plany zagospodarowania (w tym zabudowy kubaturowej) obszaru przyległego do amfiteatru oraz wprowadzić zapisy odnośnie stanowiska „zamek” będącymi powtórzeniem zupełnie ignorowanych całymi latami zaleceń konserwatorskich. Tymczasem pozostaje nam zbierać, dokumentować i upowszechniać wszelkie niezatarte jeszcze przez czas informacje dotyczące krasnostawskiego zamku, do ogólnego zestawienia których to informacji doszło w poniższym tekście.

Według tradycji, zamek miał powstać już za panowania Kazimierza Wielkiego, który jakoby to nakazał jego budowę 700 metrów na południe od dawnego, ruskiego grodu. Przyjmuje się to w zasadzie za fakt historyczny, jednak próżno szukać w źródłach na to bezpośredniego dowodu. Tego, że zamek istniał tu w początkach XV w. pośrednio dowodzą liczne wizyty w Krasnymstawie Władysława Jagiełły, o których dowiadujemy się z kronik, a także z dokumentów kancelarii kró-

lewskiej wystawianych w Szczekarzewie¹ i później już w Krasnymstawie. Między innymi z Kroniki Długosza wiemy na przykład, iż Jagiełło pod koniec zimy 1426 r. kurował najpierw w Lubomli, potem w Krasnymstawie swoją złamaną podczas pobytu w Białowieży nogę. Pomimo, iż Jagiełło przez kilka poprzednich miesięcy ukrywał się przed szalejącą w Królestwie Polskim zarazą w puszczech litewskich, można śmiało domniemywać, iż w Krasnymstawie, podobnie jak w Lubomli, musiał gościć na zamku. Tu warto jednak zaznaczyć, iż zamek w Lubomli był zamkiem drewnianym.²



W latach 1490, 1499, 1500, miasto oraz okolice wsie nawiedzały najazdy tatarskie, poważnych zniszczeń doznało miasto jak i zamek w Krasnymstawie. W rezultacie tego, za sprawą Aleksandra Jagiellończyka (1501-1506) dokonano odbudowy murów miejskich, co przeprowadzono według najnowszych zasad sztuki fortyfikacyjnej. Miasto odtąd chronione było dwoma pierścieniami wałów i fos, a na rozbudowę fortyfikacji samego zamku przeznaczono część terenu należącego dotąd do klasztoru Augustianów.

Następnie, wśród interesujących nas źródeł, pojawiają się lustracje i inwentarze jakie sporządzano dla miasta i zamku. Takowe zachowały się z lat 1560-1782. Umożliwiają one m.in. ustalenie głównych elementów zamku. I tak, z najstarszego zachowanego inwentarza z 1560 r. dowiadujemy się m.in., iż na zamek prowadziła od przygródka starego brama o drzwiach drewnianych *stroistych*, dalej za murem, za kolejnymi wrotami, w dziedzińcu był *dom wielki murowany w cegłę*, inwentarz wspomina ponadto m.in. o stajni na 100 koni.

1. Szczekarzew (również Szczekarzow) - nazwa grodu uznawanego powszechnie za tożsamy z Krasnymstawem.

2. Zamek w Lubomli funkcjonował w czasach panowania Jagiełły, pozostał po nim wzgórek z ziemnych wałów otoczony fosą, całość zlokalizowana na wschód rynku (bezpośrednio obok).

Kolejny inwentarz z 1572 r. wymienia wieżę murowaną ulokowaną od przedmieścia (lubelskiego), w której piwnicach *złoczyńce męczą*, w owej bramie mieściła się również duża komora z armatą. Wzmiankowane są również: *łaźnia bardzo stara*, zamek murowany, wieża. Regestr dochodów z krasnostawskiego zamku z tego samego roku wspomina zamek w odbudowie, uzupełnia też opis o *basztę otworzystą murowaną*, wnioskując z opisu, ulokowana była od strony południowo-wschodniej. Dodatkowo przy opisie *domu murowanego* wymienia się dwie wieże - po obu jego stronach, oraz dalej w murze kolejne dwie *baszcie murowane niezakryte*, ponownie wymienia się również stajnie *na ponad 100 koni*.

Tu warto przerwać analizę lustracji i wspomnieć o wyjątkowym więźniu, jakim był arcyksiążę Maksymilian Habsburg, pretendent do tronu polskiego, który pojmany został 24 stycznia 1588 r. (w bitwie pod Byczyną) przez hetmana Jana Zamoyskiego, trafił do Krasnegostawu, gdzie więziony był najprawdopodobniej - jak głosi część źródeł - w wieży bramnej, w której, jak już wyżej wspomniano, faktycznie mieściły się komory więzienne.



Nawiązanie do tego epizodu zawiera krótki inwentarz z 1659 r. Opisuje on *zamek nad rzeką Wieprzem, murem w około obwiedziony i brama jest z przyjazdu Maksymilianowska nazywana*. Z dalszego opisu wyłania się zamek częściowo zniszczony, konkretnie popalony, remontowany przez starostę.



Księga Grodzka Krasnostawska z kwietnia 1782 roku, podobnie jak najstarszy opis (z 1560 r.), wymienia za fosą od strony miasta dwie bramy - prawdopodobnie obie tożsame z bramami zamieszczonymi na akwareli Zygmunta Vogla. Dalej,

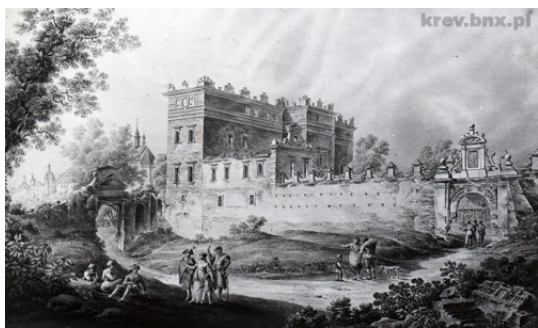
już przy domu murowanym, wymienia się ganek *pod osobnym dachem murowany*, którego daszek widoczny jest również na rycinie Vogla (patrz ilustracja powyżej). Następnie następuje opis wnętrza zamku oraz jego otoczenia: *Wieża maxymiliańska w kwadrat murowana żadnego nie mająca sklepienia ani mieszkania, opustoszała, w której po bokach chlewiki dwa nowe dla bydła służące pokryte. W tej wieży niejako w bramie jest wrót podwójnych dwoje z poręczami i kunami żelaznymi do zamykania dziedzica zamkowego*. Dalej wymienia się ogrody i chmielnik(!), oraz *dach nad zamkiem pod gontami, w murach kryty; łamany*.



W 1787 roku, w zamku krasnostawskim zatrzymuje się w czasie swej podróży król Stanisław August Poniatowski z dworem. W relacji znajduje się interesująca wzmianka o zamku: *Zamek ten starożytny w całości utrzymany zawsze, i nowymi murami powiększony*. Jeśli wierzyć tym słowom, to sam zamek właściwy, jakim był dom murowany, był w znacznym stopniu tą samą budowlą, którą opisywały wcześniejsze lustracje. Zresztą w samych lustracjach znajduje się sporo analogii, co istotne, żadna wzmianka nie dotyczy budowli nowej - wszędzie pojawiają się wzmianki o starych, zniszczonych elementach: wrotach, zniszczonych starością podłogach, etc.

W czerwcu 1794 r. miasto zajęły wojska carskie, *wtedy też w bliżej nieustalonych okolicznościach ulega spaleni zamek krasnostawski*. Ten sam rok 1794 przyjmuje się również za czas powstania pierwszej akwareli znakomitego malarza i rysownika Zygmunta Vogla. Wnioskować można, iż miało to miejsce już po pożarze, o czym

może świadczyć brak pokrycia dachowego wspomnianego w księdze grodzkiej z 1782 r. Drugi, analogiczny widok na zamek z 1810 r. prawdopodobnie został stworzony już w oparciu o szkice z poprzedniej wizyty Vogla. Warto tu przyrzeć się szczególnie obrazu gdyż w tle, po lewej stronie, dodatkowo zostały częściowo zarejestrowane inne krasnostawskie budowle: stary kościół przyklasztorny augustianów wraz z klasztorem, kościół jezuicki - obecnie św. Franciszka - widok sprzed zawalenia się w 1849 r. kopuły, oraz najprawdopodobniej nieistniejący już budynek katedry chełmskiej, której wizerunków zupełnie nie znamy.



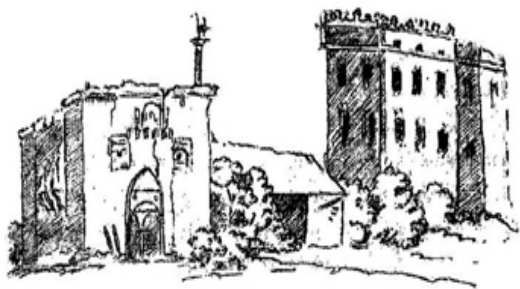
Początek XIX wieku to szybko postępujący zanik zamku. Wcześniej spalony, po wielkim pożarze miasta w 1811 roku, podobnie jak mury miejskie stał się źródłem kamienia na odbudowę kamienic starówki, urobek kamienny z zamku służył również do brukowania dróg. Siedziba starosty z zamku została przeniesiona na przedmieście, w rejon dzisiejszej ulicy Sikorskiego, gdzie co najmniej od tego czasu funkcjonował folwark starościński wraz z dworem będącym siedzibą starosty.

W 1816 r. zamek wspomina podczas swej podróży Julian Ursyn Niemcewicz: *już tylko dwie ściany zostały, świadczące jednak piękną struk-*

turę tego gmachu. Mniej więcej z tego czasu ma pochodzić również rysunek Sierakowskiego przedstawiający pozostałości wieżycy maksymilianowskiej obejmujący również fragment zamku w Krasnymstawie.

Do roku 1824 rozebrano pozostałości krasnostawskiego zamku. W kolejnych latach zniwelowano teren, zasypując resztki fos, a około połowy XIX wieku na miejscu zamku wybudowano stajnie wojsk carskich, przy czym dość powszechnie uważa się, że przy budowie mogły zostać wykorzystane fundamenty zamku. W latach 70. XX wieku, bez choćby archeologicznych nadzorów, na części dawnego plateau zamku, miasto wybudowało amfiteatr. Pierwsze badania archeologiczne tego terenu zostały przeprowadzone dopiero w latach 1984-85.

W rezultacie badań wyznaczono najstarszy poziom osadniczy z XIV-XV wieku. Okryto pozostałości wału ziemnego otaczającego przedzamcze, dalej pozostałości kolebkowego sklepienia piwnicznego z XV wieku, wymienianego w lustracji z 1560 r., dokonano lokalizacji niektórych elementów architektonicznych widocznych na akwareli Vogla m.in. ścian oficyny zamkowej czy 2-metrowej grubości muru biegnącego przy dziedzińcu zamkowym. Badania potwierdziły częściowo wykorzystanie murów ogrodzeniowych zamku do osadzenia murów stajni, dostarczyły również zabytków w postaci ceramiki użytkowej i kafli piecowych z okresu funkcjonowania zamku. Wyniki wykluczają jednocześnie funkcjonowanie, bezpośrednio w miejscu badań, zamku z czasów Kazimierza Wielkiego. Autor badań wyraża w tej kwestii opinię, iż zamek Kazimierza mógł być założeniem znajdującym się bezpośrednio przy wieży maksymiliańskiej, której to obszar po dziś dzień nie został przebadany, ani nawet precyzyjnie ustalony. Można jednak przyjąć, iż znajdowała się ona na obszarze dzisiejszego boiska szkolnego ZSZ.



Poza zabytkami z prac archeologicznych, kilka kamiennych elementów wydobyto z rze-

ki Wieprz podczas jej regulacji w epoce PRL-u, obecnie prezentowane są one w krasnostawskim muzeum. Jednak to nie wszystko, co pozostało. W Puławach, na ścianie Domku Gotyckiego możemy zobaczyć kamienny fragment pochodzący z wieży Maksymiliańskiej, zabrany z Krasnostawu jako pamiątka przez Izabelę Czartoryską, niestety, w czasie II wojny światowej fragment ów uległ częściowemu zniszczeniu. Również w samym Krasnymstawie, w ścianie pałacyku biskupiego znajdują się dwa pochodzące najprawdopodobniej z zamku elementy - nadproża, (ewentualnie mogą one pochodzić z jednej z bram miejskich tj. krakowskiej która była zlokalizowana bezpośrednio w sąsiedztwie miejsca, w którym zostały one wmurowane tj. bezpośrednio przy miejskim murze, którego to krawędź po dziś dzień zdaje się wciąż wystawać z pałacyku biskupiego). Na jednym z nadproży widoczny jest kontur tarczy oraz napis „VERBUM DOMINI” - zapewne jest to część zdania, którego dalszy człon stanowią słowa: „MANET IN AETERNUM”, co w całości znaczy: „słowo Pańskie przetrwa na wieki” - fakt, słowo pańskie przetrwało. Fraza ta bywała umieszczana m.in. na miejskich bramach np. brama z roku 1595 znajdująca się w mieście Brzeg.



Nie da się pominąć, iż w latach 80. pojawił się odrębny plan zamku, znaleziony przez Grajewskiego na kartce wetkniętej pośród XIX-wiecznych gazet. Plan ten, po wpisie na okładce, został uznany za zamek w Krasnymstawie, w rzeczywistości pochodzi on z dzieła Naronowicza (zresztą znaleziony plan zawiera taką informację). W samym dziele Naronowicza brak jednak wzmianki, ażeby był to zamek krasnostawski. Istnienia tego typu budowli nie potwierdzają również żadne źródła historyczne. Niestety, pojawienie się tego planu, stało się źródłem zaczynających żyć własnym życiem hipotez.

Tomasz Chuszcza

Artur Capała

Krasnystaw w ostatnich latach I Rzeczypospolitej



Pierwszy rozbiór Polski spowodował, iż leżący do tej pory w centrum Rzeczypospolitej Krasnystaw znalazł się na jego peryferiach. Na rzecz Austrii powiat krasnostawski utracił południową część swojego terytorium. Zmiany granic spowodowały zerwanie tradycyjnych powiązań ekonomicznych oraz ustalonych od wieków traktów handlowych i komunikacyjnych, dezorganizując tym samym rynek wewnętrzny. Spadek znaczenia tradycyjnego szlaku kupieckiego prowadzącego do Lwowa miał negatywne konsekwencje gospodarcze dla dalszego rozwoju miasta i życia jego mieszkańców, którzy do tej pory, wykorzystując jego dogodne położenie, czerpali stąd część swoich dochodów.

A był Krasnystaw w XVIII stuleciu drugim co do wielkości po Lublinie miastem między Bugiem a Wisłą. Liczbę jego mieszkańców można szacować na ok. 2,5-2,9 tys. Przeprowadzona w 1789 roku lustracja podaje, że były w Krasnymstawie 382 domy. Spis ten uwzględniał zarówno te znajdujące się w obrębie murów miejskich (np. w rynku było ich 46), jak i „poza murem” oraz na przedmieściach, gdzie mieszkało ok. połowy krasnostawian. Większość obywateli miasta trudniła się zajęciami o charakterze rolniczym. Pozostali zajmowali się handlem i rzemiosłem. Niektórzy spośród rzemieślników skupieni byli w cechach: kowali, kuśnierzy, piekarzy, płócienników, rzeźników i szewców. Tradycyjnie duże dochody przynosiło prowadzenie szynku. Było ich kilkadziesiąt i znajdowały się głównie w rynku, który stanowił centrum gospodarcze miasta. Spośród „zakładów przemysłowych” można wymienić cztery browary (pierwszy - prywatny, będący własnością Józefa Tabiszewskiego, drugi - miejski, trzeci - należący do zakonu augustianów, i czwarty - biskupów chełmskich, wcześniej jezuicki). Jedyna istniejąca w mieście cegielnia była własnością augustianów. Źródła nie wspominają już o hucie szkła zniszczonej zapewne w okresie wojny północnej. Krasnystaw był jednym z niewielu ośrodków miejskich, gdzie prawie sto procent

mieszkańców stanowiła ludność chrześcijańska. Mieszczanie w dalszym ciągu dbali, aby nie był naruszany przywilej króla Stefana Batorego, który zabraniał osiedlania się w obrębie murów miejskich ludności żydowskiej. Jeszcze na początku lat osiemdziesiątych przedstawiciele tej społeczności (łącznie kilkadziesiąt osób) zamieszkiwali jedynie na terenach tzw. jurydyk (tj. obszarach należących do starostwa i nie podlegających władzom miejskim), zaś w 1789 roku odnotowano w Krasnymstawie zaledwie jeden dom żydowski. Taka postawa krasnostawian nie wynikała z uprzedzeń religijnych czy etnicznych, lecz z obawy przed konkurencją ekonomiczną żydowskich kupców i rzemieślników. Władysław Ćwik uważa, że właśnie brak konkurencji niekorzystnie wpływał na rozwój miasta. Tak jak wiele innych ośrodków miejskich, Krasnystaw borykał się z ciągłymi trudnościami finansowymi. Dlatego też nie przeprowadzano w mieście większych inwestycji.

Chociaż w 1782 roku, przy okazji lustracji stwierdzono istnienie dawnych umocnień obronnych, jednak wydaje się, że były one już mocno zaniedbane. Także znajdujący się nad Wieprzem zamek (na co dzień siedziba starosty), mimo iż odnowiony w 1787 roku specjalnie na przyjazd króla, nie mógł już spełniać skutecznie w tym czasie (ze względu na rozwój artylerii i broni palnej) swych funkcji obronnych. Spośród budynków użyteczności publicznej, w latach osiemdziesiątych XVIII wieku funkcjonowały w Krasnymstawie dwa szpitale, a właściwie przytułki. Jeden przy kościele katedralnym, drugi przy znajdującym się po prawej stronie rzeki kościele św. Ducha. Istniało w mieście pięć kościołów katolickich: trzy murowane (jezuicki od 1776 roku katedralny pw. św. Franciszka Ksawerego; pokatedralny pw. Wszystkich Świętych przejęty przez ks. misjonarzy, i trzeci pw. św. Trójcy znajdujący się przy klasztorze oo. Augustianów) oraz dwa drewniane (cmentarny pw. Przemienienia Pańskiego za murami miasta przy gościńcu lubelskim i wspomniany już kościół przyszpitalny pw. św. Ducha znajdujący się po drugiej stronie Wieprza). Kościół greckokatolicki posiadał dwie świątynie - jedną murowaną i drugą drewnianą. W tej pierwszej, ze względu na zły stan techniczny, już na początku lat osiemdziesiątych XVIII stulecia nie odprawiano nabożeństw. Na podstawie lustra-

cji przeprowadzonej w 1789 roku wynika, że ok. 10 % nieruchomości w Krasnymstawie należało do Kościoła. Dawne kolegium jezuitów przejęte zostało przez kapitułę chełmską.

Siedzibą władz miejskich był *ratusz murywany o jednym piętrze* znajdujący się w rynku. Samorząd krasnostawski składał się z rady, ławy oraz reprezentacji gminnej. Na czele władzy wykonawczej stał wybierany przez radę i ławę na roczną kadencję prezydent. Jego nominację zatwierdzał starosta lub osoba przez niego upoważniona. Miał on też prawo do mianowania swego zastępcy do spraw miasta tj. landwójta, a także pisarza wójtowskiego. Ostatnim landwójtem z ramienia starosty był Antoni Bielawski. Pełnił on swą funkcję od stycznia 1787 do marca 1794 roku. Jego następcą na tym stanowisku został Walenty Sawicki, który zgodnie z przepisami konstytucji grodzieńskiej tytułował się wójtem. To przed starostą magistrat składał co roku do zatwierdzenia budżet miasta. On posiadał także uprawnienia sędownicze jako instancja odwoławcza w sprawach sądzonych wcześniej przez sąd miejski. Ponadto krasnostawianie płacili na jego rzecz podatek od nieruchomości. Niektórzy z nich byli obciążeni dodatkowymi obowiązkami np. pańszczyzną. Ingerencje urzędu starosty na wewnętrzne sprawy Krasnegostawu i jego mieszkańców wynikały z tego, iż z urzędem tym związana była jednocześnie funkcja wójta dziedzicznego w mieście.

Zasadnicze zmiany w ustroju miast zaszyły wraz z uchwaleniem Konstytucji 3 maja. Było to możliwe dzięki zainicjowanej w okresie Sejmu Wielkiego przez prezydenta starej Warszawy Jana Dekerta, a trwającej wiele lat kampanii politycznej na rzecz zreformowania ustroju polskich miast oraz przyznania ich mieszkańcom pełni praw obywatelskich. Do akcji tej od samego początku bardzo aktywnie włączyli się przedstawiciele Krasnegostawu: landwójt Antoni Bielawski, radny Wojciech Lewicki i prezydent Jan Hus. Na mocy nowego ustawodawstwa, mieszczanie zostali podzieleni na dwie kategorie: posesjonatów (tj. właścicieli nieruchomości) i nieposesjonatów. Ci pierwsi otrzymali szereg praw przysługujących do tej pory wyłącznie szlachcie, a w przyszłości niektórzy z nich mogli liczyć nawet na nobilitację. Wszystkie miasta królewskie uznane zostały za *wolne*. Sposób funkcjonowania ośro-

ków miejskich regulować miały jednakowe przepisy, a nie - jak to miało miejsce wcześniej - indywidualne przywileje. Krasnostawskie władze miejskie miały być odtąd wybierane na zgromadzeniu wszystkich posesjonatów i poddane pod nadzór organów centralnych, które miały m.in. prawo kontrolować ich wydatki. Jako że Krasnystaw został zaliczony do miast wydziałowych, jego delegaci zasiadali w obradującym w Lublinie zgromadzeniu wydziałowym (w Krasnymstawie wybrano ich 4 sierpnia 1791 roku), które z kolei wyłaniało swego przedstawiciela do sejmu tzw. plenipotentą. Zreformowano sądownictwo w miastach, tworząc sądy magistrackie, od wyroków których przysługiwało odwołanie do instancji wyższej tj. sądu wydziałowego apelacyjnego (dla m. Krasnegostawu mieścił się on w Lublinie). Sądowi miejskiemu podlegali wszyscy posiadacze nieruchomości oraz osoby prowadzące handel i rzemiosło. Miasta królewskie stanowić miały odtąd jednolity obszar bez odrębnych przedmieść i jurydyk. Dzięki tym zmianom miasta i jego obywatele zostali wreszcie uniezależnieni od władzy starostów. Był to pierwszy krok na drodze do powstania w Rzeczypospolitej silnego stanu trzeciego (tj. mieszczaństwa).

Reformy ustrojowe nie ominęły też władz powiatowych. W listopadzie 1789 roku sejm powołał nowe struktury władz terenowych o mieszanych kompetencjach administracyjno-wojskowych tzw. komisje porządkowe cywilno-wojskowe, które faktycznie przejęły dotychczasowe uprawnienia starostów (ale samego urzędu starosty nie zlikwidowano, dokonały tego dopiero rządy Targowicy). Zasiadali w nich zarówno przedstawiciele szlachty jak i mieszczan. Dla ziemi chełmskiej i powiatu krasnostawskiego w lutym 1790 roku utworzono wspólną komisję, w skład której wchodził zarówno przedstawiciele szlachty jak i mieszczan. Jej siedzibą miał być na przemian co dwa lata Chełm i Krasnystaw. Do zadań komisji należało m.in. zabezpieczenie porządku na podległym sobie terenie, czuwanie nad dobrym stanem dróg, zapewnienie mieszkańcom odpowiedniej opieki lekarskiej, walka z nadużyciami w handlu i ustalanie cen na niektóre artykuły, zabezpieczenie logistyczne dla stacjonujących oddziałów wojska koronnego oraz ściąganie podatków, w czym wykazała dużą skuteczność, otrzymując od króla list pochwalny.

Decyzja sejmu z października 1788 roku o powiększeniu i unowocześnieniu sił zbrojnych nałożyła na obywateli Krasnegostawu nowe obowiązki. Miasto zostało wyznaczone na miejsce kwaterowania oddziałów koronnych. Ze względu na brak budynków przygotowanych do pełnienia funkcji koszarowych, żołnierze zostali rozlokowani na kwaterach prywatnych oraz w obiektach należących do starostwa. W 1790 roku w Krasnymstawie i jego okolicach stacjonowało dwanaście chorągwi brygady kawalerii narodowej dowodzonej przez Jana Nepomucena Potockiego. Miasto i jego mieszkańcy mogliby uniknąć kłopotliwych nieraz lokatorów pod warunkiem budowy koszar. Krasnostawian niestety nie było stać na sfinansowanie tak kosztownej inwestycji. W tym samym roku jednostki garnizonu lubelskiego były wizytowane przez jej nowego dowódcę gen. mjr. Tadeusza Kościuszkę. Stacjonujący w Krasnymstawie żołnierze, z powodu braku dyscypliny często przysparzali zwierzchnikom sporo kłopotów, jak to miało miejsce m.in. w 1790 roku, kiedy to Kościuszko z polecenia Komisji Wojskowej Obojga Narodów prowadził śledztwo w sprawie bezprawnego osadzenia w areszcie przez brygadiera kawalerii narodowej Adama Walewskiego i rotmistrza Jana Czyżę wszystkich członków komisji porządkowej cywilno-wojskowej za to, że wydali oni *zakaz chodzenia po pijanemu z pochodniami po ulicach drewnianego miasta*. I chociaż incydentem tym zajmowano się nawet na forum sejmowym, *to wojewoda sieradzki Walewski, z przyjaciółmi swymi [...] osłonili winowajców*. Pomimo nieuniknionych konfliktów między wojskiem a mieszkańcami Krasnegostawu, wydaje się, że ci ostatni rozumieli, iż konstytucja dała im nie tylko prawa, ale nałożyła na nich także obowiązki, *wszyscy przeto obywatele są obrońcami całości i swobód narodowych*, zaś wojsku *naród winien [...] nagrodę i poważanie za to, iż się poświęca jedynie dla jego obrony*. 26 lipca 1791 roku w kościele katedralnym pw. św. Franciszka Ksawerego odbyło się nabożeństwo dziękczynne za jej uchwalenie. Licznie zgromadzeni wierni, zarówno spośród szlachty jak i mieszczan, składali przysięgę na wierność nowej ustawie rządowej. Uroczyscie obchodzili mieszkańcy Krasnegostawu także pierwszą rocznicę ustanowienia konstytucji. W kościele katedralnym odbyła się okoliczność

wa msza, której przewodniczył sufragan lubelski, biskup Jan Leńczowski. Z tej okazji zbudowano w świątyni tron, na którym położono symboliczne insygnia władzy królewskiej, oraz zawieszono nad nim portret Stanisława Augusta Poniatowskiego, przy nim ustawiono zaś wartę honorową.

Radość większości obywateli z reform ustrojowych nie trwała długo. 18 maja 1792 roku poseł carski w Warszawie Jakow Bułhakow wręczył podkanclerzemu Joachimowi Chreptowiczowi notę protestacyjną przeciwko zmianom politycznym w Rzeczypospolitej. Było to nieformalne wypowiedzenie wojny. Rankiem, 19 maja „przyjazne” wojska rosyjskie wdarły się na jej terytorium, aby – jak głosiła propaganda moskiewska – „wespierać prawdziwych patriotów”, którzy chcą ratować zagrożoną rzekomo w Polsce wolność. Na wieść o wybuchu wojny, stacjonujące do tej pory w Krasnymstawie oddziały kawalerii narodowej, dowodzone przez brygadiera Jana N. Potockiego, skierowane zostały na Podlasie. Od tej pory miasto pełniło funkcję głównej bazy zaopatrzeniowej dla polskiego wojska walczącego na froncie południowym (ukraińskim). Oprócz tego, przez Krasnystaw przechodziło wiele oddziałów wojskowych (4 lipca przebywał tu 12. regiment piechoty Jana Malczewskiego), co spowodowało szybkie wyczerpanie się zapasów i w konsekwencji trudności z aprowizacją, gdyż zarówno miasto jak i okolice zostały оголо- czone z żywności i furażu. O niemożności kupienia dla wojska koni w Krasnymstawie pisał w raporcie gen. Rafał Dzierżek. Wycofując się w kierunku zachodnim armia koronna dowodzona osobiście przez naczelnego wodza ks. Józefa Poniatowskiego, w lipcu przekroczyła Bug i znalazła się na terenach dzisiejszej Lubelszczyzny. Po bitwie pod Dubienką, 18 lipca książę Poniatowski (który jeszcze 21 lipca przebywał w Chełmie) wydał rozkaz wycofywania się w kierunku Wisły. Wcześniej nie przyjął propozycji gen. T. Kościuszki, który już 13 lipca sugerował utworzenie nowej linii obrony na Wieprzu w okolicach Krasnegostawu, motywując to zbyt niskim stanem wody w tej rzece, przez co nie będzie ona stanowić przeszkody dla nieprzyjaciela oraz zbyt dużym oddaleniem się od frontu litewskiego. Wódz naczelny miał nadzieję na wydanie walnej bitwy nieprzyjacielowi w okolicach Warszawy, ale dopiero po połączeniu się z siłami

litewskimi i armią rezerwową, która cały czas pozostawała w odwodzie. Zmiana planów strategicznych spowodowała, że znajdujący się do tej pory w Krasnymstawie główny magazyn zaopatrzeniowy dla armii koronnej został przez superintendenta Jana Żurawskiego ewakuowany 20 lipca do Łęcznej. Już wcześniej, bo 12 lipca Jan Golcz wywiózł z miasta kasę wojskową, natomiast 13 lipca Karol Lichocki ewakuował skład amunicji. Po wycofaniu się z Krasnegostawu polskiego wojska, do miasta weszły oddziały nieprzyjaciela. Mieszkańcy nie stawiali zbrojnego oporu wobec wkraczających sił rosyjskich gen. Michała Kachowskiego, tym bardziej, że dochodziły wieści o aktach mordowania ludności cywilnej przez carskich żołnierzy, jak to miało miejsce np. we Włodzimierzu. Hasła propagandowe najeźdźców głoszące wyzwolenie Rzeczypospolitej i jej obywateli „od jarzma” monarchii i konstytucji nie spotkały się z większym odzewem wśród polskiego społeczeństwa, co ogromnie irytowało przywódcę targowiczan Stanisława Szczęsnego Potockiego. Dlatego nalegał on na swoich ludzi, by przy zbieraniu akcesów do konfederacji *nie zaniedbać nikogo, aby tylko szlachcic, niech podpisuje, bo jak będzie „quantitas” [ilość], to się znajdzie i „qualitas” [jakość]*. Jako pierwsi, zgłosili akces do targowicy przedstawiciele szlachty ziemie chełmskiej i powiatu krasnostawskiego. Już 28 lipca wydali oni odezwę, w której nawoływali do złożenia przysięgi na wierność konfederacji. Zapowiadali też unieważnienie wszelkich decyzji jakie zostały podjęte na mocy Konstytucji 3 maja i powrót do dawnego prawodawstwa. Mieszczanie krasnostawscy natomiast nie okazali zbyt wielkiej gorliwości w wykonywaniu zarządzeń nowych władz i złożyli wymaganą przysięgę dopiero 3 sierpnia. Można nawet powiedzieć, iż w tym względzie wykazali dużą opieszałość, gdyż w akcesie do targowicy ubiegł ich nawet przebywający w wolnej jeszcze od nieprzyjaciela Warszawie król Stanisław August. Kapitulanka postawa monarchy i części polityków zadecydowała o losach wojny, a w konsekwencji i całej Rzeczypospolitej. *Stanisław August nie rozumiał, że szansą ocalenia całości państwa jest twardy i nieugięty opór zbrojny – nawet do ostateczności*. W myśl wytycznych targowiczan, zreorganizowano władze miejskie w Krasnymstawie, skasowano też zgromadzenie

wydziałowe w Lublinie oraz zniesiono instytucję plenipotentą do sejmu. Nieodwracalne natomiast okazały się zmiany dotyczące nietykalności osobistej mieszczan i prawo nabywania przez nich dóbr ziemskich. Na mocy uchwał sejmu grodzieńskiego (listopad 1793 r.), Krasnystaw został przyłączony, jako stolica ziemi, do nowego województwa lubelskiego. Okres po drugim rozbiórze przyniósł mieszkańcom Krasnegostawu spadek poziomu życia i ciągłą niepewność jutra. Na barki krasnostawian znów spadł obowiązek częściowego utrzymania wojska najpierw okupacyjnego rosyjskiego i konfederackiego, a następnie koronnego. W całym kraju dał się zauważyć gwałtowny wzrost migracji ludności do miast.

Pomimo ogólnie niekorzystnej dla Polski sytuacji politycznej w Europie, patriotycznie nastawiona część polityków i wojskowych, zarówno tych, którzy pozostali w kraju, jak i przebywających na emigracji, już w 1793 roku rozpoczęła przygotowania do powstania. Sytuacja spiskowców była tym trudniejsza, że w okrojonej i tak już Rzeczypospolitej znajdował się duży korpus okupacyjnych wojsk rosyjskich. Wybuch insurekcji odkładanej parokrotnie ze względu na niedostateczne przygotowanie, przyspieszyła zarządzona na luty-marzec 1794 roku przez zależną od Rosjan Radę Nieustającą redukcja wojska koronnego i litewskiego oraz pierwsze aresztowania wśród konspiratorów. Naczelne dowództwo powierzono Tadeuszowi Kościuszce, który 24 marca 1794 roku na krakowskim rynku uroczyście ogłosił „akt powstania”. Wobec całkowitej kompromitacji rządów targowiczian w polskim społeczeństwie, liczył on na masowy udział w zrywie powstańczym. Terenem, który najwcześniej zgłosił swój akces do insurekcji była ziemia chełmska. 6 kwietnia, na zjeździe szlachty i mieszczan w Chełmie proklamowano *przstępienie do aktu powstania narodu obywateli województwa ruskiego, ziemi chełmskiej i powiatu krasnostawskiego*. Spośród 52 osób, które podpisały ten dokument, 35 reprezentowało powiat krasnostawski. Utworzono też wspólną chełmsko-krasnostawską komisję porządkową. Podlegała ona bezpośrednio Tadeuszowi Kościuszce i Radzie Najwyższej Narodowej. Jej powołanie było możliwe, ponieważ władze insurekcyjne nie uznawały zmian administracyjnych, jakie powstały na tym

obszarze w wyniku uchwał sejmu grodzieńskiego. Krasnostawskich mieszczan reprezentowali w komisji: Antoni Bielawski, Wojciech Lewicki, Stanisław Orłowski i Walenty Sawicki (zasiadali oni w pierwszym i trzecim jej składzie). Utworzenie władz powstańczych dla ziemi chełmskiej i powiatu krasnostawskiego nie byłoby możliwe bez poparcia stacjonujących na tym terenie oddziałów polskiego wojska z dywizji wielkopolskiej. Rozwój sytuacji zdawał się sprzyjać spiskowcom, gdyż w drugiej połowie marca na Lubelszczyźnie nie było już dużych sił nieprzyjacielskich (gen. mjr Mikołaj Rachmanow otrzymał rozkaz opuszczenia Lublina i wyruszenia za Wisłę przeciwko brygadzie Antoniego Madalińskiego). Na czele sprzysiężenia stanął ppłk Jan Grochowski, który pozyskał dla insurekcji gen. mjr. Antoniego Raczyńskiego. Na początku kwietnia przeprowadzili oni koncentrację podległych sobie oddziałów w Chełmie. Tam też udały się przebywające do tej pory w Krasnymstawie pododdziały 7. regimentu piechoty. Natomiast batalion 9. regimentu stacjonujący w Biskupicach i Krasnymstawie wkroczył w granice Galicji, by tędy przedostać się pod Kraków. 11 kwietnia przybył tam wysłannik Kościuszki płk milicji Antoni Radziwiński, który przybył z rozkazem Naczelnika o powołaniu na dowódcę „chełmskiego zgrupowania” Jana Grochowskiego, który został awansowany na generała. Natomiast gen. Raczyński, ze względu na swe wcześniejsze powiązania z targowiczaniem, na rozkaz Naczelnika został usunięty z wojska. Był to drugi duży ośrodek powstania w kraju, nie ustępujący ośrodkowi krakowskiemu. Generał Grochowski nie miał zamiaru zbyt długo pozostawać na tym terenie, gdyż planował przemieszczenie swych sił w kierunku Lublina i Puław, o czym z Krasnegostawu w piśmie 15 kwietnia informował Naczelnika. Ten jednak rozkazywał mu zawracać na wschód. Grochowski udał się więc do Włodzimierza, gdzie 30 kwietnia połączył się z oddziałami piechoty i kawalerii gen. mjr. Stefana Granowskiego, po czym skierował się na zachód (2 maja Granowski ze swoimi żołnierzami był już w Krasnymstawie) i w nocy z 16 na 17 maja przekroczył Wisłę w Annopolu. Dywizja jego liczyła ok. 6 600 żołnierzy, jako że Grochowski zabrał większość sił skoncentrowanych między Bugiem a Wisłą, wśród których był nowo sformowany na terenie

ziemi chełmskiej i powiatu krasnostawskiego batalion milicji pieszej (237 lub 260 ludzi) pod dowództwem Jana Hemlinga. Nieznana liczba zmobilizowanych tam rekrutów zasilila szeregi regularnych oddziałów wojskowych. Po połączeniu się z Kościuszką, dywizja wzięła udział w bitwie z przeważającymi wojskami rosyjsko-pruskimi pod Szczekocinami (Prusy przystąpiły do wojny przeciw Polsce w pierwszej połowie maja). Spośród wojsk regularnych, pozostały na tym terenie jedynie oddziały osłowne i komendy wybierające rekrutów, np. w Krasnymstawie na początku maja stacjonowała Pińska Brygada Kawalerii Narodowej Józefa Kopcia (1 040 żołnierzy), która wraz z m.in. 1. regimentem piechoty Piotra Potockiego i przybyłą zza kordonu I Ukraińską Brygadą Kawalerii Narodowej (841 osób) Franciszka Wyszowskiego miała bronić linii Bugu. Wobec grożącego niebezpieczeństwa od strony wschodniej, Naczelnik skierował na Lubelszczyznę dodatkowe siły pod dowództwem gen. mjr. Michała Wedelstedta, gen. mjr. Filipa Haumana oraz płk. Michała Chomentowskiego. Powstała więc sześciotysięczna dywizja złożona ze starego, regularnego żołnierza mająca szanse pokonać nadciągający korpus carski. Osłabiała to oczywiście główne siły polskie, oddalając możliwość rychłego rozstrzygnięcia na froncie głównym. Dodatkowym wzmocnieniem korpusu miał być jeden batalion z 7. regimentu oraz pospolite ruszenie, dla którego na miejsce koncentracji, według rozkazu Piotra Potockiego, został wyznaczony Krasnystaw.

Do zadań utworzonej w kwietniu komisji porządkowej, na czele której stanął biskup greckokatolicki Porfiry Ważyński, należało m.in. zbieranie funduszy na rzecz powstania i dostarczanie zaopatrzenia stacjonującym tu oddziałom. Przeprowadzono także pobór do wojska, wynikiem czego było powstanie wspomnianego wyżej batalionu milicji pieszej. Niektórzy jednak chłopci, aby uniknąć wcielenia uciekali do lasów i tam tworzyli uzbrojone bandy. Także wielu przedstawicieli krasnostawskiej i chełmskiej szlachty, obawiając się konfiskaty majątków w przypadku zwycięstwa Rosjan, bało się poprzeć insurekcję i wołało wyjechać za kordon austriacki. Komisja miała także prawo aresztować osoby podejrzane o zdradę, a ich dobra - zgodnie z poleceniem władz powstańczych - brano w sekwestr. Dlatego też na rozkaz gen. Haumana zajęto dobra należące do

rzymskokatolickiego biskupa chełmskiego Wojciecha Skarszewskiego (przebywającego w tym czasie z rozkazu Kościuszki w warszawskim areszcie pod zarzutem zdrady), a wśród nich znajdujący się w Krasnymstawie skład wina, który został wydany do obozu *dla chorych i osłabionych żołnierzy*. Działalność chełmsko-krasnostawskiej komisji porządkowej została skrytykowana przez dowódców, którzy wraz z podległymi sobie jednostkami docierali na te tereny w ostatniej dekadzie maja i - jak twierdzili - zastali zupełny brak przygotowań do obrony przed spodziewaną ofensywą rosyjską. Cywilnym władzom powstańczym nie udało się także zgromadzić wystarczającego zaopatrzenia dla wojska. Ów brak skuteczności prac komisji, mógł wynikać z faktu, że 17 maja, na wieść o zbliżaniu się do Chełma wojsk carskich (co okazało się nieprawdą) na kilkanaście dni przeniosła się do Krasnegostawu, by tam kontynuować swą działalność. Prawdopodobnie niektórzy jej członkowie wyjechali do zaboru austriackiego. Dopiero 29 maja do Chełma wrócił prezes, a 31 maja - pozostali komisarze. Widząc nieskuteczność działań władz cywilnych i niewyrażenie przez nie zgody na ruszenie „masy włościan” tj. powszechną mobilizację, który to projekt komisja uznała za bezprawny, mjr Michał Chomentowski wysłał do Naczelnika raport, w którym negatywnie ocenił działalność komisji. Poza tym nie dowierzał on lokalnym władzom, znając treść petycji przedstawicieli szlachty ziemi chełmskiej skierowanej w 1793 roku do Katarzyny II z prośbą o wcielenie do Rosji (w rzeczywistości deklaracja ta wymuszona została groźbami przez carskiego pułkownika Wołkova). Aby poprawić sytuację na Lubelszczyźnie, skierował Kościuszko do Chełma, gdzie znajdował się sztab nowo utworzonej dywizji, generała Józefa Zajączka, który miał objąć dowództwo nad całością zgrupowania. Do miasta dotarł on 29 maja, gdzie zastał dotychczasowego dowódcę gen. Wedelstedta, który sam kilka dni wcześniej objął komendę od Zagórskiego. Kilka dni stracił Zajączek na zapoznanie się z sytuacją, a także czekając na zebranie się komisji porządkowej. Niestety, działalność władz cywilnych nie poprawiła się (jedynym sukcesem generała było wymuszenie na komisji wydania w dniu 1 czerwca uniwersału o poborze), wobec czego Zajączek wysłał skargę do Kościuszki. Po kilku dniach, tj. 7 czerwca zjawił się w Chełmie przysłany przez

Radę Najwyższą Narodową jej pełnomocnik Ignacy Krzucki lecz niewiele zdążył już zdziałać. Innym organem wykonawczym działającym z ramienia władz powstańczych na terenie ziemi chełmskiej i powiatu krasnostawskiego był utworzony 3 maja z rozkazu Naczelnika 8-osobowy szlachecko-mieszczański sąd kryminalny. Mieszczan krasnostawskich reprezentowali w nim Jan Hus i Leon Hill. Nie przejawiał on szerszej działalności.

Skutecznie do tej pory (tj. od połowy maja) powstrzymujące siły nieprzyjaciela na linii Bugu oddziały koronne po walkach koło Dubienki 3 czerwca wycofały się w kierunku Żmudzi. 5 czerwca nastąpiła koncentracja wszystkich jednostek wchodzących w skład dywizji. Dowództwo polskie podjęło też decyzję o wyznaczeniu nowej linii obrony na przedmieściach Chełma. 7 czerwca połączone siły rosyjskie pod dowództwem gen. Otto Derfeldena przekroczyły Bug, a rankiem następnego dnia zbliżyły się od wschodu do Chełma. Do starcia między oboma wojskami doszło tego samego dnia. Bitwa, która trwała do wieczora, zakończyła się ostatecznie przegraną Zajączka. Zmuszony do odwrotu polski korpus kierował się w stronę Krasnegostawu ścigany jedynie przez kawalerię. W tym samym czasie zbliżało się do Chełma od strony Krasnegostawu 3-tysięczne zgrupowanie pospolitego ruszenia pod dowództwem płk. Antoniego Radziwińskiego i płk. Józefa Trzcieskiego. *Słyszana z dala kanonada wzniciła niepokój w tych nieobytych z wojną oddziałach, a zbiegowie z pola walki wzniciли panikę. Nie ujrawszy nawet z daleka bitwy, pospolitacy rozbiegli się, roznosząc w najdalsze zakątki województwa popłoch i wieść o przegranej.* Nad ranem, 9 czerwca polskie wojsko w największym nieporządku dotarło do Krasnegostawu. Tutaj dopiero uporządkowano oddziały i dokonano ich przeglądu. Okazało się, że straty dywizji były duże, gdyż oprócz poległych, rannych i tych, którzy dostali się do niewoli (wśród których było 239 ludzi miejscowych służących „po niewoli”, których Derfelden kazał puścić wolno) z korpusu zdezerterowało kilka tysięcy kosynierów i pikinierów z pospolitego ruszenia. Tak więc siły, jakimi dysponował Zajączek to ok. 4 tysiące regularnego żołnierza. Niezbyt długo mogli odpoczywać żołnierze w mieście. Tego samego dnia przyszła wiadomość o wysłaniu w kierunku Krasnegostawu oddziałów dowodzonych przez Borysa

Lassy'ego, zaś Waleriana Zubowa - na Łęczną. Nocą, 9 czerwca korpus polski opuścił miasto, wycofując się w kierunku Lublina. 11 czerwca oddziały carskie dowodzone przez gen. Otto Derfeldena wkroczyły do Krasnegostawu. Wtedy też w bliżej nieustalonych okolicznościach uległ spaleni zamek starościński. Już jednak następnego dnia nieprzyjaciel opuścił miasto. W pogoni za dywizją gen. Zajączka, wojska rosyjskie doszły do Puław, które zgodnie z instrukcją *nieoszczędzania majątności Czartoryskich* wspierających materialnie powstanie, zostały z premedytacją zniszczone. Po otrzymaniu rozkazu od Mikołaja Repnina, Derfelden skierował swój korpus przez Podlasie na Litwę. W tym czasie polskie oddziały udały się w kierunku Radomia, a następnie - Warszawy. Jednym z tych, którzy brali udział w obronie stolicy przeciwko Prusakom i Rosjanom był Marcin Wiszniewski - woźnica rodem z Krasnegostawu. Podczas szturm nieprzyjaciela na Wolę, uratował - mimo ostrzału i utraty kilku koni pociągowych - armatę oraz wóz amunicyjny. Za ten bohaterski czyn, o którym donosił warszawski „Korrespondent Narodowy i Zagraniczny” otrzymał od Kościuszki dziesięć czerwonych złotych i złotą obrączkę z wrytymi kosami.

Chociaż niezbyt długo trwała okupacja Lubelszczyzny przez wojska rosyjskie, to jednak dały się one poznać tutejszej ludności z jak najgorszej strony, osłabiając skutecznie jej zapal dla poparcia insurekcji. Wykorzystując złą sytuację militarną Polski, 27 czerwca cesarz Franciszek I nakazał armii austriackiej wkroczenie do Rzeczypospolitej. Interwencja Austrii - chociaż niezbyt groźna militarnie - zamykała ostatecznie Polskę w pierścieniu wojsk nieprzyjacielskich. 2 lipca dywizja gen. Meiersheima (2 tysiące ludzi i 4 działa) wyszła z Zamościa i na nocleg dotarła do Krasnegostawu, zajmując go bez walki. W odezwie do mieszkańców głoszone, iż wszyscy zachowujący spokój wobec wkraczających oddziałów austriackich *zupełną nadzieją bezpieczeństwa i protekcji, ale też i swych dóbr i majątków cieszyć się mogą.* Za jakikolwiek opór grożono *surowością reguł wojskowych.* Ich „łagodność” w porównaniu z Rosjanami postępowanie *jednało im licznych zwolenników.* Władze okupacyjne zabroniły jednak wspomagania w jakiejkolwiek formie terenów objętych insurekcją. Zarządziły jed-

nocześnie spis ludności i dóbr materialnych. Austriacy przebywali na Lubelszczyźnie ponad dwa miesiące. Na wieść o zwinięciu 6 września przez Prusaków i Rosjan oblężenia Warszawy, opuścili oni zajęte tereny i wycofali się ku swoim granicom. Ich garnizony znajdowały się w tym czasie m.in. w Żółkiewce, Wysokim i Wojsławicach. Dlatego też przebywający w Lublinie nowy pełnomocnik władz powstańczych na teren Lubelszczyzny (w tym i powiat krasnostawski) ksiądz Mikołaj Tomaszewski proponował opanowanie przez polskie oddziały Krasnegostawu i Chełma, aby tym samym rozszerzyć ponownie powstanie na wschód. Plan ten nie uzyskał akceptacji wojskowych. Bez większych sukcesów zakończyły się także podjęte najpierw przez Kacpra Wereszczyńskiego, a następnie biskupa Ważyńskiego próby wznowienia w Chełmie prac komisji porządkowej (sierpień 1794 r.). Od końca września Austriacy zaczęli ponownie zajmować Lubelszczyznę. Przegrana Kościuszki 10 października pod Maciejowicami okazała się początkiem końca insurekcji. Konsekwencją klęski powstania był trzeci rozbiór ziem Rzeczypospolitej, a tym samym zniknięcie jej z mapy politycznej Europy. W jego wyniku Krasnystaw znalazł się w państwie habsburskim.

Artur Capała

Ważniejsze pozycje bibliograficzne:

1. K. Bauer, *Wojsko koronne powstania kościuszkowskiego*, Warszawa 1981.
2. W. Ćwik, *Krasnystaw w dobie stanisławowskiej*, [w:] *Rocznik Chełmski*, t. 2, 1996.
3. W. Ćwik, *Miasta królewskie Lubelszczyzny w drugiej połowie XVIII wieku*, Lublin 1968.
4. W. Ćwik, J. Reder, *Lubelszczyzna. Dzieje rozwoju terytorialnego, podziałów administracyjnych i ustroju władz*, Lublin 1977.
5. S. Herbst, *Z dziejów wojskowych powstania kościuszkowskiego 1794 roku*, Warszawa 1983.
6. Konstytucja 3 maja, oprac. Jerzy Łojek, Lublin 1989.
7. J. Lewandowski, *Komisja porządkowa chełmska w powstaniu kościuszkowskim*, t. 13, Lublin 1970.
8. D. Tarnasiewicz-Brodowska, *Z dziejów insurekcji kościuszkowskiej w ziemi chełmskiej*, [w:] *Ziemia chełmska*. Materiały z sesji naukowej historyków odbytej w Chełmie 21 czerwca 1959 r., red. J. Willaume, Lublin 1961.
9. A. Wolański, *Wojna polsko-rosyjska 1792 r.*, Warszawa 1996.

Ryszard Maleszyk

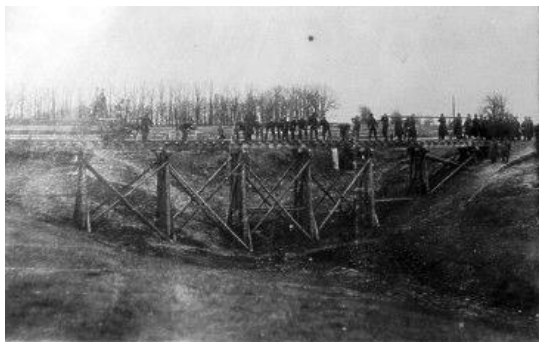
Początki kolei w Krasnymstawie



Położone w centrum guberni lubelskiej powiatowe miasto Krasnystaw, na początku drugiej połowy XIX wieku miało przyzwoite połączenia drogowe zarówno z Lublinem jak i z Warszawą. Dobrze podróżowało się też w kierunku Chełma i Zamościa, a stąd dalej nawet do Lwowa. Po wybudowaniu przez Rosjan w latach 1876-1877 szerokotorowej kolei nadwiślańskiej biegnącej z Warszawy do Lublina i dalej poprzez Chełm do Kowla, z Krasnegostawu do najbliższej stacji kolejowej w Trawnikach było zaledwie 23,5 km. Kolej stała się gospodarczo bardzo konkurencyjna względem dotychczasowego transportu konnymi podwodami. Z tego też względu rosły apetyty, by połączyć Zamojszczyznę, a szczególnie dobra Ordynacji Zamojskiej zarówno z Lublinem jak i Lwowem. Wiele okoliczności sprzyjało tym dążeniom, a gwarancja sukcesu wydawała się być niemalże nieuchronna, gdy Austriacy w 1887 r. doprowadzili kolej szerokotorową do Bełżca leżącego zaledwie kilka kilometrów od granicy z Kongresówką. W Bełżcu wybudowali lokomotywnię na 5 stanowisk, licząc najwyraźniej, że mimo ochładzających się stosunków politycznych pomiędzy Rosją a monarchią naddunajską, uda się nadal robić interesy gospodarcze, pod warunkiem, że Rosjanie dalej pociągną kolej przez Zamość, Krasnystaw, łącząc ją z magistralą nadwiślańską gdzieś pomiędzy Lublinem a Chełmem. Jednak mimo zabiegów ze strony ordynacji, okazało się, że co najmniej trzy gotowe projekty budowy linii kolejowej, nigdy nie zostały wdrożone do realizacji, gdyż na drodze zawsze stawał zarówno brak pieniędzy w rosyjskiej kasie jak i bardzo stanowcza niechęć władz wojskowych, dla których południowa część Zamojszczyzny stanowiła strefę przyfrontową, w której trwałych inwestycji należało unikać.¹

Mimo niepowodzeń w staraniach o wybudowanie pełnej magistrali kolejowej, w pierwszych la-

1. W każdym z tych projektów północna część linii przebiegała przez Krasnystaw, a konkretnie przez jego północne przedmieścia - przypis autora.



Prace na odcinku kolei wąskotorowej pomiędzy Krasnymstawem a Wólką Orłowską wykonywane jesienią 1915 r.

tach XX w. na terenie Ordynacji Zamojskiej powstało kilka odcinków kolejek wąskotorowych mających wyłącznie charakter gospodarczy.² Służyły one obsłudze transportu drewna i buraków do dobrze rozwiniętej sieci cukrowni. Tymczasem Krasnymstaw nadal pozostawał poza inwestycjami kolejowymi i nic nie wskazywało na to, by mógł na nie liczyć. W jakiejś mierze przekładało się to z roku na rok na coraz słabszy rozwój gospodarczy naszego regionu. Paradoksalnie, przełom na tej płaszczyźnie przyniosła zbliżająca się wojna światowa. W momencie jej wybuchu, w związku z bliską odległością od granicy i bliską odległością od kolei, rejon Krasnegostawu, stał się strategicznie bardzo ważny zarówno dla Rosjan jak i Austriaków. Celem sprawnego zaopatrzenia koncentrującej się w południowej części Lubelszczyzny 5. armii rosyjskiej, wybudowano w sierpniu 1914 r. w sposób pośpieszny, a przez to prowizoryczny, wojskową kolejkę wąskotorową o rozstawie osi 760 mm, biegnącą od Chełma przez Siennicę Nadolną, Krasnymstaw, Sitaniec, dołączając ją następnie na stacji Płockie do istniejącego już odcinka kolei podjazdowej biegnącej przez Zwierzyńiec do Biłgoraja.³ Wówczas to Krasnymstaw doczekał się pierwszego drewnianego dworca kolejowego (widocznego na zdjęciach przechowywanych w zbiorach Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie). W rejonie Krasnegostawu kolej miała nasyp,

a nieliczne wiadukty na przeszkodach wodnych były wykonane na drewnianych palach.

Rosyjska kolejka funkcjonowała do końca czerwca 1915 r., przewożąc towary dla potrzeb frontu, okresowo była też dopuszczona dla potrzeb cywilnego ruchu towarowego. Po przełamaniu frontu pod Gorlicami w maju 1915 r., Rosjanie stawiając zacięty opór, stopniowo ewakuowali się z Lubelszczyzny. Kolejkę systematycznie demontowano i ostatecznie pod koniec czerwca 1915 r., przestała istnieć. W lipcu w Krasnymstawie byli już niemieccy gwardziści.

Z obecnością Niemców w Krasnymstawie wiąże się kolejny etap rozwoju naszego lokalnego kolejnictwa. Ponieważ na froncie wschodnim, niemieckim grenadierom przyszło walczyć w bardzo słabo zurbanizowanym terenie, w tej sytuacji tony wyposażenia wojskowego, a szczególnie ciężka artyleria nie mogły być sprawnie transportowane piaszczystymi drogami zamieniającymi się w kałuże błota po kilkudniowych deszczach. Dlatego też niemieckie służby kwatermistrzowskie zostały wyposażone w bardzo sprawnie działające kompanie budowy kolei (zwane wojskami kolejowymi). Szykując się do ciężkiej przeprawy z wojskami rosyjskimi, by ostatecznie wyrzucić ich z Lubelszczyzny, już 28 czerwca 1915 r. w dowództwie niemieckiej Armii „Bug”⁴ podjęto decyzję budowy kolejki wąskotorowej na potrzeby frontu na trasie od Bełżca do Trawniki. Kolejkę budowano w niezwykle szybkim tempie. W Zamościu była gotowa na 1 sierpnia 1915 r. W dwa tygodnie później dotarła do Krasnegostawu, by 28 sierpnia osiągnąć Trawniki. Budowę prowadziło równolegle kilka kompanii budowy kolei (Eisenbahnkompanie) przy użyciu ogromnej liczby jeńców rosyjskich zgromadzonych w ruchomych

2. Szerzej o tym w pracy: H. Chwedyk, *Koleje wąskotorowe Ordynacji Zamojskiej*. Zamość 2006.

3. Konkretnie od najbardziej wysuniętych ku granicy koszar kozackich usytuowanych nieco na południowy wschód od zabudowań miasta.

4. Grupa armii państw centralnych atakująca Rosjan broniących się w widłach Wisły i Bugu, zwana była „Falangą”. Dowodził nią niemiecki feldmarszałek August von Mackensen. W jej skład wchodziła lewoskrzydłowa 4. armia austro-węgierska arcyksięcia Józefa Ferdynanda, następnie dowodzona osobiście przez feldmarszałka 11. armia niemiecka oraz wydzielona z niej na prawym skrzydle niemiecka Armia „Bug” - szerzej o tych zagadnieniach M. Klimecki, *Gorlice 1915*, Warszawa 1991, s. 108-118 *Österreich-Ungarns letzter Krieg 1914-1918*, T. II, Wien 1931-32, s. 560-564.

kompaniach jenieckich, a skoszarowanych najczęściej w ocalałych wsiach lub pod gołym niebem. W rejonie od Wólki Orłowskiej do Krasnegostawu, niemiecka kolejka o rozstawie szyn 600 mm biegła po nasypie dawnej rosyjskiej kolei wąskotorowej i oczywiście w rejonie dawnego dworca rosyjskiego.



Budynek pierwszej stacji kolejowej w Krasnymstawie przed 1915 r.

Niemieckie oddziały, po zajęciu powiatu krasnostawskiego, stacjonowały przez szereg kolejnych tygodni nie tylko w mieście, ale także w jego gminach, którymi administrowano pod względem okupacyjnym. Z uzgodnień na froncie pomiędzy sojuszniczymi armiami wynikało, że obszar środkowej Lubelszczyzny od Wisły do Piasiek i Trawniki włącznie podlegał 4. armii austro-węgierskiej, a położone dalej na wschód tereny powiatu krasnostawskiego w całości podlegały okupacji wojsk niemieckich.⁵ Niemcy eksploatację kolei rozpoczęli niemal równoległe z ukończeniem budowy. Ruchem kierowały kolejno 101, 102 i 104 Feldbahn Bietriebskompanie. Komendantura tej ostatniej mieściła się w Trawnikach. Koleją przewożono około 1 000 ton ładunków dziennie. Wkrótce po ulewnych deszczach trwających pod koniec sierpnia 1915 r., na kolei doszło do szeregu przestoi spowodowanych rozmięknieniem gruntu pod nasypami i wykolejeniem się, także w rejonie Krasnegostawu, kilku pociągów. Nawet niemiecka precyzja okazała się zawodna.

W pierwszych dniach września 1915 r. doszło do ostatecznego podziału stref okupacyj-

nych na terenach Królestwa Polskiego wydartych wojskom rosyjskim. Mimo, że Austriacy otrzymali całą środkową i południową Lubelszczyznę, to jednak licząca 118,5 km wąskotorowa kolejka wojskowa nadal była własnością armii niemieckiej, a Niemcy nie zamierzali bynajmniej z niej zrezygnować, mimo, że była ciągle reperowana rękami głównie rosyjskich jeńców. O kłopotliwej sytuacji donosił w swoich sprawozdaniach ppłk Schuberth, pytając generałgubernatora w Lublinie, jakie są rozkazy co do współpracy z Niemcami w zakresie wykorzystywania Deutsche Feldbahn. Takich dylematów było na terenie okupacji austriackiej znacznie więcej. Być może wpłynęły one na szybką decyzję we wrześniu 1915 r. austriackiego ministerstwa wojny o wybudowaniu kolei szerokotorowej dla potrzeb wojska od leżącej w Galicji stacji Bełżec do Rejowca, gdzie były dogodne warunki połączenia jej



Rosyjska lokomotywa parowa na stacji w Krasnymstawie wiosną 1915 r.

z eksploatowanym odcinkiem dawnej rosyjskiej Drogi Żelaznej Nadwiślańskiej. Tymczasem Niemcy, jesienią 1915 r. dopuścili na swojej kolei wąskotorowej do ruchu pasażerskiego. Z naszego rejonu zachował się w Archiwum Państwowym w Lublinie być może jeden z ostatnich rozkładów kolejowych z 16 stycznia 1916 r. na odcinku pomiędzy 90. km a stacją końcową tj. od stacji Wólka Orłowska przez Krasnostaw-Zadwórze-Wincentów-Łopiennik Ruski-Dobryniów-Oleśniki.⁶ W owym czasie część południowa kolejki została już wykupiona przez Austriaków, a budowa kolei szerokotorowej zbliża-

5. Archiwum Państwowe w Lublinie. C. K. Komenda Powiatowa w Lublinie 1915-1918 (dalej APL CK KPwL), sygn. 35. Skizze der Etappenbezirke 4 Armee, k. 31.

6. Archiwum Państwowe w Lublinie. C. K. Komenda Powiatowa w Krasnymstawie 1915-1918, sygn. 3, Fahrplan der Feldbahn Wólka Orłowska-Trawniki gültig ab 16 Jänner 1916, k. 9.

ła się do ukończenia. Ukończono ją już 28 lutego 1916 r. Był to koniec potrzeby dalszego utrzymywania niemieckiej kolejki ostatecznie rozebranej wiosną 1916 r. Też w połowie kwietnia 1916 roku Trawniki opuściła ostatnia niemiecka kompania eksploatacji kolei (104. Feldbahn Bietriebskompanie) dowodzona najprawdopodobniej przez Carla Büschera - autora pamiątkowego albumu ze zdjęciami „Meine Kriegserinnerungen” - „Moje wojenne wspomnienia”, będącego w posiadaniu Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie.



Jeńcy rosyjscy na drezynie pod eskortą żołnierza niemieckiego na trasie wojskowej kolei polowej

Austriacka kolej wojskowa zgodziła się na uruchomienie ruchu pasażerskiego z dniem 16 lipca 1916 r. Funkcjonowała pod rządami okupanta aż do pierwszych dni listopada 1918 r., kiedy to przeszła w ręce polskie. Zanim się to stało, przewieziono nią setki tysięcy ton towarów. Było z nią też wiele kłopotów. Przebiegała bowiem w dość ciasnej zabudowie wielu wsi. Spowodowało to wiele pożarów powstałych od lokomotyw nie mających iskrowników na kominach. Najgroźniejsze, szalejące w dniach 6, 7 i 12 maja 1916 r. zanotowano na Przedmieściu Zastawie i w Izbicy. Pod koniec wojny była poważnie wyeksploatowana i wymagała wielu nakładów. Swoją rozkwit miała dopiero w latach trzydziestych, ale to już zupełnie nowa historia.

Kręta niemiłosiernie kolej austriacka nie była jedyną inwestycją tego typu w rejonie Krasnegostawu. O nieistniejącej już kolejce wąskotorowej Żółkiewka-Izbica i o planach kolejowych związanych z Krasnymstawem opowiem w następnym numerze.

dr Ryszard Maleszyk

Literatura:

1. Akta C. K. Komendy Powiatowej w Krasnymstawie oraz w Lublinie z lat 1915-1918 w zbiorach Archiwum Państwowego w Lublinie.
2. Hubert Hwedyk, *Koleje wąskotorowe Ordynacji Zamojskiej*. Zamość 2006.
3. Carl Heinz Becker, Helmut Pochadt, *Wojskowa kolej polowa Bełzec-Trawniki*, [w:] „Świat kolei”, 2002, nr 11.
4. M. Klimecki, *Gorlice 1915*, Warszawa 1991.
5. *Österreich-Ungarns letzter Krieg 1914-1918*, T. II, Wien 1931-32.

Zdjęcia ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie.

Ryszard Maleszyk

W gościnnych murach
krasnostawskiego muzeum



Warto przypomnieć Czytelnikom, że od połowy sierpnia bieżącego roku Muzeum Regionalne w Krasnymstawie udostępniło zwiedzającym 5 nowych wystaw. Pierwszą z nich można już zobaczyć na dziedzińcu muzeum ozdobionym ekspozycją rzeźb dwóch cenionych i często współpracujących ze sobą rzeźbiarzy **Gustawa Hadyny** pochodzącego z Woli Grójeckiej k. Ćmielowa oraz wywodzącego się z Orłowa Murowanego **Stanisława Romańczuka**. To bardzo udany pomysł, by zagospodarować bardzo zadbaną, ale nieco pustą przestrzeń pomiędzy wejściem do zespołu pojezuickiego a zamkniętą częścią muzeum. Ekspozycja składa się z 23 rzeźb, a wśród nich przedstawiające m.in. ukrzyżowanego Chrystusa, polskich królów Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełłę, wybitnego malarza symbolistę Jacka Malczewskiego oraz papieża Jana Pawła II.

Także od sierpnia tego roku, w salonie obok refektarza można oglądać obrazy namalowane przez **Antoniego Teslara** podczas jego pobytu

w Krasnymstawie w 1941 r., co dobitnie wynika z dat, jakie umieścił artysta na swych dziełach. Prace zostały wykonane na kartonie, jak również farbami olejnymi na płótnie. Malarz nie dociekał szczegółów okupacyjnych w widoku miasta. Skupił się (jak wielu dostrzegających uroki miasta nad Wieprzem) na przedstawieniu jego panoramy od strony rzeki Żółkiewki oraz Krakowskiego Przedmieścia.

29 września 2011 r., z udziałem wielu zaproszonych gości, odbyło się otwarcie wystawy przygotowanej przez **Elżbietę Sobczuk** opatrzonej tytułem „**Ludowe kowalstwo artystyczne w powiecie krasnostawskim**”. Na wystawie zaprezentowano około 130 wyrobów mających charakter po części użytkowy, ale głównie artystyczny. Podjęte zadanie nie jest łatwym, gdyż w latach 50. XX wieku doszło w powiecie do niemalże kompletnego zaniku tego przepięknego zawodu. Dlatego wystawa ocalonych prac, mających już pół wieku, jest bardzo cenna, nie ujmując przyjemności oglądania bardzo ciekawych form wykutych z gorącego żelaza.

Od 12 października w holu głównym zostały zaprezentowane przepiękne wyroby uczestniczące w XV Przeglądzie Twórczości Ludowej, a 14 października swoje modele statków wojennych zaprezentował niezwykle pracowity, przepełniony pasją, a przez to sowiec utytułowany krasnostawski modelarz **Tomasz Guz**. Miałem okazję podziwiać wykonane z niezwykłą precyzją modele, ale niezapomniane wrażenie zrobił na mnie ich autor, który posiada imponującą wiedzę o flotach i okrętach wojennych walczących na morzach i oceanach w czasie II wojny światowej.

W sumie dyrektorowi i pracownikom Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie należą się słowa uznania za tak bogatą i różnorodną ofertę jesieni tego roku, którą naprawdę warto sobie przyswoić. Po szczegóły odsyłam na wspomnianą ekspozycję, którą można zwiedzać za darmo. Choć nie każdy wie, gdzie mieści się muzeum, to nie można oprzeć się wrażeniu, że jest to bardzo ożywiona działalność.

dr Ryszard Maleszyk

Lucjan Cimek

Krasnystaw w planach COP



W marcu, we wsi Płowo przystąpiono do wyrębu lasu, w grudniu, na wykarczowanym terenie stało już 18 hal produkcyjnych. Budowano od podstaw, jak wcześniej w przypadku Mościc i później, Gdyni. I w zawrotnym tempie. We wrześniu następnego, 1938 roku, miał tu miejsce wytop stali, przy czym po raz pierwszy w Europie użyto jako paliwa gazu ziemnego, eliminując z technologii węgiel. Wiosną 1939 r. był to już kombinat metalurgiczny z hutą żelaza, stalownią, fabryką armat, walcownią, elektrownią ciepłą i z otaczającym kombinat nowoczesnym osiedlem mieszkaniowym. Stalowa Wola, którą Melchior Wańkowicz - zapewne pod wrażeniem wcześniejszej podróży po ZSRR - określił mianem „polskiego Magnitogorska” była z pewnością największym przedsięwzięciem w Centralnym Okręgu Przemysłowym, zaś ten ostatni - bezsprzecznie największym przedsięwzięciem inwestycyjnym II Rzeczypospolitej.

Plan budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego czyli COP-u został zatwierdzony w lutym 1937 r. i był nawrotem do zrodzonej w latach dwudziestych XX w. koncepcji tzw. trójkąta bezpieczeństwa, rozbudowy przemysłu zbrojeniowego w widłach rzek: Wisły, Sanu i Dunajca. Jakkolwiek z czasem obszar owego „trójkąta bezpieczeństwa” został znacznie poszerzony o tereny leżące na zachód i na wschód, w potocznym rozumieniu COP utożsamiano najczęściej właśnie z rejonami znajdującymi się w widłach tych rzek.

Powstanie COP-u miało być początkiem walki o industrializację Polski, przekształcenie jej w kraj przemysłowo-rolniczy, spowodować przejście - jak pisał wspomniany już Wańkowicz - „od Polski leśnej i polnej” do „Polski zbrojnej i przemysłowej”. Rozwój przemysłu, dającego zatrudnienie bezrobotnym z miast i „ludności zbędnej” ze wsi, miał w konsekwencji doprowadzić do wzrostu zapotrzebowania na produkty żywnościowe, co spowodowałoby wzrost opłacalności gospodarki rolnej i rozszerzenie rynku wewnętrznego. To z kolei zwiększyłoby zapotrzebowanie na wyroby przemysłowe.

W perspektywie najbliższych lat, najważniejsze było przede wszystkim wzmocnienie siły obronnej państwa. Stąd i profil produkcyjny nowo budowanych fabryk, m.in. produkcji amunicji w Kraśniku, Skarżysku (rozbudowa), Jawidzu czy Dębnie, karabinów maszynowych w Sanoku, materiałów wybuchowych i środków chemicznych w Pustkowie, Niedomicach, Dębicy, Gorajewicach, samolotów w Mielcu, silników samolotowych w Rzeszowie. W sumie w ramach COP-u rozpoczęto budowę od podstaw 21 zakładów zbrojeniowych.

Nie rozpoczęto planowanej budowy fabryki dynamitu w Krasnymstawie, chociaż jej lokalizacja (po prawej stronie linii kolejowej Rejowiec-Zawada z dwiema bocznkami) została już wytyczona na terenie lasu miejskiego „Borek”. Miał to być nowoczesny zakład, bliźniaczo podobny do Wytwórni Materiałów Wybuchowych „Nitrat” w Niewiadowie koło Tomaszowa Mazowieckiego. Krasnystaw, o czym warto wiedzieć, znalazł się wśród 11 powiatów położonych w południowej części województwa lubelskiego w zasięgu tzw. obszaru intensywnego zagospodarowania, przewidzianego do realizacji w latach 1936-1940. Niestety, zabrakło czasu, pieniędzy... a może i czegoś więcej.

Ale powstawały inne zakłady, np. w Lublinie fabryka samochodów ciężarowych i osobowych w oparciu o licencję amerykańskiego koncernu General Motors. W momencie wybuchu drugiej wojny światowej, z zaprojektowanego kompleksu hal fabrycznych i budynków na Tatarach gotowa była hala montażowa oraz kotłownia. W Poniatowej powstały zakłady sprzętu łączności, w Rzeszowie - obrabiarek i reflektorów lotniczych, w Dębicy - sztucznego kauczuku (na polskim patencie) i opon samochodowych. W Rożnowie na Dunajcu i w Porąbce na Sole rozpoczęły się prace nad budową zapór i elektrowni wodnych mających stworzyć bazę energetyczną dla przemysłu. W 1937 roku gazociąg spod Jasła do Ostrowca Świętokrzyskiego zapoczątkował planowaną w przyszłości budowę całego systemu gazociągów (w COP-ie gaz ziemny miał być głównym paliwem energetycznym).

W latach 1937-1939, w związku z zaliczeniem Sanoka do Centralnego Okręgu Przemysłowego, w bezpośrednim sąsiedztwie

„Sanowagu” powstaje największa w tym rejonie inwestycja okresu międzywojennego - Fabryka Obrabiarek z przeznaczeniem na produkcję zbrojeniową. W 1938 roku rozpoczęto już pierwszą produkcję. Pierwszymi wyrobami były przeciwlotnicze działa szybkostrzelne, przyczepy do ewakuacji czołgów oraz konne kuchnie polowe. Powstało też w tym czasie na terenie COP-u wiele małych fabryczek i wytwórni różnych branż, przybyło dróg, zmeliorowanych gruntów, szkół, szpitali, rozbudowano infrastrukturę kolejową.

Centralny Okręg Przemysłowy wystawił jak najlepsze świadectwo pracowitości i solidności polskiego robotnika, wiedzy i talentu polskiego inżyniera. Jeśli idzie o mierzenie indywidualnych zasług, nie ma i nie było wątpliwości, komu należy jest chwała. Wicepremier i minister skarbu Eugeniusz Kwiatkowski, twórca Gdyni (i floty handlowej), inżynier chemik - organizator polskiego przemysłu azotowego (Mościce), po 1945 r. odbudowujący odzyskane wybrzeże Bałtyku, trafił on do wyobraźni społeczeństwa przez odwołanie się do marzeń przodków o własnej inicjatywie ekonomicznej. Wielki wizjoner procesu unowocześnienia cywilizacyjnego Polski, jak nazwie go niejeden z dzisiejszych historyków.

Stworzona przez niego koncepcja COP-u była tylko częścią znacznie większych zamierzeń. W grudniu 1938 r. Eugeniusz Kwiatkowski przedstawił sejmowi wielki 15-letni plan inwestycyjny. W tym czasie wpływ państwa na gospodarkę znacznie się zwiększył, np. zasadniczym źródłem finansowania inwestycji COP-u były środki państwowe. Plan Kwiatkowskiego (plany miały charakter orientacyjny, a nie nakazowy, jak w czasie PRL) podzielony był na pięć trzyletnich etapów. W końcowym z nich, w latach 1951-1954 miało nastąpić ostateczne zatarcie różnic między Polską A i Polską B. Miało też stracić sens znane powiedzenie, że „im dalej na wschód, tym większy smród”.

Eugeniusz Kwiatkowski rozumiał, że działalność gospodarcza, aby wydała dobre owoce, musi być prowadzona w sprzyjającym klimacie społecznym. Podczas jednego z posiedzeń sejmowej komisji budżetowej powiedział m.in.: *Nie wydaje się możliwym, by jakikolwiek program mógł być realizowany bez dobrej mocnej atmosfery za-*

ufania i poparcia, choćby to był wyłącznie program ściśle ekonomiczny. Bez przyjęcia pewnych zasad i ich skrzyętnego stosowania przez rządzących jak i rządzonych, najlepszy wysiłek daje tylko nikłe rezultaty.

Negatywnym przykładem takiego postępowania był Krasnystaw, gdzie władze miasta i powiatu pokpiły sprawę, uważając, że lepiej „zasypiać bez problemów” i jak najdalej od dynamitu. Dysponując korzystnym terenem, nie wykazano większego zainteresowania budową fabryki. Żadna delegacja nie udała się w tej sprawie do Warszawy. A szkoda, co wielokrotnie podkreślał - mając na względzie wysokie bezrobocie - ówczesny radny miejski i opiekun społeczny, ks. Aleksander Miszczuk.

Budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego nie mogła przesądzić o rozwiązaniu zasadniczych problemów gospodarczych. Z różnych względów zresztą COP miał ruszyć w pełni w 1941 roku. Pozostał przedsięwzięciem niedokończonym. Polskie bombowce „Łoś”, karabiny maszynowe wz. 37 „Szczeniak”, pistolety maszynowe „Mors”, czy rusznice przeciwcołgowe były rzeczywiście świetne, jedne z najnowocześniejszych i najlepszych na świecie. Cóż z tego, skoro było ich tak mało i nie mogły przesądzić o losach Września w obliczu dwóch potężnych agresorów, którzy sprzymierzyli się przeciwko Polsce.

Pozostał po COP-ie jednak bardzo ważny dorobek, do którego warto i należy sięgać, a czyni się to tak rzadko. Chodzi o stworzony w tamtych latach etos twórczej, sprawnej i solidnej pracy. Te wartości - niestety - dziś u nas już deficytowe, nie mogą zostać zagubione w pogoni za pieniądzem.

Lucjan Cimek

Autor składa serdeczne podziękowanie Panu prof. dr. hab. Piotrowi Matusakowi, dyrektorowi Instytutu Historii Akademii Podlaskiej w Siedlcach, byłemu pracownikowi naukowemu Wojskowego Instytutu Historycznego, za udostępnienie materiałów do publikacji.

Kazimierz Stołecki

Sylwetki biskupów chełmskich i chełmsko-lubelskich.

Diecezja chełmska. Część V



Jan Alojzy Aleksandrowicz. Dawna, krajowi zasłużona licznie rozrodzona rodzina bierze przydomek *Witold lub Witowt* (według tradycji, pochodzi od księcia Witolda). Jan, syn Marcina starosty bronowieckiego, i Heleny z Bachmińskich, urodzony w Brzozowie. Brat Tomasza, wojewody podlaskiego. Proboszcz skalski pod Kamieńcem (1757), kanonik honorowy lwowski (1760), proboszcz kamieniecki, dziekan przemyski (1769), kustosz gnieźnieński i proboszcz łęczycki. Oficjał generalny warszawski (1773), biskup koadiutor chełmski, biskup chełmski (1780-81), kawaler Orderu św. Stanisława (1780), senator.

Kapłan pobożny i wyłącznie obowiązkiem swego powołania zajęty, chlubną mu też sprawiedliwość oddał nuncjusz Archetti, zowiąc go w relacji papieżowi złożonej, ozdobą polskiego duchowieństwa. Zacny i pobożny kapłan, do intryg niemiejszający się, oficjał generalny warszawski 1773, biskup koadiutor chełmski 1775, tytularny biskup dardański 1776, kanonik honorowy lwowski 1753, dziekan przemyski 1769, kustosz gnieźnieński 1773, biskup chełmski i lubelski (20.03.1780).

Biskup Jan zmarł w wieku lat 54 w Krasnymstawie, pochowany w swojej katedrze, kościele jezuickim.

Maciej Grzegorz Garnysz. *Pochodził z drobnej małopolskiej szlachty (na dwóch wioseczkach w sieradzkim).* Trzeci syn Stanisława, zwykłego szlachcica, i Marianny z Rudkowskich, urodzony w Skomlinie. Miał zdolności do nauk ścisłych. W Rzymie na Uniwersytecie La Sapienza, wcześniej uzyskał doktorat prawa (1767). W kraju wspinał się po szczeblach kariery duchownej. Był kolejno: kanonikiem kujawskim, proboszczem w Inowrocławiu, dziekanem kujawskim, dziekanem larandeńskim i sufraganiem pomorskim (1775-81). Przy poparciu Antoniego Ostrowskiego (późniejszego prymasa) został koadiutorem biskupa (1778), biskupem chełmskim (1781-90). Objął funkcję **referendarza wielkiego duchownego**

(04.05.1778-07.09.1781) i **podkanclerzego koronnego** (29.12.1786-02.10.1790+). Maciej został konsyliarzem Rady Nieustającej (1782-84), zajmując stanowisko w departamencie skarbowym. Jako delegat Rady, kontrolował działalność Komisji Edukacji Narodowej, w której skład wszedł w maju 1783 roku.

Czas biskupa Macieja wypełniała działalność publiczna. Cieszył się niezmiennym autorytetem ze względu na zdolności i uczciwość. Światły i wykształcony, podejmował się z sukcesem wielu działań: od nadzoru nad budową koszar, przez interwencję w sporze biskupa krakowskiego Sołtyka z jego kapitułą, nadzór nad biblioteką Żałuskich, opiekę nad archiwum jurydycznym Komisji Edukacji Narodowej, po kontrolę nad czynnościami Komisji Skarbowej, której zarzucił szkodliwy zwyczaj sprzedawania przez jej funkcjonariuszy urzędów skarbowych. Wystąpił w obronie swojego dobrodziejstwa i patrona zmarłego prymasa Antoniego Ostrowskiego, podejrzewanego o sprzyjanie obcym dworom za pieniężne gratyfikacje. Został jednym z pełnomocników do podpisania traktatu z Prusami w roku 1790. Kawaler Orderu Orła Białego i Orderu św. Stanisława.

Maciej był ostatnim biskupem chełmskim, a zarazem pierwszym chełmsko-lubelskim. Po odbyciu ingresu, powrócił do Warszawy, pozostawiając diecezję pieczy sufragana Melchiora Kochnowskiego. Maciej, jako biskup chełmski, w ważnych sprawach duchowieństwa korzystał z pomocy Jana Pawła Woronicza, późniejszego prymasa Polski, który podówczas mieszkał w Krasnymstawie i najważniejsze sprawy bieglemu jego pióru poruczał. Jan Paweł Woronicz pisał mowy i tworzył dokumenty kościelne.

Kapituła chełmska, za zgodą biskupa Macieja zwróciła się do arcybiskupa gnieźnieńskiego o przyjęcie diecezji do gnieźnieńskiej metropolii (15.07.1782), co nastąpiło przed 1787 r. Prymas Polski, Michał Jerzy Poniatowski, w relacji do Rzymu w 1789 roku, do gnieźnieńskiej metropolii zaliczył m.in. diecezję chełmską i kijowską. Nie uzyskało to aprobaty Rzymu. Na wniosek biskupa Garnysza, Sejm Czteroletni przyłączył archidiakoniat lubelski do diecezji chełmskiej (11.06.1790).

Maciej był zacnym człowiekiem: poczciwy, pracowity, nieposzlakowanej uczciwości, miał dobre serce i miłosierdzie, wspierał ubogich, tak że często sam nie miał nic dla siebie. Niemniejsze czynią dzięki za konferowaną mniejszą pieczęć Garnyszowi biskupowi chełmskiemu przykładnemu w Kościele bożym pasterzowi i w radach publicznych senatorowi (18.08.1788). Odbił wjazd do katedry chełmskiej, ale w kilka dni powrócił do Warszawy i stałe w niej osiadł, rządy biskupstwa zdawszy na sufragana Melchiora Kochnowskiego (1782). Tabacznik zapamiętały, ciągle niuchał, nie wytrzymał chwili bez tabaki. Żartowano z tej księdza podkanclerzego niewinnej słabości, gdy machinalnie ręką sięgał po tabakę. Miał ją wszędzie w mieszkaniu, na każdym miejscu, na każdym stoliku. Na sejmie wielkim, Garnysz publicznie oskarżał zacie swoje ubóstwo. Na sesji narzekał (23.12.1788), że nie jest w stanie zapłacić nawet składki od Orderów Orła Białego i św. Stanisława, które od króla otrzymał. Posiadał wprawdzie biskupstwo, ale z niewystarczającym funduszem, a pieczęć była bez pensji. Pierwszy odepnę gwiazdy i zdejmę order, mówił, bo nie mam, i nie wstyd mi tego, i z chlubą wyznaję, z czego takiej składki zapłacić. Wg anegdotki, założył się z Adamem Ponińskim, podskarbis wielkim koronnym, że przez cztery tygodnie postrzyma się od tabaki. Biskup wytrwał i otrzymaną sumę rozdzielił pomiędzy biednych.

Biskup Maciej Garnysz powrócił jednak do tabaki, która stała się przyczyną jego przedwczesnej śmierci. Zmarł w Warszawie w młodym wieku lat 50.

Wojciech Józef Skarszewski. *Dom starożytny w województwie Kaliskim.* Wojciech, syn Marcina i Marianny z Szymborskich, urodzony w Janowie na Kujawach, pochodził z zamożnej rodziny szlacheckiej. Pobierał nauki u jezuitów w Krzemieńcu i Lwowie. Studiował prawdopodobnie we Włoszech, doktorat obojga praw uzyskał na Uniwersytecie Krakowskim (10.05.1773). Od czasu nauk w seminarium duchownym, zasłynął ze znakomitej wymowy i biegłości w sztuce argumentacji. Ostatecznie święcenia kapłańskie otrzymał w 1776. Od tego czasu jego kariera biegła szybko, dzięki wsparciu biskupa Józefa Rybińskiego. Został audytorem i sędzią generalnym diecezji

pomorskiej (1777). Zastępował go w prowadzeniu spraw biskupstwa. Został proboszczem w Gołębiu (1779) (dekanat puławski), w Gdańsku (1782). Koadiutor sulejowskiego opata cystersów (1790). Prepozyt w kapitule włocławskiej (1782-86), **pisarz wielki duchowny** (08.04.1786-29.11.1790). Sekretarz Rady Nieustającej (1787). **Podkancle-ryz koronny** (26.11.1793-06.04.1794). Był ostatnim biskupem chełmsko-lubelskim (1790-1805), a później pierwszym biskupem lubelskim (1805-24). Arcybiskup warszawski (**prymas**) (1824-27), powołany w wieku 81 lat, rządził archidiecezją przez trzy lata.

Wojciech był przeciwnikiem Konstytucji 3 maja. Przystąpił do konfederacji targowickiej, a jako senator duchowny wziął udział w rozbiorowym sejmie grodzieńskim (1793). *Nie pospieszysz do Grodna żaden z koronnych biskupów, przybył tam jeden świeżo nominowany biskup chełmski Skarszewski.* W czasie insurekcji kościuszkowskiej został aresztowany, oskarżony o zdradę stanu i skazany na karę śmierci przez sąd wojskowy za to, że podczas sejmu rozbiorowego zwołał posłów z przysięgi, która zabraniała im naruszyć całość Rzeczypospolitej (11.09.1794). Po interwencji nuncjusza papieskiego, Tadeusz Kościuszko ułaskawił biskupa Wojciecha. *Rewolucyjny kryminalny sąd wojskowy skazał na śmierć, ale pan Kościuszko złagodził tę karę na wieczne więzienie, a feldmarszałek Suworow objąwszy Warszawę, zaraz mu wrócił wolność.*

Współcześni postrzegali chełmskiego biskupa Skarszewskiego, jako cnotliwego pasterza i senatora. Biskup stanął w obronie karmelitów w Lublinie i wystosował memoriał do cesarza Franciszka II (1804). Dekret Kancelarii Nadwornej zezwolił karmelitom na pozostanie i przeniesienie do nowej siedziby (1806). Biegłość w sztuce argumentacji pomogła mu w opracowaniu memoriału *Uwagi polityczne imieniem stanu duchownego do zbioru praw polskich podane* (1778). Działalność polityczna, podobnie jak u poprzednika, nie pozwalała mu na przebywanie na terenie diecezji. Mianował audytora - ks. Jana Pawła Woronicza (późniejszego prymasa).

Prymas zmarł w Warszawie. Pochowany w podziemiach warszawskiej archikatedry.

Biogramy biskupów pomocniczych (sufraganów)

Abraham Jan Jacek Śladkowski (Śladkowski). Dominikanin, tytularny biskup Cytry, pleban w Sawinie (do 1630), prepozyt w Belzie (1637-1643), Hrubieszowie (do 1643), kanonik chełmski (1626-1631), prepozyt katedry w Krasnymstawie (1631-1643). Pierwszy sufragan chełmski biskupa Macieja Łubieńskiego, *który upatrzył Abrahama Śladkowskiego, zakonnika reguły Św. Dominika, teologa niepospolitego, życiem i nauką, a opowiadaniem słowa bożego, znakomitego i uprosił u króla, aby uczynił wniosek do Stolicy Apostolskiej o wyniesienie go do godności biskupa sufragana biskupstwa chełmskiego. Jakoż Grzegorz XV, papież, przychylając się do tych próśb, mianował Śladkowskiego biskupem cytrynieńskim, a biskup Maciej udzielił mu święcenie biskupie.* W PSB podano, że w końcu życia, Abraham przeszedł na obrządek greckokatolicki.

Mikołaj Roman Świrski (Swirski) z Romanowa. *W województwie Ruskiem, zdawna się pisać z Romanowa.* Mikołaj wstąpił do jezuitów w Krakowie (1623), dymisjonowany we Lwowie (1629). W zakonie studiował logikę w Kaliszu oraz uczył syntaksy w Lublinie i Lwowie. Po dymisji z zakonu był sekretarzem królewskim (1647). Deputowany do Trybunału Koronnego (11 razy). Kustosz gnieźnieński. Proboszcz w Lubomli, Turobinie, Pawłowie i Chełmie. Został tytularnym biskupem cytrynieńskim i sufraganem chełmskim (1644). Po śmierci biskupa Jana Różyckiego przez dwa lata pełnił obowiązki administratora diecezji (1669-71). Jako sekretarz królewski, żył na dworze trzech królów: Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza. Mąż uczony, pisarz religijny, poeta, historyk. Kilka dzieł podał do druku: *Prawda staropolska, historyczną relacją wsparta* (Zamość, 1660), *Relatio belli Szeremetici IX-XI 1660*, napisana wierszem (Zamość 1661), *Annales Poloniae (1657-1666)*.

Mikołaj był człowiekiem wielce zasłużonym i ofiarnym. Pobudował liczne kościoły i ufundował klasztory. Konsekwował kościół w Turobinie

(1650) złupiony i sprofanowany przez Kozaków (10.11.1648). *Na placu Litewskim, w miejscu przezeń zakupionem* (w pobliżu obecnego pomnika Unii) *wzniósł kościół, klasztor i szpital Jana Bożego, dla oo. bonifratrów* (1649-53), *rozebrany w latach 1819-1820. Szpital Bonifratrów dla obłąkanych oraz drewniany szpital Bractwa Miłosierdzia dla pozostałych chorych. Przy kościele, jak to dawniej bywało, znajdował się cmentarz grzebalny otoczony murem klasztornym.* Fundował klasztor i kościół oo. Bernardynów (słynny z odpustów i obrazu św. Antoniego) w swoim majątku w Radeczniczy (1667), Pijarów w Chełmie (1667-69), szpitale bonifratrów w Krasnymstawie (1677), Lublinie i Zamościu 1657. Sufragan chełmski założył przy katedrze bractwo św. Anny, które objęło kościołek znajdujący się na cmentarzu.

Biskup Mikołaj zmarł w podeszłym wieku, pochowany w Krasnymstawie.

Jan Konstanty Woźuczynski z Woźuczyna. Rodzina Woźuczynskich przybyła z Mazowsza. Jan był synem Jerzego, właściciela Woźuczyna. Święcenia kapłańskie (1679). Prepozyt chełmskiej kapituły katedralnej. Dwukrotnie piastował urząd administratora diecezji chełmskiej podczas wakansów: po przejściu Krzysztofa Żegockiego do Włocławka (27.08.1673-18.02.1674) i po przeniesieniu Stanisława Dąbskiego do Łucka (01.01.1677-02.07.1677). Mianowany został tytularnym biskupem biblieńskim (1680). Był biskupem pomocniczym diecezji chełmskiej i opiekunem kolegiaty zamojskiej (1680-87).

Jan Konstanty był ostatnim przedstawicielem w męskiej linii rodu Świrskich. Właściciel Woźuczyna od 1657 roku. Dobra woźuczynskie wypuszczał w dzierżawę. W czasach Jana, został spalony zamek w Woźuczynie (1666). Jan wyświęcił nowy kościół w Woźuczynie (1684), fundowany przez swojego siostrzeńca, Jerzego Łęskiego w miejsce starego, będącego w ruinie. Biskup ufundował do głównego ołtarza kościoła w Woźuczynie zachowany do dziś obraz Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny i być może sam go koronował.

Jan Dłużewski z Dłużewa. Rodzina nazwisko wzięła od wsi Dłużewo w ziemi czerskiej Księstwa Mazowieckiego. Jan, syn Krzysztofa i Anny ze Stawskich z województwa ruskiego.

Wstąpił do jezuitów w Krakowie (15.09.1674), dymisjonowany w Poznaniu (1685). Kanonik poznański (1690) i przemyski, kantor kamieniecki, oficjał i proboszcz łukowski (1694), proboszcz zbuczynski, ratneński i porażeński, deputowany na Trybunał Koronny, tytularny biskup gracjiopolitański, administrator arcybiskupstwa kamienieckiego, proboszcz i sufragan chełmski (1696-1720). Administrował diecezją po śmierci Święckiego (02.11.1696-26.07.1699). Został biskupem nominatem kamienieckim.

Stronnik Stanisława Leszczyńskiego *i bardzo lubiany od tego monarchy, którego sobie uskarbił względy przez to, że należał do liczby kilku suffraganów asystujących przy koronacji jego w Warszawie. Dnia 4 X 1705 Koronacja króla Imci Stanisława Leszczyńskiego z królową Ichmością Katarzyną się odprawiła, w kościele Śgo Jana kolegiaty warszawskiej. Koronował JKsiądz Zieliński arcybiskup lwowski, assystował JKs. Dłużewski, sufragan chełmski.* Mianowany przez Stanisława Leszczyńskiego biskupem kamienieckim, następnie administratorem arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, a w końcu nawet arcybiskupem (**prymasem**). *Upadek Leszczyńskiego i powrót na tron Augusta II zniweczyły jego nadzieje, nie utrzymał się nawet przy biskupstwie, gdyż papież stanowczo odmówił mu tej godności.* W taki sposób biskup Jan popadł w konflikt i z królem, i z władzą papieską. *O dalszych losach niedoszedłego prymasa milczy historia. Zdaje się, że zdyskredytowany wobec Stolicy Apostolskiej, króla i prymasa, usunął się na swoją suffraganię chełmską i tam życia dokonał.*

Walenty Konstanty Czulski. Doktor obojga praw. Archidiakon, oficjał i kanonik chełmski, lubelski, lubomelski, parczewski, proboszcz pełczyński, pisarz Stolicy Apostolskiej (1687), tytularny biskup kaudiopolitański, sufragan chełmski (1721-23+). Zasłużył się wybitnie dla diecezji, z jego dotacji powstało seminarium duchowne w Krasnymstawie, erygowane przez biskupa Krzysztofa Szembeka. Biskup Walenty przeznaczył na ten cel 18 000 złotych (na utrzymanie 12 alumnów). Wybudował piętrowy dom dla kleryków. Wychowanie i kształcenie alumnów prowadzili jezuita (1719-25), potem

misjonarze św. Wincentego à Paulo, księża diecezjalni i profesorowie Akademii Zamojskiej. Seminarium krasnostawskie rozwiązał bp Wojciech Skarszewski (1809).

Krasnostawskie seminaryum winno swój początek Walentemu Konstantemu Czulskiemu, doktorowi obojga prawa, archidiakonowi chełmskiemu, który w pierwszej połowie 18 wieku wystawiwszy obok kościoła katedralnego gmach obszerny na seminaryum, toż ośmnastu tysiącami złotych polskich, tudzież częściami swemi folwarków Karwowszczyzna, Głuchowszczyzna i Kłodniczyzna nad rzeką Wieprzem uposażył. Wszystko to potwierdził synod chełmski w 1717 złożony. Biskup podyktował nawet szczegółowy jadłospis stołu kleryków, o których wcześniej mówiono, że „oszczędnie się karmią”.

Michał de la Mars, Delamars, Delamar, Delamare, Delamart, Delamer. Z rodziny pochodzenia francuskiego. Michał, syn Mikołaja, ludwisarza, i Wiktorii. Wstąpił do jezuitów w Krakowie (14.09.1685), dymisjonowany w Poznaniu (11.02.1697). Doktor obojga praw (1702), kanonik krakowski (1721), archidiakon i oficjał lubelski, pleban bełżycki i turobińsko-czerwieński (1713-25), oficjał i proboszcz tarnowski, kantor chełmski, pleban w Bełżycach, u św. Mikołaja w Lublinie. Audytor biskupa krakowskiego Szaniawskiego (1723), biskup sufragan kamieniecki (1723), sufragan chełmski (1724-25). Profesor Akademii Zamojskiej. W testamencie pozostawił lubelskiemu kolegium jezuitów bogaty księgozbiór. Pochowany w kryptach katedry lubelskiej.

Józef Olszański z Olszanicy. Olszańscy ze wsi Olszanica z północnego Mazowsza. Przenieśli się na Podlasie, gdzie założyli osady: Olszany i Olszanki; z Podlasia jedna ich linia osiedliła się na Litwie, druga - na Wołyniu i ta w XVIII stuleciu liczyła się do możniejszych rodzin swego województwa. Józef, syn Mikołaja Baltazara, chorążego, a następnie kasztelana wołyńskiego, rotmistrza królewskiego, i Teresy z Wielhorskich kasztelanki wołyńskiej herbu Kierdej. Tytułarny biskup serreński (1727), sufragan chełmski (1726-38), kanonik gnieźnieński (1730-32), proboszcz i *sede vacante* administrator diecezji łuckiej, infułat ołycki. Zmarł wieku lat 53 w Łucku i tam pochowany.

Józef Antoni Łaszcz (Tuczapski). Ze starej mazowieckiej rodziny, która wzięła za nazwisko imię Łukasz, przepolszczone na Łaszcz, już w początkach XV stulecia była osiedloną w wojew. bełżkiem a w XVI wieku licznie rozrodzona, brała przydomki od majątków. Z tych linii Tuczapska z Tuczap w ziemi bełskiej była najmożniejszą i w końcu XVII stulecia liczyła się do magnackich, lecz już w środku XVIII zgasła. Początki osady Łaszczów (miasta od 1549), założonej na gruntach wsi Domaniż, wiążą się z przybyciem rodu Łaszczów z Mazowsza w połowie XV w.

Józef był drugim synem Aleksandra Michała, kasztelana i wojewody bełskiego oraz Elżbiety z Modrzewskich. Ostatni z Łaszczów Tuczapskich, dziedzic dóbr: Łaszczów, Tuczapy, Waręż i Wielkie Oczy. Uczył się w szkole jezuickiej we Lwowie i w kolegium pijarskim w Warężu. Ojciec oddał mu starostwa grabowieckie i jasielskie. Józef otrzymał list przepowiedni na chorągiew pancerną po ojcu (1720), konsens na cesję starostwa grabowieckiego Tarle (1726). Józef, *pięknej urody i wielkich nadziei młodzieniec*, był zaręczony z Franciszką Cętnówną, a zaręczyny odbyły się na zamku w Sośnicy (1726). W ich historii kryje się tajemnica, bowiem przed samym ślubem odmienił zamiary i został księdzem. Wybrano go do rady przybocznej prymasa Potockiego, następnie wyniesiony został na prałaturę tej kapituły (1729), uzyskując godność kanclerza. **Przewodniczący Trybunału Koronnego** (1730 i 1737). Kanonik gnieźnieński (1728), krakowski (1729), poznański i wileński, kanclerz gnieźnieński (1732), opat hebdowskich norbertanów, tytułarny biskup antypatryjski (1738), sufragan chełmski (1738-44), koadiutor kijowski (1743). *Kapituła Gnieźnieńska według starego zwyczaju obierała w lecie 1730 roku dwóch deputatów na Trybunał Koronny. Tą razą kolej padła na Józefa Łaszcza Kanclerza, który był panem milionowej fortuny, i ostatnim potomkiem zasłużonego imienia w Rzplitej.*

Był sufraganem chełmskim i koadiutorem kijowskim (1740). Wikariuszem generalnym diecezji chełmskiej. Przyczynił się do budowy pałacu biskupiego. Dobroczynny i zacny. Znany był z opieki nad ubogimi, wspierania klasztorów i kościołów. Troszczył się o biednych i opuszczonych,

organizował darmowe stołówki. Wspomagał redemptorystów w Tomaszowie i Warszawie, reformatorów w Rawie, pijarów w Warężu. Znaczną sumę przekazał na rozbudowę seminarium duchownego w Krasnymstawie. Zapisał na Łaszczowie sumę 3 000 zł dla tamtejszych proboszczów (1729). Sprowadził do Łaszczowa jezuitów i ufundował im kościół i kolegium (1731). Uposażył cerkiew w Wasiłowie (1743).

Wielkich fortun ojczystych dziedzic, jako jedynak, miał pojąć w małżeństwo Franciszkę Cetnerównę, wojewodziankę smoleńską, ale zmienił przedsięwzięcie przed samym ślubem i obrał sobie stan duchowny. Zadziwieniem to było wszystkim pańskim domom. Patrzono się z uwielbieniem na młodzieńca najpiękniejszych przymiotów, wykształconego do wielkich rzeczy, gardzącego światem. Franciszka Cetnerówna, z którą był zaręczony, wyszła za mąż za Michała Józefa Rzewuskiego, po śmierci Józefa. Tak nawiasem, mieli czterech synów i trzy córki, a ich syn Adam był kanonikiem krakowskim (do 1764).

Biskup Józef zmarł młodo, w wieku 43 lat. Był ostatnim z Łaszczów Tuczapskich, a jego ogromny majątek (m.in. Łaszczów, Nabróż, Tuczapy, Typin) odziedziczyła jedyna siostrzenica Józefa - Anna Elżbieta z Potockich Potocka.

Jan Chryzostom Krasieński z Krasnego.

Rodzina mazowiecka wzięła nazwę od Krasnego w ziemi ciechanowskiej. Jan, syn Jakuba, kasztelana ciechanowskiego, i Barbary z Kuklińskich, stolnikówny ciechanowskiej. Był stryjem krasnostawskiego starosty Kazimierza Krasieńskiego. Studiował w Rzymie i tam na Uniwersytecie Sapienza otrzymał tytuł doktora obojga praw (1725). Po studiach, przez dłuższy czas przebywał na dworze Stanisława Leszczyńskiego w Lotaryngii. Był wielkim jałmużnikiem u królowej Katarzyny (1741), opatem św. Eligiusza. Po powrocie, był kantorem plockim, kanonikiem kujawskim, warmińskim i kustoszem chełmskim. Tytułarny biskup lorymeński. Został sufraganiem chełmskim (1748-57) przy Józefie Szembeku. *Podczas sejmku, 3 listopada 1748 roku nastąpiła w kaplicy na Zamku Królewskim konsekracja biskupa sufragana chełmskiego, Jana Krasieńskiego.* Obecny krasnosielecki kościół pa-

rafialny, został ufundowany przez biskupa Jana i jego bratanka Kazimierza. Z inicjatywy Jana wybudowano z drewna sosnowego kościół w Drążdżewie koło Przasnysza (około 1744). Przed rokiem 1762 Jan poskładał wszystkie godności. Zmarł i został pochowany we Fromborku. Późnobarokowe epitafium biskupa znajduje się w kościele w Krasnymstawie.

Dominik Józef Kielczewski z Kielcwa. Z dawnej wielkopolskiej rodziny, która wzięła nazwisko od wsi Kielczew w powiecie konińskim. Syn Jana Zygmunta, skarbnika kaliskiego, i Zofii z Łętkowskich. Doktor teologii, kanonik krakowski, proboszcz łowicki, kielecki, chełmski, łucki, wolborski i oświęcimski, kanonik wrocławski (1737, 1738, 1750). Oficjał generalny krakowski i asesor sądów siewierskich (1755). Brał udział w posiedzeniach Trybunału Koronnego (1757), jako deputowany kapituły. Tytułarny biskup Hermopolis (1760), sufragan chełmski (1760) i krakowski. Konsekracja odbyła się 15 lat później w kolegiacie zamojskiej. Wkrótce Dominik zrezygnował z sufraganii chełmskiej. *Kanonik krakowski i kujawski, biskup hermopolitański i sufragan chełmiński, człowiek biegły w prawie duchownym i krajowym, mąż uczony. Proboszcz chełmski, łucki, kielecki i oświęcimski, oficjał generalny krakowski (1755) i w tymże roku asesor sądów siewierskich. Asystował biskupowi na sejm roku 1756, a będąc deputatem od kapituły, jeździł na Trybunał Koronny roku 1757. Został sufraganem (1760).* Zmarł w Krakowie i pochowany w katedrze krakowskiej; tam ma wystawiony pomnik.

Melchior Jan Kochnowski. Syn Jana i Anny z Jarmułów, urodzony w Szczekocinie. Otrzymał gruntowne wykształcenie, studiował na Akademii Krakowskiej (1735-38). W Akademii Zamojskiej zdobył doktorat filozofii i obojga praw (1741). Przez szereg lat był profesorem Akademii Zamojskiej, wykładał między innymi: poezję, retorykę i prawo państwowe. Był kolejno: dziekanem wydziału, rektorem (1758-59) i wicekanclerzem. Kanonik kolegiaty zamojskiej (1745), archidiacon katedry chełmskiej (1762), kustosz (1765). Tytułarny biskup dionizyjski (1775). Sufragan chełmski (1775-88), po rezygnacji Dominika Kielczewskiego. Stolica

Apostolska zatwierdziła tę nominację, nadając jednocześnie godność tytularnego biskupa dionizyjskiego. Po śmierci Jana Aleksandrowicza, Melchior został administratorem diecezji (1781). Piastował godność prepozyta w Turobinie i czerpał z tego tytułu znaczne dochody, liczące 6 tys. zł. Kawaler Orderu św. Stanisława (1768), razem z orderem otrzymał szlachectwo (legitymował się ze szlachectwa w bełskim sądzie ziemskim (1783)). *Bardzo był pracowity, lubił wiele pisać, a z powodu mnogich zatrudnień często bywał roztrągniony.*

Melchior podejmował króla Stanisława Augusta, podróżującego przez Krasnystaw do Kaniowa. *Dnia 5 marca 1787 w Poniedziałek. o 7-mey godzinie, gdy wyszedł z pokoiów swoich, zaraz potem wyjechał z Zamku Naji: Pan i nayprzod udał się do Kościoła niegdyś Jezuickiego, a teraz Katedralnego, przed którego drzwiami przyjętym był od JXdza Kochnowskiego Suffragana tamecznego, i caley Kapituły zaprowadzony przed wielki Ołtarz, nagotowane do słuchania Mszy Ś. zastąpił miejsce. Przede Mszą miał Mowę wspomniany JXiądz Suffragan, i łaskawą na nią odebrał odpowiedź; po Mszy zaś po rozdaney ubogim iałmużnie i oglądanym godnym widzenia dla wewnętrzney struktury Kościoła, szedł do Kollegium odwiedzić.*

Wawrzyniec Józef Żłoba Czerczycki. *Dawna i zamożna familia na Wołyniu i Rusi Czercwonej, ma przydomek Łasko i Żłoba.* W powiecie łuckim, Czerczyccy, Czernczyccy z Czernczyc. Wawrzyniec, urodzony na Wołyniu, studiował w Akademii Zamojskiej; tam uzyskał doktorat z filozofii (1754). Jako stały profesor Akademii, prowadził zajęcia z: fizyki, logiki, cywilnego prawa rzymskiego i retoryki (1757-75). *Dziekan katedralny i oficjał jeneralny chełmsko-lubelski, przez lat 20 profesor, a następnie rektor Akademii Zamojskiej. Został prepozytem turobińskim (1792), oprócz zaś Turobina posiadał dwa inne beneficja: w Tarnogórze i Łukowej. Sufragan chełmski (1792), jednakże ze względu na rozbiory, Stolica Apostolska nominacji nie zatwierdziła. Deputat do Trybunału Koronnego. Zmarł w Łukowej, jako nominat sufragan chełmski (1805).*

Kazimierz Stołecki

Najważniejsza literatura:

1. X. Kasper Niesiecki SJ, *Korona Polska przy złotey wolności*, Drukarnia Collegium Lwowskiego Societatis Iesu, Lwów 1728.
2. Ks. Michał Nowodworski (wyd.), *Encyklopedia kościelna według teologicznej encyklopedji Wetзера i Weltego*. T. I-IX. Drukarnia Czerwińskiego i Spółki, Warszawa 1873-1876.
3. Adam Boniecki, *Herbarz Polski*, Skład Gebethner i Wolff, Warszawa 1900.
4. Praca zbiorowa, *Polski Słownik Biograficzny* (PSB), Polska Akademia Umiejętności, Zakład Narodowy im. Ossolińskich. PAU/PAN/PAU Wrocław-Warszawa-Kraków 1935-2010.
5. Ludwik Łętowski, *Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich. Biskupi krakowscy*, Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1852.
6. Julian Bartoszewicz, *Arcybiskupi gnieźnieńscy, prymasi Rzeczypospolitej i warszawscy, prymasi Królestwa Polskiego: wizerunki z Galeryi Łowickiej*, Księgarnia Polska Adama Dzwonkowskiego, Warszawa 1864.
7. Teodor Żychliński, *Złota księga szlachty polskiej*, t. 1-31, Drukarnia Jarosława Leitgebra, Poznań 1879-1908.
8. Ks. Jan Korytkowski, *Prałaci i kanonicy katedry metropolitalnej gnieźnieńskiej od roku 1000 aż do dni naszych*. T. 1-4. Nakładem i drukiem Jana Bernarda Langiego, Gniezno 1883.
9. Stanisław Tomkowicz, *Galerya portretów biskupów krakowskich w krążgankach klasztoru oo. Franciszkanów w Krakowie*, Biblioteka Krakowska, Drukarnia Czasu, zarząd Aleksandra Świerzyńskiego, Kraków 1905.
10. Seweryn hr. Uruski, Rodzina. *Herbarz szlachty polskiej*, t. 1-15. Wsp. Adam Amilkar Kosiński, Aleksander Włodarski, Wyd. Gebethner i Wolff, Warszawa 1904-1931.
11. Adam Konderak, *Dziedzictwo duchowe ziemi chełmskiej, Biskupi chełmscy*, Zwierciadło Chełmskie, Chełm, 1990, 5 do 1991, 8(29).
12. Robert Kozyrski, *Parlamentarzyści duchowni, biskupi diecezji chełmskiej w XVI i połowie XVII wieku*, [w:] Jan Seredyka, Dorota Kurpiers-Schreiber, red. *Parlamentarzyści polscy XVI-XX wieku*, Wydawnictwo Uniwersytetu Opolskiego, Opole 1999.
13. Ks. Kazimierz Śmigiel, *Słownik biograficzny arcybiskupów gnieźnieńskich i prymasów Polski*, Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, Poznań 2002.
14. Krzysztof Rafał Prokop, *Biskupi kamienieccy od średniowiecza do współczesności. Szkice biograficzne*, Ośrodek Wołanie z Wołynia, Biały Dunajec-Ostróg 2007.
15. Marek Jerzy Minakowski, *Wielka genealogia Minakowskiego*, wyd. 4, Kraków 2009.

Agnieszka Szykuła-Żygawska

Krajobraz z Nepomucenem. Część II. Kult św. Jana Nepomucena w XIX stuleciu



Oprócz opisywanej w poprzednim numerze „Nestora” parafii św. Jana Nepomucena w Fajslawicach, nie odnotowuje się na omawianym terenie innej, noszącej to patronimium. Kult świętego należał jednak w XIX stuleciu do popularnych, czego dowodzą fundowane figury przedstawiające tego męczennika.



*Figura św. Jana Nepomucena
w kapliczce w Wirkowicach*

Duże walory estetyczne posiada niewielka figura św. Jana Nepomucena usytuowana w Wirkowicach Pierwszych. Rzeźba jest drewniana, polichromowana. Święty zwrócony frontalnie składa krucyfiks na klatce piersiowej. Jego poza jest lekka, niewymuszona. Uwagę zwraca sprawny modelunek odsłoniętych partii ciała męczennika: dłonie trzymające krucyfiks oraz indywidualnie potraktowana twarz. Delikatnie i z wyczuciem został poprowadzony modelunek dłoni wspierającej krucyfiks przy perizonium Ukrzyżowanego, ze zgrabnie modelowanymi palcami. Równie finiezyjnie układa się komża przy stopach: nieznacznie za długą opada, okalając nogi męczennika. Widoczna jest jej krawędź, podszewka i guziki. Sposób modelowania zdradza talent twórcy oraz znajomość stylistyki lwowskiej XVIII-wiecznej rzeźby rokokowej. Ta analiza stylistyczna pozwala datować obiekt na przełom XVIII i XIX stulecia.

Figura jest usytuowana we współczesnej, powstałej ok. poł. XX wieku kapliczce nad rzeką Wieprz, przy drodze między Wirkowicami Pierwszymi i Tarnogórą. Mając na uwadze funkcje patrolne św. Jana Nepomucena, który był opiekunem wydarzeń związanych z żywiołem wody, można przypuszczać, że rzeźba powstała z przeznaczeniem umieszczenia w tym miejscu. Z powodu zniszczeń została zmieniona tylko kapliczka.



*Kapliczka z figurą św. Jana Nepomucena
w ogrodzeniu cmentarza w Tarnogórze*

Z przełomu XVIII i XIX stulecia może też pochodzić kamienna rzeźba świętego Jana Nepomucena usytuowana w kapliczce przy wejściu na cmentarz rzymskokatolicki w Tarnogórze. Święty jest usytuowany w półokrągło ujętej niszy. Stoi na profilowanym cokole. Ukazany z nieznacznym skrzyśnięciem ciała w jedną stronę, skupia wzrok na trzymanym oburącz przy piersiach krucyfiksie. Obiekt był wielokrotnie przemalowany białą farbą wapienną, co utrudnia jego analizę stylistyczną. Dostrzega się jednak wprawny modelunek włosów w grube pukle oraz urozmaicone formowanie szat świętego.

Na 2. połowę XIX stulecia można datować drewnianą, polichromowaną figurę usytuowaną w kapliczce w Żdżannem, w pobliżu kościoła, przy drodze prowadzącej do Chełma od strony wsi Zagroda. Święty jest ukazany na okrągłej bazie. Ma wysmukloną sylwetkę. Charakteryzuje ją nieznaczny skrzyśnięcie w jedną stronę. Męczennik spogląda na trzymanym, wtórnie umieszczonym krucyfiksie. Pierwotny był dłuższy, święty trzymał go oburącz, na co wskazuje ujęcie opuszczonej ręki ze zgiętymi palcami. Według ustnych przekazów, rzeźbę przywieziono do Żdżannego przed 1875 rokiem

z miejscowości Depułtycze i usytuowano w miejscu poprzedniej, zniszczonej.¹

Przyczyną zniszczenia figury były wydarzenia z 1875 roku, kiedy władze zaborcze nakazały znieść wyznanie unickie, wprowadzając w jego miejsce wyznanie prawosławne. Wówczas też władze przekształciły parafię unicką w Żdżannem na prawosławną. Wierni odmawiali przechodzenia na obrządek prawosławny, mimo kar caratu. Istniała już wówczas kapliczka z figurą św. Jana Nepomucena, męczennika uznawanego w Kościele greko- i rzymskokatolickim. Przypuszczalnie, dla nieznanego z imienia Możarowskiego, księdza prawosławnego nowo powołanej prawosławnej parafii w Żdżannem, kapliczka z figurą była symbolem ostoji zakazanego przez cara wyznania. Zburzył on kapliczkę i zniszczył dotychczasową figurę świętego. Unici jednak, wsparci przez ówczesnych właścicieli miejscowości, Smorczewskich, zbudowali nową kapliczkę w dotychczasowym miejscu. Nocą też przywieźli z Depułtycz figurę św. Jana Nepomucena. Według przekazów ustnych, pop wyrzucił figurę do pobliskiego stawu, ale unicy wydobyli ją i ponownie ustawili w kapliczce. Uparcie, jeszcze kilkakrotnie wydobywali wyrzuconą przez ks. Możarowskiego rzeźbę z wody i ustawiali na jej miejscu.²

Do XIX-wiecznych wytworów sztuki można zaliczyć figurę świętego Jana Nepomucena z Wólki Orłowskiej. Pani Elżbieta Bednarz, właścicielka działki, na której usytuowana jest rzeźba, wspomina, że kiedyś figura znajdowała się po drugiej stronie mostu. Święty był umieszczony w kapliczce domkowej, usytuowanej na grubym, drewnianym słupie. Wryto na nim napisy: 23 czerwca 1842 FC i 5 IX 1899.³

Figura jest kamienna, ma zwartą, nieco syntetyczną bryłę, na postumencie znajduje się wyryta data 1899. Święty jest ukazany w pozycji frontalnej. Spogląda przed siebie, jedną ręką przytrzymuje wsparty o ramię krucyfiks, drugą unosi przypuszczalnie w geście błogosławieństwa (brakuje palca).

Podczas przebudowy mostu figurę przeniesiono w obecne miejsce. Jest ona usytuowana w pobliżu Wolicy i wiaduktu kolejowego. Umieszczono ją w betonowej niszy. Niżej jest inskrypcja 1863 18 czerwca.



Figura św. Jana Nepomucena
w Wólce Orłowskiej

Najstarsza data może oznaczać czas powstania kapliczki. Inicjały FC, być może sugerują fundatora. Niewyjaśnione, co może oznaczać data druga. Może wówczas powstała figura, mieszcząca jako druga z kolei w tej kapliczce? Brakuje informacji na temat czasu i przyczyn usytuowania w tym miejscu figury św. Jana Nepomucena. Można przypuszczać, że ustawiono ją tutaj, mając na uwadze funkcje patronalne męczennika związane z żywiołem wody. Pani Elżbieta Bednarz wspomina, że w miejscu gdzie stoi figura, nigdy jeszcze nie dotarła woda podczas wylewu rzeki.

Z początku XIX wieku pochodzi murowana kapliczka w Bończy. W środku jest usytuowana, wykonana przez ludowego twórcę, figura św. Jana Nepomucena. Na ten sam wiek można datować rzeźbę znajdującą się w Jaślikowie.⁴

Na terenie powiatu Krasnostaw znane są również inne, nieistniejące już dziś figury św. Jana Nepomucena. Pozostały po nich zapisy w dokumentach i puste miejsca w kapliczkach. Temu tematowi będzie poświęcony kolejny artykuł.

dr Agnieszka Szykuła-Żygawska

4. *Katalog Zabytków Sztuki w Polsce*, T. VIII, *Województwo lubelskie*, red. R. Brykowski, E. Smulikowska, Z. Winiarz, z. 8, *Powiat krasnostawski*, opr. T. Sulerzyńska, F. Uniechowska, E. Rowińska, Warszawa 1964, s. 3; M. Zahajkiewicz ks., *Diecezja lubelska. Informator historyczny i administracyjny*, Lublin 1985, s. 208.

1. Z. Kazimierzczuk, *Siennica Różana i okolice*, Siennica Różana 2003, s. 49-50.

2. Tamże.

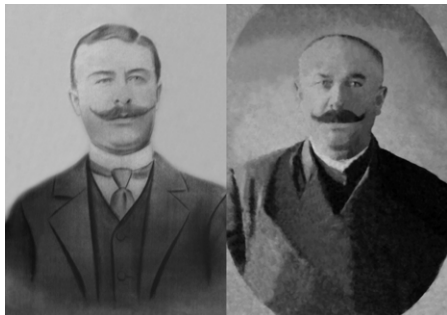
3. Dziękuję Pani Elżbiecie Bednarz za udzielenie informacji (rozmowa z dn. 29 sierpnia 2011 r.).

Sławomir Włodarczyk

Rzecz o wójcie Michale
Franczaku (1873-1930)

Postać Michała Franczaka vel Zwarenkiego, brata mojego pradziadka, poznałem bliżej dzięki badaniom genealogicznym rodu Franczaków i opowieściom jego potomków. Jak mówią metryki z parafii św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, był on synem Bartłomieja i Marianny z Maruchów, małżonków Franczaków vel Zwarenkich. Byli oni rolnikami zamieszkałymi i gospodarującymi we wsi Góry. Tam też, dnia 4 sierpnia roku 1873, urodził się Michał, jako najmłodsze dziecko z tego związku.

Ze starych ksiąg meldunkowych przechowywanych w Archiwum Państwowym w Zamościu wynika, że mieszkał pod jednym dachem ze swoimi rodzicami aż do ich śmierci. Dom rodzinny Michała Franczaka nosił numer 13. Jego ojciec zmarł w roku 1881, a więc gdy Michał miał osiem lat. Cały ciężar jego wychowania musiała, z natury rzeczy, dźwigać jego matka Marianna (1830-1901). W roku 1895, dnia 17 lutego, mając niespełna 22 lata wstąpił w związek małżeński z panną ze wsi Niemienice, Zofią Szyszką mającą lat 17. Zmarł w wieku 57 lat, dnia 16 stycznia roku 1930 o godzinie 9 rano, jak mówi stosowna metryka z tutejszej parafii. Tyle dokumenty.



Michał Franczak (1873-1930). Fotografia po stronie lewej pochodzi z początku XX wieku, po prawej - z lat 20. ubiegłego wieku

Michał Franczak miał dosyć liczną rodzinę - wychował pięciu synów i córkę. Prócz tego, co najmniej dwoje jego dzieci zmarło w dzieciństwie. Potomkowie tych, którzy dorośli i założyli rodziny

mieszkają w Krasnymstawie, jego okolicach, a także w Lublinie, Zamościu i Obroczy koło Zwierzynca. Właśnie jeden z jego synów - Józef, osiedlił się w Obroczy. Był zarządcą w części lasów należących do dóbr Ordynacji Zamoyskich przed II wojną światową.

Na urząd wójta gminy Krasnostaw Michał Franczak został wybrany około roku 1900. Jak mówią kroniki gminne z tamtych czasów, funkcję wójta pełnił co najmniej cztery pełne kadencje, przez okres 18 lat.

Można by tu doszukiwać się jakichś analogii z obecnie urzędującym wójtem gminy Krasnostaw Januszem Korczyńskim. Obaj bowiem pełnili swój urząd (wójt Korczyński pełni dalej) w czasach przełomowych dla bytu i historii naszego państwa i narodu. Obaj przechodzili zawieruchy dziejowe, w których waliła się dotychczasowa rzeczywistość i powstawała nowa, nieznana. Michał Franczak - podczas I wojny światowej i odrodzenia naszej niepodległości po długich latach zaborów, a obecny wójt - od epoki komunizmu i jego schyłku poprzez jego upadek, wkroczenie nowego ustroju i ładu państwowego dzięki zwycięstwu Solidarności. Obaj wójtowie przy pełnieniu swojego urzędu potrafili sprostać nowym wyzwaniom i dostosować się do nowych trendów historycznych, które ich nie zmiotły, co pomimo zawieruchy dziejowej pozwoliło dalej pełnić ten urząd, czyli mieli - można to tak chyba nazwać - talent polityczny i poparcie mieszkańców gminy.

Ta para to najdłużej utrzymujący się na tym stanowisku urzędnicy gminni w historii gminy Krasnostaw. Różnic można by znaleźć na pewno znacznie więcej i byłyby one kolosalne, choćby taka, że na początku XX wieku urząd gminy zatrudniał tylko cztery osoby. Był to wójt, sekretarz, pomocnik sekretarza i stróż gminny. Budynek urzędu gminy znajdował się, jak mówią dokumenty archiwalne, w tym czasie we wsi Góry. Jednak, niestety, nie udało się ustalić gdzie dokładnie, ale prawdopodobne jest, że znajdował się w miejscu zamieszkania wójta. Michał Franczak za swoje urzędowanie dostawał 180 rubli pensji, a gdy do Krasnegostawu weszli w wyniku działań wojennych Austriacy - 720 koron. Na stanowisku sekretarza gminy przez pięć lat był zatrudniony jego najstarszy syn Stanisław Franczak (1896-1922). Z niepotwierdzonych opo-

wiadań potomków wójta wynika, że pomocnikiem sekretarza był również drugi jego syn Jan Franczak (1899-1927). Obaj musieli mieć wykształcenie odpowiednie do pełnionych obowiązków.

Michał Franczak, jako przedstawiciel administracji terenowej zaborcy, miał obowiązek współpracy z władzami carskimi, choć nie była to chyba kolaboracja. Był rdzennym mieszkańcem terenu, na którym urzędował bez prorosyjskich koneksji i sympatii, a zdarzało się wtedy często, że urzędnikami administracyjnymi byli ludzie o nastawieniu przychylnym zaborcy. Na stanowiska urzędowe mianowano osoby, które miały polskie nazwiska, ale przyjeżdżały z głębi Imperium Rosyjskiego, bo byli to np. potomkowie powstańców styczniowych zesłanych w głąb Rosji. Zapomnieli oni już o swojej polskości i z całą mocą służyli swojej nowej ojczyźnie spod znaku czarnego dwugłowego orła.

Jak mi wiadomo z przekazów rodzinnych, wójt Michał Franczak był dosyć majątnym gospodarzem. Całe jego obejście było wyłożone balami dębowymi, aby na wiosnę i jesienią unikać zabłocenia. Dom odziedziczony po ojcu, w którym mieszkał po jego śmierci ze swoją rodziną i matką, spłonął przed I wojną światową od uderzenia pioruna. Drugi, który postawił, też już nie istnieje - został rozebrany przez jego wnuka Jana Franczaka, który mieszka nadal na tym siedlisku. Niemym świadkiem wielu epizodów z życia wójta Michała Franczaka była na pewno stara lipa, która do dzisiaj rośnie w obrębie jego obejścia. Drzewo to ma na pewno więcej niż 150 lat. Moja babcia, Stefania Franczak (1915-2004) mówiła, że gdy przyszła na Góry w roku 1936, drzewo to było niewiele mniejsze niż dzisiaj. We wrześniu 1939 roku pod tą lipą stało działko przeciwlotnicze tzw. „zenitówka”, którym nasi żołnierze bronili polskiego nieba przed niemieckim agresorem. Obecnie jest to prawem chroniony pomnik przyrody mający w obwodzie ok. 3,7 metra. W okolicy, nie ma drzewa większego i starszego.

W ustnych przekazach potomków wójta zachowały się barwne opowieści z niektórych epizodów jego życia. Jedna z nich mówi, że po zakrapianej biesiadzie z dowódcą kozaków stacjonujących w Krasnymstawie, tenże ataman obudził się w jednej z trumien znajdujących się w zakładzie stolarskim działającym nieopodal kościoła, do

której to został włożony przez współbiesiadników. Z jego przygody śmiali się długo mieszkańcy całej okolicy.

Jak mi wiadomo, wójt i jego współpracownicy posiadali rewolwery, co było uzasadnione potrzebą obrony, szczególnie podczas transportu gotówki z podatków, którą przekazywali im sołtysi. Z tym faktem wiąże się kolejna historia opowiadana przez potomków mojego bohatera. Mianowicie, podczas jednej z gościn w swoim domu rodzinnym, Michał i jego synowie, mając już dobrze „w czubie” wyciągnęli broń i zaczęli strzelać na wiwat w sufit. Później jego żona, złorzecząc lepiła gliną powalę i zamalowywała wapnem sufit po kulach. Wzywała szwagra, czyli mojego pradziadka Grzegorza, który naprawiał uszkodzony dach i wymieniał gonty, jako że był cieślą i stolarzem.

Michał Franczak zmarł w wyniku niefortunnego wypadku, jakiemu uległ przez własną nieostrożność, mianowicie spadł z płotu, na którym stał, machając przelatującemu nad nim aeroplanowi (tak wtedy nazywano samolot), który pilotował jego dobry znajomy rozwóżący pocztę i zrzucający urzędowe pakiety. Pilot, przelatując nad tą okolicą, zawsze robił okrażenie nad jego domem. Wtedy byłemu już wójtowi zsunęła się noga z tzw. szpongi, czyli podłużnej belki, i spadł na przymocowane do niej sztachety. Zranił się ciężko w brzuch uszkadzając narządy wewnętrzne. Jego śmierć w cierpieniach i mękach trwała ponoć miesiąc. Nie mógł jeść, pił tylko czerwone wino.

Michał Franczak przestał pełnić swoje obowiązki 7 listopada 1918 roku. Mogiła jego i żony znajduje się na naszym miejskim cmentarzu w Krasnymstawie.

Sławomir Włodarczyk

Materiały źródłowe i literatura:

1. Księgi metrykalne parafii pod wezwaniem św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie, lata 1873-1930.
2. Kroniki Urzędu Gminy Krasnostaw, lata 1900-1924 Archiwum Państwowe w Zamościu.
3. Fotografie rodzinne ze zbiorów własnych i Leszka Franczaka.
4. Dokumenty Zarządu Gminnego w Krasnymstawie lata 1907-1944. Archiwum Państwowe w Zamościu.
5. R. Prinke, Poradnik genealoga amatora, Wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2006.

Grażyna Wójcik



Stanisławie Wójciku



Stanisław Wójcik urodził się 27 listopada 1916 roku w Chorupniku. Dzieciństwo i młodość spędził w tej miejscowości. Ukończył 4 klasy szkoły podstawowej, lubił czytać, ale rodziców nie było stać na dalsze kształcenie syna, więc pozostał w domu rodzinnym i pomagał w niewielkim gospodarstwie rolnym. 22 marca 1939 został wcielony do wojska i wkrótce rozpoczęła się jego wojenna tułaczka.



Był żołnierzem szeregowym, strzelcem w oddziale piechoty w Chelmie Lubelskim. Pierwszego września Hitler napadł na Polskę, więc już 4 września oddział taty brał udział w walkach koło Radomia. Niestety, wojska polskie były zbyt słabe i walki kończyły się zazwyczaj klęską. Po rozbiściu oddziału, żołnierze, którzy ocalili, zbierali się w grupy i próbowali jeszcze walczyć lub wracać do domu. Tata uniknął śmierci i z innymi żołnierzami przedzierał się pieszo w rodzinne strony.

Zostali ponownie zaatakowani przez hitlerowców koło Krasnobrodu. Tata, wraz z kilkoma kolegami schronił się w pustej oborze, ale widząc jak giną koledzy, przeżegnał się tylko, szykując na pewną śmierć. Niemcy grozili, że wrzucą granat do tej obory, jeśli się nie poddadzą. Nie mieli wyjścia, wyrzucili broń i pasy wojskowe i wyszli z rękoma w górze. Niemcy pobili ich kolbami, aż krew wypłynęła nosem i ustami, ale nie rozstrzelali. Hitlerowcy zapędzili polskich żołnierzy, jak bydło w stadzie, do większej grupy i pod eskortą karabinów maszy-

nowych pogonili pieszo do Oświęcimia. Nie można było nawet pomyśleć o ucieczce.

W Oświęcimiu jeńcy wojenni zostali zapędzeni na plac na łące, otoczony drutami, i zaczęli budować tam drewniane baraki. Przed wojną byli młodymi i wolnymi ludźmi z radością w sercach i głowami pełnymi marzeń, w obozie stali się tylko numerem, ściervem dla oprawców, byłem któremu nie warto nawet dawać jeść, a jeśli nie mogli pracować na „naród panów”, to wystarczyło zabić. Jak wielki był głód świadczy fakt, że niejeden jeńiec rzucił się i bił o miskę zupy z brukwi, za co był dodatkowo karany lub zabity przez hitlerowskich strażników. Zupa ta była śmierdząca, tylko woda i zepsute ziemniaki, i brukiew. Miejscowa ludność bolała nad losem młodych chłopców i próbowała nieraz przerzucać przez druty jedzenie. Całe dnie i noce przebywali na dworze, w cienkich, niekompletnych ubraniach wojskowych.



Wystarczy porównać powyższe zdjęcie z poprzednim, aby zrozumieć nędzę polskiego żołnierza w niewoli niemieckiej.

Tata przebywał w Oświęcimiu półtora miesiąca w stalagu 4 A. Otrzymał tam numer obozowy 14175. Potem został przewieziony z innymi jeńcami w bydłowych wagonach na teren Niemiec. Jechali w wagonach bez okien, stłoczeni, ściśnięci, bez jedzenia, a potrzeby fizjologiczne załatwiali do okrągłej dziury w podłodze w rogu wagonu.

Tata trafił do pracy w fabryce amunicji, nieestety nie zapamiętał miejscowości. Matka Boska czuwała nad nim i już 30 listopada 1939 został zabrany z grupą Polaków do pracy w gospodarstwie rolnym Martina Emlera w miejscowości Klostermansfeld w Saksonii-Anhalt.

W latach dziewięćdziesiątych, jako członek ZBOWiD, starał się uzyskać potwierdzenie swojej niewoli i pracy w czasie wojny, aby złożyć dokumenty w związku ze śmiesznymi wprost odszkodowaniami uzyskiwanymi przez polsko-niemieckie

POLSKI CZERWONY KRZYŻ
ZARZĄD GŁÓWNY
BUDOWLANOŚĆ I KUCHNIA
ul. B. Inf. 13155/P
Kod pocztowy 00-000 Warszawa, tel. 022 62 10 00

WYCiąG z DOKUMENTÓW

Nazwisko: WÓJCİK Imię: Stanisław
Data urodzenia: 27.XI.1916r. Miejsce urodzenia: Chorupnik
Imiona rodziców: Michał i Maria Zawód: strzelec
Obecny adres: Chorupnik, pow. Krasnostaw Stopień: przeds. wojsk. 7 p.p.
Data przesłania: 14.12.1945 przez: XXXXXX
Data przekazania: XXXXXX
Do Stalagu IV-A
Numer: XXXXXX 14175
Przebieg choroby: XXXXXX
Kategoria: XXXXXX jeniec wojenny w niewoli niemieckiej
Zwolniony 21.VII.1945r.

Uwagi: _____
Podstawa: L. str. RK-20398
Adres: Fan Stanisław WÓJCİK
Chorupnik
22-320 Gorzków
br. _____
Kierownik Biura Informacji i Powszechności: XXXXXX
/mgr A. Skrzydłowski/

porozumienie. Polski Czerwony Krzyż przesłał mu powyższe zaświadczenie, w którym zapisano nieprawdziwą datę jego zwolnienia, co jest jeszcze jednym potwierdzeniem, że Polacy byli niczym dla Niemców, a w czasie działań wojennych prawdziwe dokumenty są niszczone. W 1992 roku uzyskał potwierdzenie od niemieckiego właściciela rolnego, który całe szczęście jeszcze żył i chciał poświadczyć prawdę, że Stanisław Wójcik pracował u niego od 1939 do 1945 roku.

Właściciel dużego gospodarstwa (300 mórg) poznał się na zdolnościach i pracowitości młodego Polaka, gdyż powierzył mu opiekę nad końmi. Tata lepiej powoził niż gospodarz i inni robotnicy, więc woził Niemca i jego rodzinę na targi i przyjęcia. W czasie żniw zwoził z pola snopy zboża. Nie było łatwe życie w niewoli na robotach. Warunki niewiele lepsze niż w obozie, takie jak dla zwierząt, bo nocowali w stajniach i oborach.

Ass. T/D-1 339 881

Zeugenerklärung
(in Maschinenschrift ausfüllen)

Betr.: Versicherungszeiten für **Stanisław WÓJCİK**
geb. am 27.11.1916 in Chorupnik
wohnhaft in **XX, Polen**

Der Zeuge soll mit eigenen Worten ausführlich abklären, was ihm von jeder einzelnen Beschäftigung, über den Anstellenden, Bruttoverdienst, einschließlich Subsidien (z. B. unter Umständen, Kauf oder Wohnung, Depots) oder des Bruttoverdienstes und über Anzahl und Höhe der entrichteten Beiträge zur Rentenversicherung bekannt ist.

Außerdem soll der Zeuge bei in Betracht kommenden Ersatzzeiten (z. B. RAD, Wehrdienst, Kriegsdienst, Internierungszeiten) jeweils die Art und Dauer angeben.

Die Darstellung darf nicht allgemein gehalten sein, sondern soll möglichst genaue Angaben enthalten; auch sollen Beginn und Ende der Beitrags-, Beschäftigungs- und Ersatzzeiten noch möglichst genau angegeben werden. Dabei soll der Zeuge nach besten Wissen und Gewissen, woher er seine Kenntnis hat, ob aufgrund eigener Beobachtung oder aufgrund von Erzählungen des Versicherten oder anderer Personen.

Bei Abgabe einer Erklärung über eine freiwillige Beitragszahlung soll der Zeuge unbedingt auf bestimmte Tatsachen oder Ersatzzeiten eingehen (z. B. Beschäftigung des Markterkauf, Umtausch der Karten oder bei welcher Gelegenheit die Zahlungsarten mit freiwilligen Beiträgen gemacht wurden).

Wer in der Absicht, sich oder einen Dritten einen rechtswidrigen Vermögensvorteil zu verschaffen, das Vermögen eines anderen dadurch beschädigt, dass er durch Verungeltung falscher oder durch Entstellung oder durch Unterdrückung wahrer Tatsachen einen Irrtum erregt oder verursacht, wird nach § 326 des Strafgesetzbuches wegen Betrugs mit Freiheitsstrafe bis zu fünf Jahren oder mit Geldstrafe bestraft. Auch der Versuch ist strafbar. In besonders schweren Fällen ist die Strafe Freiheitsstrafe von einem Jahr bis zu zehn Jahren.

Der Zeuge: **Martin Oemler** geboren: 29.10.1911
von Beruf: **Landwirt** wohnhaft in: **6921 Zuzenhausen**
Kreis: **Rhein-Neckar-Kreis** Umlandstr. 23
ausgewiesen durch: _____

erklärt über die Beschäftigungs-, Beitrags- und Ersatzzeiten des Versicherten folgendes:

Herr Stanisław WÓJCİK war vom November 1939 bis Mitte April 1945 in meiner Landwirtschaft in Klostermansfeld als landwirtschaftlicher Arbeiter beschäftigt.

Er erhielt neben seinem Lohn freie Kost und Wohnung.

Przez całe 5 lat przymusowych robót dukał też głód, ale robotnicy mogli się posilić znalezionym jabłkiem czy jajkiem. Nie było wśród nich zawiści czy donoszenia do Niemców. Gospodarz niemiecki nie był potworem, lecz w miarę normalnym człowiekiem i nie znęcał się w wyrafinowany sposób nad robotnikami. Polacy byli jednak dla Niemców ludźmi niższej kategorii, więc musieli nosić znaczkę z literą „P” (co widać na zdjęciach).





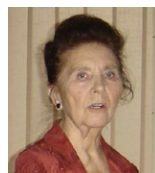
Po zakończeniu wojny, tata miał możliwość wyjechać na Zachód, ale wolał wrócić w swoje rodzinne strony, gdzie ciągle czekali na niego rodzice Michał i Anna oraz brat Edward i siostra Zofia. Powrót odbywał się również w dramatycznych warunkach. Nieliczne wagony były tak przepełnione, że tata musiał podróżować, leżąc na dachu wagonu. W tej podróży został nawet okradziony z drobiazgów, jakie miał przy sobie. Na szczęście dotarł szczęśliwie do domu i zastał rodzinę w komplecie.

Kilka lat później, gdy otrząsnął się trochę z tragicznych przeżyć, postanowił założyć rodzinę. Ożenił się z Barbarą Rozesłaniec i miał syna. Dalsze jego życie też nie było łatwe. Gospodarstwo podupadłe, brak funduszy na poprawę budynków, ciężka fizyczna praca aby związać koniec z końcem, a w okresie reżimu komunistycznego bał się cokolwiek mówić i nie mógł liczyć na niczyje wsparcie. Całe życie był prawym człowiekiem i patriotą, dla którego Ojczyzna była największym dobrem. Starał się przekazać synowi i wnukom zasadę odróżniania dobra od zła, prawdy od zakłamania. Interesował się historią i życiem codziennym naszego kraju, widział ile zła niósł ze sobą komunizm i znał prawdę o Katyniu. Z tego powodu nie angażował się w działalność polityczną i jedynym jego odznaczeniem jest dyplom Związku Kombatantów Rzeczypospolitej i Byłych Więźniów Politycznych. Przeżycia wojenne zniszczyły jego zdrowie, cały czas miał różne problemy zdrowotne i musiał ciągle leczyć się. Szczęśliwie Pan Bóg pozwolił mu przeżyć 86 lat, zmarł 2 sierpnia 2003 roku. Pozostała po nim pamięć i wdzięczność za wszystko, co uczynił najbliższymi.

Grażyna Wójcik

Irena Iwańczyk

Sybiraczka



Od dawna wiedziałam, że moja sąsiadka, pani Alina Startek, mieszkanka Krasnegostawu, miała ciężkie dzieciństwo i młodość. Już jako dziecko, zamiast chodzić do szkoły, musiała ciężko pracować na dalekiej Syberii. Aby poznać szczegóły z jej życia złożyłam jej wizytę. I tu spotkała mnie miła niespodzianka.

Pani Alina daje mi do rąk duże, metalowe pudełko po cygarach z napisem „Abdulla” i mówi:

- Tu są pamiątki po moim ojcu. Ukrywałam je za komuny, były zamurowane w piecu. Dopiero po śmierci ojca ujrzały światło dzienne.

Mój ojciec Jan Kąplon był legionistą od 1918 do 1921 roku w stopniu starszego strzelca w 35. Pułku Ułanów pod dowództwem Józefa Piłsudskiego, przeszedł także szlak bojowy z armią Andersa, który prowadził z ZSRR przez Iran, Irak, Egipt, Syrię, Palestynę, Włochy, Francję, Wielką Brytanię, Belgię i Holandię. Służył w II Korpusie 6. Kompanii Sanitarnej Brygady Kresowej Dywizji Piechoty w stopniu plutonowego.

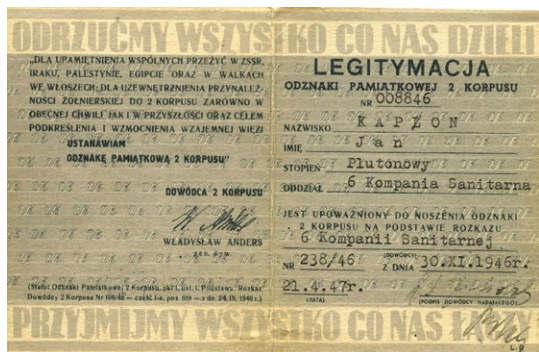


Otwieram pudełko. Z wielkim wzruszeniem biorę do ręki krzyż i głośno czytam wypisane na nim słowa „Krzyż Monte Cassino Maj 1944”. Oży-



wają wizje walk, pani Alina ma w oczach łzy, jest to niecodzienna chwila, wydaje mi się, że uczestniczy w niej człowiek z zaświatów, który okupił odznaczenia trudem, cierpieniem, potem i krwią.

Żyją historię mam w dłoniach, oto „Odznaka Pamiątkowa za Obronę Lwowa”, i do niej legitymacja z podpisem gen. brygady Nikodema Sulika i słowa: „Bez Wilna i Lwowa nie ma Polski”. Oglądam następną odznakę pamiątkową, na legitymacji do niej jest napisane: „Odrzucmy wszystko, co nas dzieli, dla upamiętnienia wspólnych przeżyć



w ZSRR, Iraku, Palestynie, Egipcie oraz w walkach we Włoszech dla uzewnętrznienia przynależności żołnierskiej do 2. Korpusu zarówno w obecnej chwili jak i w przyszłości oraz celem podkreślenia i wzmocnienia wzajemnej więzi ustanawiam „Odznakę Pamiątkową 2. Korpusu” - gen. dyw. Władysław Anders - Italia”.

Następnymi odznaczeniami są: Brązowy Krzyż Zasługi z Mieczami, Gwiazda Italii i The War Medal oraz pisma w sprawie odznaczeń British Forces - Identification Card.

- Część odznaczeń włożyliśmy do trumny, bo tak sobie życzył ojciec - mówi pani Alina.

Jestem zafascynowana i pełna podziwu dla tego nieżyjącego, lecz jakże dzielnego Polaka. Zatrzymał się czas. Snuję wizję tamtych dni. I oto na fotografii, którą mi pokazuje pani Alina widzę młodego, przystojnego żołnierza o pociągłej twarzy, bystrych i myślących oczach. Następne zdjęcia są z Rzymu, Jerozolimy, Bagdadu. Betelem, Iraku, Iranu, Włoch, Egiptu, na każdym z nich jest miejscowość i data zapisana przez nieżyjącego już człowieka. Jeszcze raz przypominam sobie opisy walk, o których czytałam przed kilkoma dniami w książce Melchiora Wańkowicza pt. „Szkice spod Monte Cassino”.



Coś mi się przypomina: oto w tym samym mieszkaniu, które obecnie zajmuje pani Alina, przed 40 laty mieszkał wraz z żoną Zofią i córką Anną były oficer, nieżyjący już, major Wojska Polskiego Jan Raniewicz, który przeszedł taki sam szlak bojowy z armią Andersa i też był odznaczony wieloma wojennymi orderami. Jego grób znajduje się w Krasnymstawie.

A swoją drogą, dziwny to zbieg okoliczności. Pani Startek podchwytuje moją myśl i mówi:

- Ojciec, gdy wrócił z Anglii w 1946 roku, to mieszkaliśmy w Rudniku. Kilka razy jeździł do Krasnegostawu, by skontaktować się z kimś, z kim razem był w wojsku, być może był nim Jan Raniewicz.

Nigdy się jednak tego nie dowiemy, bo obaj nie żyją. Miałam szczęście, że mogłam poznać historię niezwykłego Polaka i wskrzesić tamte dni, by inni wiedzieli, że to nie mity, lecz fakty.

A teraz przejdźmy do przeżyć pani Aliny. które są równie ciekawe:

- Urodziłam się w Rudniku, powiat Krasnymstaw. Moi rodzice wyjechali wraz ze mną i zamieszkali w 1927 r. w Szczorsach koło Nowogrodka.

Tam urodziła się moja młodsza siostra, ojciec był policjantem. W Szczorsach chodziłam do szkoły i uczyłam się bardzo dobrze, w szóstej klasie miałam same piątki. Zdałam egzamin do gimnazjum w Nowogródku, był to mój wielki sukces. Uradowany ojciec kupił mi w nagrodę piękną i bardzo drogą teczkę. Marzyłam o dalszym kształceniu się. Teczke zawiesiłam na najbardziej widocznym miejscu. Była dla mnie jakimś niezwykle przedmiotem, który miał mi otworzyć drogę w świat nauki, więc jej strzegłam jak oka w głowie. Ona mi ciągle przypominała o mojej dalszej życiowej drodze, która miała być jak cudowna baśń. Była czymś w rodzaju lampy Aladyna.

Niestety, wybuchła II wojna światowa, ojca powołano do wojska, dopiero w 1946 roku dowiedzieliśmy się, że dostał się do rosyjskiej niewoli, przebywał w obozie pod Moskwą. Trzymano ich na 37-stopniowym mrozie, odtąd ciągle chorował. Dopiero, gdy Niemcy uderzyli na Rosję, Anders wyprowadził polskich żołnierzy z niewoli i poprowadził znanym szlakiem.

Matkę z dwojgiem dzieci pozostającą w Szczorsach Rosjanie wyrzucili z domu, udało nam się zabrać tylko moją teczkę. Bezdomne, we trzy udałyśmy się na wieś, tam przyjęła nas rodzina polskich osadników, którzy byli rolnikami. Dano nam dach nad głową, a my razem z nimi pracowałyśmy w polu.

Na początku 1940 roku wtargnęli do gospodarstwa Rosjanie, zaczęli wyprowadzać konie. Gospodarz prosił, by nie zabierali, bo nie będzie miał czym pracować, wtedy zastrzelili go, a konie zabrali i odeszli. Następna wizyta enkawudzystów była też tragiczna, wtargnęli 4 lutego 1940 roku o godz. 2 w nocy. Porozstawiali nas po kątach, zrobili rewizję. Jeden z nich chwycił moją nową teczkę, a ja z płaczem zaczęłam prosić, by mi ją oddał, wtedy pchnął mnie z całej siły, uderzyłam twarzą w kant metalowej kuchni. Całą twarz zalała krew. (Do chwili obecnej mam blizny na twarzy). Nie reagowali na krew, mój płacz, lecz głośno wrzeszczeli: - Ubierać się i wychodzić! Matka chwyciła pierzynę, a ja znów sobie przypominałam o teczce, niestety wisiała na ramieniu enkawudzisty. Wraz z teczką została już na zawsze pogrzebana moja przyszła edukacja, zgasała lampa Aladyna.

Zapędzono nas do szkoły, gdzie było już dużo osadniczek - Polek z dziećmi. Tam pod strażą trzymano nas trzy dni, pilnowali żołnierze z karabi-

nami. Nic nie dawano jeść. Ciągłe dowozili następne kobiety z dziećmi. Gdy ludzi było dużo, wtedy furmankami, pod strażą, odwieziono nas na stację do Nowogródka. Tam kazano wchodzić do bydłych wagonów, w których były pozabijane okienka. Nie było ogrzewania.

Jedna z kobiet, podczas jazdy pociągiem wyrywała otwór w wagonie, wstawiła garnek, był to prowizoryczny ustęp. W wagonie było 46 osób. Nasza była gospodyni z czworgiem małych dzieci, swojemu półrocznemu synkowi przez całą drogę ugniatała chleb z cukrem, zawijała w szmatkę i dawała do ssania, dzięki temu przeżył drogę. Matka moją siostrę owinęła w pierzynę. Gdy pociąg się zatrzymał, można było, pod strażą, nabrać zimnej wody.

Jechaliśmy trzy tygodnie, dzień i noc. Nic nam nie dawali jeść. Po drodze kobiety i dzieci umierały. Dojechaliśmy do Krasnojarskiego Kraju, pociąg zatrzymał się w mieście Aczyńsk. Kazali nam wysiąść. Stąd rozwożono matki z dziećmi w różnych kierunkach. Nas odwieziono do Kołchozu Nowaja Jelowka. W pustym domu zamieszkały 4 matki z dziećmi, nadal nic nam nie dano jeść. Kobiety zaczęły wymieniać ubrania na kartofle. Moja matka za chustkę otrzymała ziemniaki, wydzielala nam po dwa dziennie.

Wezwano również wszystkie kobiety do NKWD, gdzie wydano wszystkim dokumenty. Na każdym było napisane: zsylnik na 20 lat. Nawet siedmiomiesięczne dziecko miało dokument z taką treścią. Zabroniono nam wyjazdów do innych miejscowości, a kobietom i dzieciom kazano się zgłosić do pracy. Przydzielono piły i siekiery. Musieliśmy chodzić dwa kilometry do tajgi, by ścinać drzewa i układać je w sęgi. Za pracę od świtu do nocy otrzymywaliśmy 300 gramów „zalepy” było to coś, przypominającego chleb. Byłam wyczerpana ponad siły, miałam wtedy 13 lat, przy pracy mdlałam i padałam w śnieg. Moja 9-letnia siostra spuchła z głodu. Na szczęście, do domu, w którym mieszkaliśmy wstawiono żelazny piecyk tzw. kożę, trzeba było w nim palić zdobytym w tajdze drewnem. Węgla, mydła ani cukru nikt tam nie widział.

Przy pracy w lesie pilnował nas stary dziadek Iwan. Na wiosnę pokazał mi wychodzące z ziemi kielki roślinek o smaku i zapachu czosnku i kazał je jeść. Krew mi płynęła z dziąseł, zęby się ruszały, wszystkim innym też. Nie mogłam ugryźć chle-

ba. Tam straciłam wszystkie zęby. Był to skorbut. Rosjanie nazywali tę chorobę „cyngą”. Na szczęście, dziadek Iwan nadcinał brzozy i kazał pić sok - 3 litry dziennie wypijałam tego soku i po tej kuracji poczułam się lepiej.

Po roku NKWD wezwało matkę. Zażądała zwrotu naszych dokumentów. Prawdopodobnie dowiedział się o nas świat, może Czerwony Krzyż. Matka chciała przechować swój dokument na pamiątkę, powiedziała, że zgubiła, za to zamknęli ją na 3 dni do piwnicy. W końcu, bojąc się o dzieci, że umrą z głodu, oddała.

NKWD kazało Polkom zrzec się obywatelstwa polskiego, a przyjąć rosyjskie, wówczas dadzą lepszą pracę i swobodę poruszania się. Nikt się nie zgodził, więc musieli wydać polskie dokumenty, ale nie wolno się było poruszać. Nadal ciężko pracowałyśmy w lesie, bez względu na porę roku. Martwiłyśmy się o ojca. Nie wiedziałyśmy, czy żyje i gdzie jest.

Dopiero w 1944 roku wezwano matkę do Aczyńska. poszła na piechotę, tam Polacy utworzyli Komitet Pomocy. Amerykański Czerwony Krzyż zaopatrzył ich w żywność. Matka dostała 2 kg mąki, wojskową kawę z cukrem w pastylkach, ryż, wojskowe buty, sukienkę i płaszcz. Była to pierwsza pomoc, jaką otrzymaliśmy. Kawę dzieliłyśmy się z Rosjanami, byli zdumieni, że może być coś tak dobrego. Od tej pory od czasu do czasu coś dostawałyśmy.

W drodze łaski zostałam stróżem. Wraz z dziadkiem Iwanem pilnowaliśmy dzień i noc olbrzymich zbiorników z paliwem. Mróz był od 37 do 40 stopni, powietrze szklanoprzeźroczyste. Pewnej nocy weszłam na pomost umieszczony nad beczkami, było tak widno, że z łatwością znalazłam spinę, która mi wypadła. Jest to nieznane u nas zjawisko, tzw. białe noce syberyjskie. Jest wtedy tak jasno jak w dzień. Gdy spojrzałam w dal, zauważyłam jednego wilka, a wkrótce naliczyłam siedem, zamarłam ze strachu, wilki jeden po drugim przeraźliwie wyły, był to niezwykle koncert. Nie mogły mi jednak zrobić żadnej krzywdy, bo byłam wysoko, ale mogłam zamarznąć. Mocno uderzyłam kijem w beczkę, usłyszał to dziadek i też zaczął z całej siły uderzać, zrobił się łoskot. Wilki odeszły. Mogłam wrócić do stróżówki.

Zmęczona, usiadłam obok dziadka na ławce i zdrzemnęłam się. Nagle przez sen słyszę polską

piosenkę „W czystym polu jezioreczko, tam pływało wiadereczko”. Otwieram oczy, patrzę ze zdziwieniem, dziadek Iwan śpiewa czystą polszczyzną, a przecież przez ponad 4 lata nie wypowiedział słowa po polsku. Okazało się, że jest on również zesłańcem i nazywa się Bojarski. Takich jak on było tu wielu, ale bali się przyznać. Nazywali się Kowalski, Nowak itd. Strach przed represjami enkawudzystów zmuszał wszystkich do posłuszeństwa.

W 1945 roku NKWD wezwało matkę, jeden z nich powiedział: - Wyzwoliliśmy wam ojczyznę. Natychmiast postanowiliśmy jechać do Polski. Wróciliśmy bydlęcym pociągiem z Syberii. Siostra nie miała butów, więc matka owinęła jej nogi szmatami, ja byłam w wielkich, wojskowych butach. Wszyscy jechali na Zachód, bo nasze tereny, tzn. Szczorsy należały do ZSRR. Moja mama zdecydowała, że pojedziemy do babci, do Rudnika i tak się stało, zamieszkaliśmy w Rudniku. Cała rodzina złożyła się i kupiła nam krowę.

W 1946 roku wrócił do nas ojciec z Anglii. Był chory na gruźlicę, ciągle musiał się meldować na UB, nie wolno mu było kupić leków. Pisał do Anglii, stamtąd przysyłali mu penicylinę. Zmarł mając 65 lat.

Wysłałam za mąż za kierowcę, który pamiętnego dnia przywiózł z krasnostawskiego dworca do Rudnika mojego ojca wracającego z Anglii. Miałam już nową rodzinę. Zamieszkałam w Krasnymstawie. Wychowałam dwóch synów. Obaj dobrze się uczyli. Jeden ukończył studia, jest inżynierem i dyrektorem Polleny we Wrocławiu, drugi, absolwent technikum, pracował w fabryce. W Kraśniku miał rodzinę - żonę i synka. Gdy szedł z dzieckiem przez las, zranił się. Szybko nastąpiła infekcja i w następstwie śmierć. To była najstraszniejsza tragedia w moim życiu, nigdy tego nie zapomnę. Moimi towarzyszami życia były zawsze cierpienie, ból i niedostatek.

Przez 18 lat pracowałam w szkole, w szatni przypominającej suterynę. Z powodu wrzodu żołądka, niedoczynności tarczycy i choroby wieńcowej zmuszona byłam odejść na rentę.

Obecnie mam 85 lat. Moje warunki życia uległy poprawie, gdyż po wielu staraniach należę do Związku Sybiraków, dzięki czemu otrzymuję godną rentę, bezpłatnie korzystam z lekarstw, oczywiście nie wszystkich. Niestety, jestem ciężko chora, nie mogę chodzić i wymagam stałej opieki.

A jednak, pomimo wszystko pani Alina Star-
tek zachowała trzeźwość umysłu, służy doświadcze-
niem i radą. Jest po prostu wspaniałym człowiekiem,
córką plutonowego Jana Kapłona, który przelewał
krew za wolność Ojczyzny.

Irena Iwańczyk

Wojciech Wencel

Calcium magnesium

Leżą w zbiorowej mogile
z przestrzelonymi głowami

ich utrudzone ciała
stopniowo tracą na wadze

rozkłada się wątroba
wiotczając mózg i serce

w końcu pękają ścięgna
i kruszy się szkielet

legiony gnilnych bakterii
zostawiają za sobą

jedynie minerały
lżejsze niż szczypta prochu

po latach są już częstkami
tablicy Mendelejewa

rozpływają się w ciemności
na cztery strony świata

jak było im obiecano
w Kazaniu na Górze

stają się

solą ziemi



Edward Franciszek Cimek

Krasnystaw

Januszowi



To miasto, synu
ogień zorzy malowały
i spopielale zachody

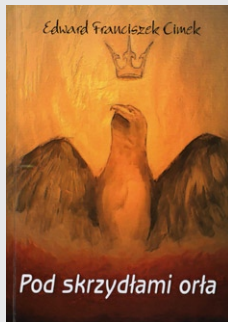
teraz błyszczący kopiec grodu
w nadwieprzańskim wieczorze
jak królewska korona

w dźwiękach dzwonu
złote karpie z wieży
płyną w kipieli podniebnego stawu

srebro cieknie z kamieniczek
po ogrodach spływa
a ślady czerwieni
na strugach uliczek
to tamte zdarzenia

dlatego przed ratuszem
granitowa zmiana wartę trzyma

W swoim ostatnio wydanym tomiku Edward Franciszek Cimek zamieścił zestaw wierszy patriotycznych. Opisuje w nich i przypomina historyczne i heroiczne czyny obrońców polskości. Wśród wybranych z bogatego dorobku utworów znajdują się takie, które opisują nieocenioną i niedocenioną obronę Europy i chrześcijaństwa przez Jana III Sobieskiego, a także bohaterstwo żołnierzy spod Monte



Cassino. Nie zabrakło też barwnych zapisów z wydarzeń katyńskich, czy też bliższej naszym stronom bitwie pod Łanami, albo poetyckiego obrazu skąpanego w wojennej poźodze Krasnegostawu i ościennych miejscowości.

Edward Franciszek Cimek,
Pod skrzydłami orła, Wyd. Polianna,
Krasnystaw-Izbica 2010, ss. 45.

Teresa Kaczorowska

Bolesław Biegalski - zapomniany rzeźbiarz i pisarz. Z chłopskiej chaty do Paryża



Dom rodzinny w Koziczynie, 1970 (J. Krolík)

Bolesław Biegalski (1877-1954) - znany pod nazwiskiem Biegas - utalentowany rzeźbiarz, malarz, historyk sztuki, autor 16 dramatów, kilku rozpraw z zakresu historii sztuki - w Polsce prawie nieznany, zaś w Europie Zachodniej ceniony i popularny artysta. Powodów tego stanu rzeczy jest kilka: osiedlenie się artysty na stałe w Paryżu (1901), krytyka jego twórczości w ojczyźnie, śmierć w okresie komunistycznej izolacji - wszystko to sprawiło zaklasyfikowanie jego twórczości w kraju, przez komunistyczne autorytety, jako dekadencjonalnej, wstecznej, zdegenerowanej...

Po zmianach politycznych w 1989 r. wokół artysty w dalszym ciągu panowało milczenie. Udało się jedynie zorganizować wystawę w Muzeum Mazowieckim w Płocku (1997), gdzie pokazano ok. 90 prac i wydano katalog.¹ Natomiast wielkie retrospektywy dzieł Bolesława Biegasa zaprezentowano w ostatnich latach we Francji, m.in. w Trianon de Bagatelle w Paryżu (1992)² i gmachu Polskiego Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Biblioteki Polskiej (otwarto tam oddział Muzeum im. Bolesława Biegasa).

Podobnie jak twórczość, również biografia Biegasa niezbyt są znane w kraju.

Dzieciństwo i młodość na ziemi ciechanowskiej (1877-1896)

Bolesław Biegalski urodził się 29 marca 1877 r. we wsi Koziczyn koło Ciechanowa. Był trzecim z kolei spośród czworga dzieci Bartłomieja Biegalskiego i Eleonory z domu Wichrowicz, którzy pochodzili ze zubożałej szlachty, ale wskutek polityki rosyjskiego zaborcy zostali zepchnięci w szeregi chłopstwa. Nawyki kulturalne pozostały mu po

ojcu, który kochał muzykę, był dobrym skrzypkiem, założył nawet wiejską orkiestrę grywającą na okolicznościowych spotkaniach.

Dzieciństwo Bolesław Biegalski spędził na podciechanowskiej wsi. Od siódmego roku życia lepił figurki z gliny i rzeźbił pasterskie kije. W jego wyobraźni pozostał na zawsze sielski obraz mazowieckiej ziemi z jaśniejącym w oddali Ciechanowem i zamkiem, oraz wierzeniami ludowymi, co zaowocowało później w jego twórczości. Po latach wyznał w pamiętniku: *Patrzyłem z okien naszego domu na te jarzące światłem widoki i snulem w myślach tęsknotę dziwną do słońca - światła wiecznych tajemnic. Brałem do ręki glinę zwilżoną, zlepiłem kształty onych to marzeń, lecących w dale z szelestem wiosny kwiatów dzwoniących.*³

Bolesną kartą w pamięci chłopca pozostały śmierć ojca oraz młodszego brata Janka (obydwaj zmarli 3 marca 1886 r.), o czym pisał po latach: *Już żyłem tylko wrażeniem wspomnień tych dni okropnych, które zmieniły spokój i szczęście w chaos kłopotów i nędzy straszliwej. Dłużnicy wszystko z domu zabrali i skrzypce nawet, pamiątkę drogą. A głód i zimno wsiąkało w domek naszej rodziny. Ja i siostra, i brat mój starszy, siedzieliśmy razem głodni, spłakani - a dłużnik resztę naczyń i sprzętów zabierał ze sobą... Matka, jak wryta stała bezsilna - w rozpacz, smutku - nic nie broniła - zastygła we łzach znanego bólu, tylko cierpiącym.*⁴

Eleonora Biegalska wyszła niedługo po-
wrotnie za mąż, za podoficera armii rosyjskiej,

1. *Bolesław Biegas 1877-1954. Rzeźba, malarstwo*, Muzeum Mazowieckie w Płocku, Polskie Towarzystwo Historyczno-Literackie, Płock 1997.

2. *Bolesław Biegas Sculptures-Peintures*, Trianon de Bagatelle - Paris, 21 Mai-30 Aout 1992.

3. Bolesław Biegas: *Z pamiętnika*, w zbiorze Bramir, Warszawa 1909, s. 497.

4. Za: Xavier Deryng w: *Bolesław Biegas 1877-1954. Rzeźba, malarstwo*, op. cit., s. 15.

Antoniego Michalskiego. Bolek Biegalski odzyskał wówczas pewną równowagę. Wkrótce jednak, 4 grudnia 1890 r. matka artysty zmarła. Osieroczonego brata (miał 13 lat) zabrała do siebie jego siostra Marianna, która akurat poślubiła stolarza Bronisława Modesta. Biegas terminował u szwagra, nie przestając rzeźbić. Jego talent dostrzegł miejscowy proboszcz, ks. Aleksander Rzewnicki, który w 1895 r. z pomocą parafian wysłał osiemnastolatka na naukę do Warszawy. Młody Biegalski trafił do rzeźbiarza Antoniego Panasiuka, kierującego pracownią sztuki kościelnej, ale traktowany był tam źle, jak służący. Pomagał w tworzeniu stereotypowych ozdób, nie mógł tworzyć własnych



Chopin, 1928-29, kolekcja prywatna

prac, nie pobierał żadnych nauk. Był analfabetą. Po kilku miesiącach, nie mogąc znieść szykan ze strony warszawskiego pracodawcy, osiemnastolatek rozchorował się i uciekł z powrotem do rodzinnego Koziczyna. Ks. Rzewnicki poprosił wówczas o pomoc jednego ze swoich przyjaciół w Ciechanowie, lekarza Franciszka Rajkowskiego - znanego społecznika i mecenasa kultury, który na początku 1896 r. zabrał chłopca do siebie, wyleczył, zajął się jego edukacją i pozwalał swobodnie rzeźbić.

Wtedy właśnie, prawdopodobnie pod koniec lata 1896, czyli po kilku miesiącach pobytu Biegasa w Ciechanowie, odwiedził doktora Rajkowskiego Aleksander Świętochowski. Wspomina o tym w felietonie *O geniuszach ubogich i Bolesławie Biegasie*, na łamach „Prawdy”, 24 października-

ka 1896 r. Rajkowski pokazał Świętochowskiemu prace osieroczonego artysty, które go zdumiały i od razu przekonały o wyjątkowych uzdolnieniach młodego twórcy z Koziczyna. Zauważył, że gliniane figury, ulepione bez modeli i wzorów, nie są to *niezdarne próby samouka-pastuszka, ale utwory artysty, którego talent wykwił z prostaczej powłoki z nadzwyczajną mocą i pięknnością. Talent ten rozbija najbardziej wymagającą surowość i odejmuje grunt najpodejrzliwшему sceptycyzmowi, objawia się bowiem śmiało, wyraźnie, chciałbym rzec - potężnie*, pisał Świętochowski, któremu wiejski chłopak wydał się nadzieją polskiej rzeźby, wręcz nowym Giottem.⁵

To wtedy Świętochowski zmienił nastolatkowi nazwisko Biegalski na Biegas, aby móc go łatwiej wypromować jako autentyczny wytwór kultury ludowej. Chłopsko brzmiące nazwisko znaczyło w języku staropolskim „biegacz”. W ten sposób młody pasterz wbiegł na scenę artystyczną...

Już we wrześniu 1896 r. Świętochowski zorganizował Biegasowi pierwszą wystawę rzeźb w Warszawie (w księgarni Wendego). Wkrótce ogłosił też inne swoje artykuły o młodym artyście na łamach „Prawdy”, a wykształcenie rzeźbiarza samouka ze wsi Koziczyn w powiecie ciechanowskim stało się jedną z najważniejszych jego akcji społecznych. Już w inicjującym ją, cytowanym wyżej felietonie Świętochowski apelował: *Niedawno można ręką wydobyła z ubóstwa i uratowała dla sztuki również rzeźbiarza z ludu, Laszczkę. Czy taką znajdzie Biegas? [...] Niech ci, którzy zobaczywszy utwory Biegasa, zechcą mu dopomóc w kształceniu się, uwierzą, że w tej chwili należeć będą do najszczęśliwszych wybrańców losu i że im wielu zazdrości przywileju składania takich ofiar.*

Apel Posła Prawdy i ogłoszoną przez niego subskrypcję na kształcenie Biegasa poparło kilka warszawskich pism. Niektóre, po wystawie prac w Warszawie, zamieściły artykuły i reprodukcje jego rzeźb, np. „Zorza” (*Wykalanie, Powrót z pola, Na fujarce, Hagar, Natrząsanie, Odpoczynek*)⁶, która chwaliła „dar Boży” i „niepospolity talent” mło-

5. Aleksander Świętochowski: *O geniuszach ubogich i Bolesławie Biegasie*, „Prawda”, nr 43, 24 października 1896, ss. 509-510.

6. M. M.: *Rzeźbiarz spod włościańskiej chaty*, „Zorza”, nr 45, 24 października 1886, ss. 712-714.

dego artysty; „Tygodnik Ilustrowany”: *Natrząsanie, Przymierzanie, Odpoczynek*⁷, „Wędrowiec”⁸.

Młody artysta samouk stał się jednak i przedmiotem polemik. Kontrakcję podjęła „Niwa”, dowodząc, że właściwym opiekunem talentu chłopca był ks. Aleksander Rzewnicki i powinien pozostać nim nadal. Przeciwnicy protektorów Biegasa, czyli Rajkowskiego i Świętochowskiego, zarzucali im niechęć do duchowieństwa, wątpili w autentyczność chłopskiego pochodzenia chłopca i zarzucali, że zamiast przedstawiać go jako *uzdolnionego w snycerstwie i ukształtowanego umysłowo młodzieńca*, promują go jako *prostaczka, w którym talent objawił się samorodnie, przezwawszy go przy tym dla lepszego efektu Biegasem*. Zarzucali przemilczanie pomocy ks. Rzewnickiego dla Bolka Biegalskiego, a także roli w rozwijaniu jego talentu warszawskiego artysty Antoniego Panasiuka. Pisano w „Niwie”: *Chłopiec jest zdolny i zasługuje na poparcie, czy jednak należało zyskiwać owo poparcie w taki sposób, jak to zrobili reżyserowie reklam? [...] Czy miało to powiększyć i wzmocnić talent chłopca, że kazano mu się nazywać Biegasem i przemilczeć dobrodzieją, bez którego nigdy nie wydostałby się tam, gdzie już dzisiaj doszedł?*⁹

Także w „Przeglądzie Katolickim” z 26 listopada 1896 r. zwracano uwagę, że panowie, którzy zwrócili się do ludu o pomoc dla Biegasa popełnili kilka niewłaściwości. Przede wszystkim zmienili mu nazwisko, *aby jako dziecie ludu łatwiej pozyskał sympatię i kieszeń mecenasów sztuki*. Oceniono to jako *smutne świadectwo fanatyzmu sfer tzw. liberalnych, które dziś z p. A. Świętochowskim na czele wzięły Biegalskiego w opiekę*. Druga niewłaściwość, według „Przeglądu Katolickiego”, to przemilczenie, że *pierwszą osobą, która oceniła zdolności Biegalskiego był - pleban miejscowy*.

Na ataki zareagował nawet dr F. Rajkowski, który napisał, że nowi opiekunowie młodego Biegasa nie mieli zamiaru „demokratyzowania” jego nazwiska, gdyż jest on tak zapisany w księgach

ludności gminy Regimin, pow. ciechanowskiego. Ale „Przegląd Katolicki”, 24 grudnia 1896, obstawał, że jedynym autentycznym dowodem, jak brzmiało nazwisko nowego „talentu”, powinien być akt jego chrztu.¹⁰ Także Świętochowski wielokrotnie odpowiadał na „szczypania, kąsania, drapania” swoich przeciwników, np. w felietonie *Atak na Biegasa i jego protektorów: Trudno było przewidzieć, że Biegas przemieniony z pastucha na rzeźbiarza, z chłopca zupełnie ciemnego na człowieka cokolwiek ukształtowanego - może kogokolwiek rozgniewać. A przecież tak się stało. Kampanię rozpoczęły nasze Fidyaszątka, które nie tylko nie okazały mu żadnej życzliwości, ale czuły się głęboko dotknięte „wrzawą”, jaką koło niego robiono. Jeden nawet z owych mocarzów [...] oświadczył z humorystyczną przenikliwością i bystrem znawstwem, że lepsze utwory Biegasa nie są jego robotą, lecz jakieś skończonego artysty*.¹¹



Paryż 1949

Świętochowski nazywał siebie *współprotektorem Biegasa i współwinnym zajęcia się jego przyszłością*. Podkreślał, że zna się na sztuce, gdyż studiował ją i *poznał arcydzieła rzeźby w największych muzeach europejskich*, zaś warszawskie Towarzystwo Sztuk Pięknych okazało się tak kompetentne, że umieściło utwory Biegasa w swojej kancelarii. Artystę z Koziczyna konsekwentnie nazywał Biegasem i „pastuszkiem”, który

7. *Rzeźby Biegasa*, „Tygodnik Ilustrowany”, nr 42, 17 października 1896, ss. 831-832.

8. *Prace rzeźbiarskie B. Biegasa, chłopca wiejskiego spod Ciechanowa*, fot. St. Bogacki „Wędrowiec”, nr 44, 31 października 1896, ss. 345-346.

9. *Kogo tutaj wyprowadzono w pole. Słowo prawdy o Biegalskim vel Biegasie*, „Niwa”, nr 47, 21 listopada 1896, ss. 761-762.

10. „Przegląd Katolicki”, nr 52 z dn. 24 grudnia 1896, s. 829.

11. *Posel Prawdy: Atak na Biegasa i jego protektorów*. „Prawda” nr 47, z dn. 21 listopada 1896, ss. 557-558.

na wsi marnował swój talent, wyrażając radość, że od pół roku mieszka pod dobrą opieką u dra Rajkowskiego w Ciechanowie, gdzie uczęszcza do szkoły miejskiej. Prostował także zarzuty, że wraz z Rajkowskim nie zapomnieli o pierwszej pomocy ks. Rzewnickiego i o pobycie u Panasiuka, którego „zasługi” w kształceniu chłopca zdecydowanie obalił, przytaczając w „Prawdzie” fragment życiorysu, własnoręcznie napisanego przez młodego rzeźbiarza (cytat z zachowaniem oryginalnej pisowni i ortografii): *Od 7 laty życia zacząłem, robić kozikiem z drzewa rozmaite figurki i gliny [...] Jednego razu przyszedł raz do mego szwagra od Księdza Rzewnickiego furman który wziął jedno figurki na pokazanie [...] I następnie Ksiądz Rzeźnicki zaprosił kilku panów i Księdzy których bardzo dziwiło że chłopiec beznauki potrafił tak wyrobić. I zaraz zrobili składkę i ksiądz Rzewnicki zawiuz mie do Warszawy do pana Panasuka, który mie miał uczyć. I w początkach dał mi nogi od stołów rzeźbić i to nauka była dalsza i ja raz po kryjomu zacząłem robić Świętego jana Nepomucena to on jak to panasuk wydar mi zręki i kazał spalić. I jak panasuk figurę zrobił to musiałem wysłufować i ja uczyłem się slufowania [...] - młody artysta opisał też w tym stylu inne szykany ze strony Panasiuka. Uważał, że jest on chytry, zazdrosny oraz fałszywie się chwali, że uczył go pisania i czytania. Wyznał też na łamach „Prawdy”, że się w końcu rozchorował i wrócił do rodzinnej wsi, gdzie zajął się nim dr Rajkowski.¹²*

Przeciwnikom akcji Świętochowskiego nie powiodło się. Biegasa poparły „Kurier Warszawski”, „Kurier Codzienny”, „Tygodnik Ilustrowany” i bardzo szybko - za pośrednictwem dra Rajkowskiego i redakcji „Prawdy” - zebrano fundusze na kształcenie młodzieńca przez cztery lata. Już 21 listopada 1896 r. Świętochowski zawiadamiał o tym czytelników „Prawdy” nie bez dumy, że jego wrogom nie udało się sparaliżować przedsięwzięcia.¹³ Kiedy fundusze na kształcenie młodego artysty były już zebrane, „Przegląd Katolicki” zaofiarował mu pomoc: 25 rubli rocznie, ale pod warunkiem, że opiekę nad młodym artystą w Krakowie będzie miał ks. Rzewnicki z Koziczyna. Znowu rozsierzdi-

ło to Świętochowskiego, który 14 stycznia 1897 r. ripostował prześmiewczo w *Liberum veto*: *Ponieważ Biegas [...] nie będzie się kształcił w Koziczynku, lecz w Krakowie, ponieważ nie będzie się uczył ministrantury, lecz historii, arytmetyki, geometrii, języków, a przede wszystkim rysunku i rzeźby; ponieważ pieniądze dla niego dobrzy ludzie złożyli bądź na ręce niejakiego Świętochowskiego, który go im wskazał, bądź niejakiego Rajkowskiego, który wraz z żoną o jego los się zatroszczył; ponieważ w Krakowie nad jego sprawowaniem się i zdrowiem czuwać będzie niejaki Bujwid, a nad rozwojem jego talentu profesorowie szkoły sztuk pięknych - pozostaje przeto bardzo trudne do rozstrzygnięcia pytanie, jak swą opiekę wykonywać ma ks. Rzewnicki z Koziczynka i jakim sposobem uratować można [...] 25 rs. Przeglądu Katolickiego? Widzę tylko jedną drogę wyjścia z tego trudnego położenia: mianowicie niech owi Świętochowski i Rajkowski, nieodpowiedzialni moralnie, zwrócą pieniądze ofiarodawcom, którzy w znacznej części przystali im je z wyraźnym zastrzeżeniem osobistego do nich zaufania, natomiast niech Przegląd Katolicki da 25 rs. i na nitce przywiązanej w Koziczynku puści go w świat¹⁴ - pisał Świętochowski, pouczając, że chcąc dobru służyć, trzeba „ukochoać gorąco”, a nie tylko „w swoim interesiku”.*

Studia w Krakowie (1897-1901)

2 lutego 1897 r., dzięki zebranych funduszom oraz pomocy Rajkowskiego i Świętochowskiego, Bolesław Biegas przybył na studia w Szkole Sztuk Pięknych w Krakowie (wówczas Austria). W Muzeum Szlachty Mazowieckiej w Ciechanowie zachował się jego paszport, wydany 4 stycznia 1897 r. przez władze rosyjskie w Płocku (wizę wjazdową otrzymał z konsulatu austriackiego w Warszawie, 28 stycznia 1897).

W Krakowie Biegas zamieszkał u Odo i Kazimiery Bujwidów, w czym zapewne też dopomógł Świętochowski. Odo Bujwid (1857-1942), profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, lekarz immunolog, „ojciec bakteriologii polskiej”, był jego długoletnim

12. Ibidem, s. 558.

13. Ibidem.

14. Posel Prawdy: *Liberum veto*. „Prawda” nr 3, z dn. 14 stycznia 1897, ss. 30-31.

współpracownikiem, korespondentem „Prawdy” jeszcze z czasu praktyki w Instytucie Pasteura w Paryżu. Nad intelektualnym rozwojem młodego artysty czuwała głównie profesorowa, Kazimiera Bujwidowa, aktywna feministka, autorka licznych prac z dziedziny edukacji i klas społecznie nieuprzywilejowanych. To dzięki niej Biegas odkrywał literaturę i filozofię, czytał Schopenhauera i Nietzsche-go, bywał na koncertach, rozpoczął naukę języka francuskiego oraz gry na fortepianie. Bujwidowie zostawiali jednak młodzieńcowi niewiele swobody, ingerowali w jego kontakty towarzyskie, byli przesadnie troskliwi, nawiązywali też w wypowiedziach do jego tragicznego dzieciństwa (na co skarży się w autobiograficznej sztuce *Lechit*).

W krakowskiej uczelni Biegas studiował na oddziale rzeźby, którym najpierw kierował prof. Alfred Daun, zaś dyrektorem był Julian Fałat. Biegas był wtedy bardzo dobrym i pilnym studentem, już w 1898 r. otrzymał brązowy medal za pracę *Porwanie Ganimedy*. Świętochowski śledził postępy swojego pupila, o czym świadczy zachowany w Muzeum Pozytywizmu w Gołotczyźnie list do niego od prof. Dauna z 22 grudnia 1897 r. Na prośbę pozytywisty, aby wydał opinię „o przymiotach i wadach P. Biegasa”, prof. Daun odpisał, że młody rzeźbiarz z Koziczyna *posiada zdolności do modelowania w wysokim stopniu*, ale żeby zostać rzeźbiarzem *powinien rysować jak najwięcej*, zaś dla wykształcenia plastycznej wyobraźni i „zdrowia duszy” – profesor polecał Biegasowi zgłębianie historii malarstwa oraz lekturę „Homera, Owidiusza, Virgila, Mickiewicza”. Stwierdził też, że w pracy artystycznej należy na jakiś czas *pozostawić go samemu sobie*. Nadmienił Świętochowskiemu również, że nie może przemilczeć największej „wady duszy” Biegasa, bo często: *traci spokój i równowagę wewnętrzną, która tak konieczna jest przy wszelkiej pracy*.¹⁵

W 1898 r. pracownię rzeźby na uczelni krakowskiej objął prof. Konstanty Laszczka, pedagog autorytarny, nie pozostawiający swoim studentom wiele swobody. W dodatku, chociaż sam wywodził się z chłopów, traktował Biegasa z wyższością. Sprawilo to, że niezależna natura artysty z Kozi-

czyna zaczęła buntować się, oddalać od konwencji akademickiej. Pod wpływem panujących w Krakowie trendów symbolistycznych i dekadencek, propagowanych głównie przez Stanisława Przybyszewskiego, Biegas wszedł w krąg twórczości Viegelanda, Muncha, Ropsa. Fascynowało go zło, koszmar, piekło ciała i... zaczął osiągać pierwsze sukcesy artystyczne. W 1900 r. wystawił siedem rzeźb w Salonie Krywulta w Warszawie, jednej z najważniejszych w tym okresie prywatnych galerii na ziemiach polskich. Rok później wiedeńscy secesjoniści zaprosili młodego rzeźbiarza, ku zaskoczeniu Laszczki, do udziału w prestiżowej X Wystawie Secesji w Wiedniu. Rzeźby Biegasa zebrały tam znakomite recenzje, a sam artysta został członkiem wiedeńskiej „Secesji”, z którą wystawiał jeszcze kilkakrotnie (1902, 1903, 1904). W 1901 r. zaprezentował także swoje prace w Towarzystwie Sztuk Pięknych w Warszawie.



*Popiersie Bożnańskiej, 1902,
Muzeum Narodowe w Warszawie*

Natomiast w Krakowie za wykonanie rzeźby *Księga życia* Biegas został w 1901 r. usunięty ze studiów jako „burzyciel Akademii Sztuk Pięknych”. Powierzył wtedy swoje prace Bujwidom i wyjechał latem do Ciechanowa, zatrzymując się u Franciszka Rajkowskiego. Jego protektorzy, choć rozczarowani takim obrotem sprawy, byli jednak mile zaskoczeni jego sukcesami w Wiedniu. Postanowili dać Biegasowi jeszcze jedną szansę. Aleksander Świętochowski znowu uzyskał dla niego stypendium, tym razem z Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie, na studia w Ecole des Beaux-Arts w Paryżu, zaś hrabia Adam Krasieński dał mu przed wyjazdem nad Sekwanę list polecający do rzeźbiarza Paula Dubois. Ordynat

15. List prof. Alfreda Dauna do A. Świętochowskiego z 22 grudnia 1897. Muzeum Pozytywizmu w Gołotczyźnie, nr inw. MP-133,134.

piisał 29 października 1901 r. z Opinogóry: *Młody rzeźbiarz, którego mam honor Panu polecać, jest prostym wieśniakiem, a raczej był, pięć lat temu, prostym pasterzem niedaleko mojej posiadłości. Pasąc krowy, spędzał długie godziny, wycinając kozikiem figurki z drewna, figurki pełne niezwyklego wyrazu i ruchu. Kilka osób [...] zainteresowało się [...] i wysłało go do Krakowa [...]. Chcielibyśmy obecnie, aby kilka lat spędził na studiach w Paryżu. [...] Szanowny Pan najlepiej by się zaopiekował tym młodym talentem prymitywnym, można by nawet powiedzieć nieokrzyszczonym, ale na pewno niebanalnym [...]*¹⁶

Wyzwolenie w Paryżu (1901-1954)

Biegas przybył do Paryża w grudniu 1901 r. Zlekceważył jednak list polecający do Paula Dubois, poczuł się wreszcie wyzwolony z nakazów pedagogów, opieki protektorów i nie podjął studiów. Postanowił tworzyć na własną rękę. Znalazł pracownię rzeźbiarską na Montparnassie i zaczął intensywnie pracować samodzielnie, tworząc od stycznia do marca 1902 r. ok. 20 rzeźb. Zmierzał w kierunku uproszczenia formy, co zastosował już w wyrzeźbionej w Krakowie *Księdze życia*. Stworzył serię silnie zgeometryzowanych reliefów (*Świat, Sfinks, Zagadka*), równocześnie pracował nad dziełami ekspresjonistycznymi (*Chopin, Zmierzch, Miłość śmierci*). Obracał się najpierw wśród licznej w Paryżu emigracji polskiej, m.in. Olgi Boznańskiej, Antoniego Potockiego, Stanisława Gierzyńskiego, Jana Lorentowicza i innych. Pozyśkał też nowych mecenasów, którzy zdecydowali o dalszych jego losach. Było to bardzo zamożne baronostwo Henryk i Jadwiga Truttschelowie, którzy mieszkali w Paryżu i w majątku Masłówka pod Kijowem na Ukrainie. Młody artysta związał się z nimi do końca życia. Baronowa zachwyciła się rzeźbami ubogiego młodzieńca, traktowała go jak syna, dbała o rozwój artystyczny, wspierała finansowo. Pastuszek przedzierzgnął się w arystokratę tak dalece, że w 1945 r. Andre Salmon będzie się zastanawiał nad jego faktycznym pochodzeniem: „książętko czy natchniony pasterz?”.

W drugim roku pobytu w Paryżu, Biegas zaczął wchodzić w kręgi symbolistów francuskich, wystawiać swoje prace. Po pokazaniu rzeźb w Champs de Mars, Salonie Niezależnych oraz Salonie Societe Nationale de Beaux-Arts, wielu Polaków uważało, że jest lepszy od królującego wówczas Rodina. Jego rzeźby zaczęły przyciągać uwagę krytyków, choć Wacław Szymanowski pisał z Paryża do Teodora Axentowicza 20 marca 1902 roku, że Biegas *ma prawdziwy i silny talent zepsuty przez frazesy [...] Przybyszewskiego*.¹⁷ Biegas wysyłał również swoje nowatorskie prace na wystawy na ziemiach polskich, ale przyjmowano je z rezerwą. Aleksander Świętochowski też był całkowicie zbity z tropu kierunkiem, w jakim ewoluowała twórczość Biegasa. Pisał do niego z wyrzutem w 1902 r. do Paryża, polecając zapisać się do Szkoły Sztuk Pięknych: *Nie posłuchałeś naszej rady, to posłuchasz nędzy swojej... trzeba było ci korzystać z datków naszych i do szkoły chodzić jeszcze, bo to przecie nie są żarty, lada chwila możesz znaleźć się na bruku [...] tak pracować jak my chcemy - w guście ładnym i klasycznym. Bo te rzeźby, co ty robisz, to są dotąd nic nie warte... Trzeba nie być uparciuchem, trzeba słuchać starszych - mających już doświadczenie*.¹⁸

Kiedy Świętochowski dowiedział się o nowych mecenasach Biegasa, napisał do Jadwigi Truttschel, prosząc o zaniechanie pomocy. Krytykował także jego utwór literacki *Wrażenia ducha myśli*, którego rękopis przeczytał: *[...] ta pisani-na jest nic nie warta, pusta, bez treści... Jednym słowem jest to dalszy ciąg rzeźb jego, sztywnych, bezforemnych, bez żadnych zalet... jakiegokolwiek myśli. - Mojem zdaniem to jest podłość - to zakąła społeczeństwa [...] To jest człowiek bez serca, bez najmniejszego uczucia*.¹⁹

List pozytywisty wywołał jednak odwrotny skutek. Jadwiga Truttschel uznała filozofa za nieoświeconego dziennikarza, niekompetentnego w kwestiach artystycznych i w lipcu 1902 r. zabrała artystę, o którego zdrowie po wizycie u paryskich lekarzy się obawiała, do swojego majątku w Masłówce. Biegas przebywał tam aż do grudnia 1902. Miał do dyspozycji pracownię rzeźby, dużo pisał

16. Za: Xavier Deryng w: *Bolesław Biegas...*, ss. 21-22.

17. Ibidem, s. 22.

18. Ibidem, s. 24.

19. Ibidem.

(powstała wtedy jego autobiograficzna sztuka *Grażczak*), podjął też pierwsze próby malarskie. Dzięki Jadwidze Trutschel wydał w Krakowie swój pierwszy dramat *Księżyc*.

Prawdopodobnie z jesieni 1902 r. (widnieje tylko data 8 września) pochodzi zachowany w Gołotczyźnie list z Masłówki Jadwigi Trutschel, który jest odpowiedzią dla Świętochowskiego. Baronowa wyraziła w nim ubolewanie z powodu impulsywnego listu i „złego obejścia” się Biegasa z pozytywistą, tłumacząc to chorobliwą impulsywnością artysty i tym, że wyrósł on „na niekulturalnym gruncie”. Wyraziła też zdziwienie incydentem, gdyż Biegas zawsze mówił do niej o Świętochowskim i Bujwidzie „z ogromną wdzięcznością i uwielbieniem”. Tłumaczyła: *Panie Szanowny już dawno pastuszka nie ma, jest to chora dusza wzniosła i cierpiąca, że musi żyć z jałmużny [...] Biegas chory chłopak - ale ze szczerem i z całym wdzięcznym sercem, z ogromnym rzeźbiarskim talentem, a że mu brak jeszcze dużo zalet to go tłumaczą ogromnie trudne warunki życia - donosiła, że pragnie dla niego być użyteczną, że w Paryżu poprosi Rodiną, aby swe zdanie o Biegasie powiedział, bo jest zdolny, pracowity i bardzo dobry (dzielił się nawet obiadami z uboższymi), ale jako niezwyklej natury chłopak nie może on być traktowany jako przeciętny człowiek. Zapewniała z Masłówki: U nas ma wygodę i wszystko co do poprawienia zdrowia potrzebne. Przede wszystkim traktuję go jak dziecko chore potrzebujące troskliwej opieki - uczę go po francusku, bo to w Paryżu będzie potrzebne. [...] Zupnie macierzyńską opieką go otaczam jak chore dziecko, ale bardzo niezwykle, które nadzwyczaj głęboko czuje. I uspokajała byłego protektora: Nie odstępimy go póki on o własnych siłach pójdzie w drogę życia.²⁰*

Biegas, gdy miał już nowych mecenasów, zaczął odmawiać pomocy z rodzinnego środowiska, które interesowało się nadal jego rozwojem artystycznym. Świadczy o tym zachowany w Muzeum Szlachty Mazowieckiej w Ciechanowie, datowany na 8 listopada 1902 r., list w języku francuskim z podpisem - niestety - nieczytelnym, z którego wynika niepokój, że: *nasz Biegas, nie-*



Kobieta za piecem

gdyś dobrze zapowiadający się młody człowiek - pada ofiarą kobiety, która całkowicie nim zawładnęła tak, że odmawia on jakiegokolwiek wsparcia. Słowa te odnoszą się do „Madame”, prawdopodobnie do baronowej Trutschel.²¹

Wydaje się, że Aleksander Świętochowski stracił wtedy kontakt ze swoim pupilem. Biegas miał już nowych protektorów, przyjaciół i rzeczywiście wbiegł na artystyczne światowe salony, wystawiając szeroko swoje modernistyczne prace. Już w 1903 r. zaprezentował je w Sankt Petersburgu i była to wystawa przełomowa, gdzie nazwano go „sfinksem zmartwychwstałym”. Ekspozował swoje rzeźby także w Wiedniu, Warszawie i Krakowie (1904-1905), ale krytyka polska przyjęła je bardzo źle, w Kijowie (1905), Waszyngtonie (1907), Rzymie, Krakowie i Lwowie (1911). Później już pokazywał je wyłącznie we własnej pracowni na Montparnassie, która przypominała raczej światowy salon, a on sam związał się głęboko z Paryżem. Zdobywał sławę, zbierał dobre recenzje o swojej twórczości (choć miewał i skandale, interwencje cenzury, itp.), pisał i publikował utwory literackie (niektóre przekładano na francuski, wystawiano w teatrach). Drukowano też liczne artykuły o nim, katalogi jego prac, książki. Robił jednak karierę w odmiennym kierunku niż życzył sobie tego Świętochowski. Nie wiadomo czy Biegas spotkał się z nim podczas wizyt w kraju, np. w 1909 r., kiedy odwiedził Koziczyn i siostrę Mariannę (pomagał jej aż do II wojny światowej, w 1936 r. oddał swoją ziemię w rodzinnej wsi). Na pewno spotkał się wtedy z ks. Rzewnickim, który pracował już w biskupstwie

20. List Jadwigi Trutschel do A. Świętochowskiego z 8 września, Muzeum Pozytywizmu w Gołotczyźnie, nr MP-134.

21. List (podpis nieczytelny) z 8/12 listopada 1902, Muzeum Szlachty Mazowieckiej w Ciechanowie, MOC/D/416.

w Płocku. Ze swoim pierwszym dobroczyńcą był zresztą cały czas głęboko związany, słuchał jego rad, pomimo iż sam oddalił się od katolicyzmu. Książd Rzewnicki odwiedził go nawet w Paryżu (1912).

Od 1909 r. Biegas związał się z hinduską księżniczką Perinette Khurshedbanoo A. D. Naroji, co popsuło na pewien czas jego kontakty z baronową Trutschel, ale wspierała go aż do swojej śmierci w 1939 r. - już w 1929 r. ustanowiła go jedynym spadkobiercą całego majątku (choć zubożonego po rewolucji). Ostatni raz Biegas był w Polsce w 1913 r., wtedy gościł u literata Kazimierza Wizego w Poznańskim.

Na początku lat 30. postać Biegasa zaczęła odchodzić w zapomnienie. Artysta popadał w samotność (nie był żonaty, nie miał dzieci), zgorzknienie (szczególnie z powodu powojennego losu Polski), wtedy zbliżył się do kręgów emigracji polskiej. Najpierw, w 1948 r., chciał podarować swoje „zbiory i zabytki” - większość już za życia (452 przedmioty), a część po śmierci (36 przedmiotów) - Polskiemu Muzeum w Ameryce. Przygotował już szczegółowy ich spis (liczący 13 stron druku) oraz akt darowizny (30 marca 1948 r.). Jak wynika z korespondencji Biegasa z dyrektorem tego Muzeum Mieczysławem Haimanem, artysta chciał, aby jego dzieła znalazły „należyte schronienie i pewny przytułek w Muzeum Polskim w Chicago”, gdyż w Europie panuje „stałe napięcie ogólnospołeczne”. Donosił, że w czasie wojny, na skutek bombardowań, część jego kolekcji dotkliwie ucierpiała, dlatego pragnął przekazać większość swoich zbiorów za ocean. Kustosz „amerykańskiego Raperswilu”, jak nazywano słynne wówczas Muzeum Polskie w Chicago, był jednak wtedy już na łożu śmierci i sprawa nigdy nie została sfinalizowana.²² Biegas bardzo tego żałował i w 1954 r. zapisał swój majątek Polskiemu Towarzystwu Historyczno-Literackiemu w Paryżu. Jego prace są też w wielu muzeach: Muzeum d'Orsay w Paryżu, Muzeum Sztuk Pięknych w Lyonie, Muzeach Narodowych w Warszawie i Poznaniu, Muzeum Mazowieckim w Płocku, Muzeum Szlachty Mazowieckiej w Ciechanowie oraz licznych kolekcjach prywatnych.

Świętochowski opiekunem Biegasa

Aleksander Świętochowski pomógł najbardziej - spośród jego rodzimych protektorów (ks. A. Rzewnickiego, dra F. Rajkowskiego, hr. A. Krasieńskiego) wypromować artystę z podciechanowskiego Koziczyna. Dostrzegł od razu jego talent, zorganizował w Warszawie pierwszą wystawę rzeźb i publiczną zbiórkę funduszy na studia w Krakowie. Zaciekle go też bronił w felietonach *Liberum veto*. Również oddanie go pod opiekę Bujwidów w Krakowie, dzięki którym Biegas przeżywał przyspieszony rozwój intelektualny, to zasługa pozytywisty. Bujwid pomagał zresztą Biegasowi później, kiedy już mieszkał w Paryżu, wystawiać prace na ziemiach polskich.

Świętochowski również pomógł Biegasowi uzyskać stypendium z Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie na wyjazd do Paryża. W tym czasie Biegas został usunięty ze studiów w Krakowie („jako burzyciel Akademii Sztuk Pięknych”). Z pewnością też dzięki niemu hr. Edward Krasieński dał artyście przed wyjazdem nad Sekwanę list polecający do rzeźbiarza Paula Dubois na studia w Ecole des Beaux-Arts. Ponadto wszędzie, gdzie pupil przebywał, Poseł Prawdy śledził jego życie i postępy artystyczne, z nadzieją, że będzie polskim Giottem.

Ale opieka nad Biegasem nie była łatwa, ze względu na niezależny, nie poddający się kierowaniu charakter. Artysta był indywidualistą, nie przyjmował uwag protektora na temat swojej twórczości, która - zarówno plastyczna, jak literacka - bardzo rozczarowała Świętochowskiego. Jako były „hetman obozu młodych” nie potrafił zaakceptować trendów nowej epoki, z którą zaczął się rozmiącać. Tylko w połowie spełniła się więc jego nadzieja z 1896 r., kiedy pisał: [...] *może ci prawdziwi dobrodzieje Biegasa, którzy mu zapewnił środki do ukształtowania się, będą mieli z niego pociechę i dadzą społeczeństwu utalentowanego artystę*.²³

Teresa Kaczorowska

22. Korespondencja Bolesława Biegasa z Mieczysławem Haimanem, 1948, Muzeum Polskie w Ameryce, ze zbioru: Archiwum własne, sygn. 168.

23. *Nad uczonym grobem*, w: „Tygodnik Ilustrowany” 1926 nr 2, za: Maria Brykalska: Aleksander Świętochowski, PIW, Warszawa 1987, t. 2, s. 378.

Piotr Szal

Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej - Wielokulturowe Centrum Historii i Sztuki w Przemyślu



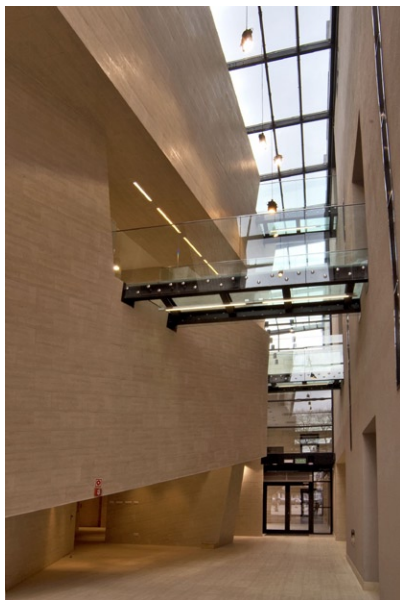
Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej jest najstarszym muzeum na Podkarpaciu, a jego bogactwo kulturowe i historyczne stanowi ponad 115 tysięcy zbiorów, przedstawiających zarówno religię, jak i kulturę trzech narodów zamieszkujących ziemię przemyską (Polaków, Ukraińców, Żydów).

Muzeum w ciągu swej 100-letniej działalności przeszło różne przeobrażenia organizacyjne. Z małego Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk przekształciło się w placówkę wielodziałową - Muzeum Narodowe, wyposażoną w odpowiednie pracownie specjalistyczne, bogatą bibliotekę fachową, umożliwiającą prowadzenie różnorodnej działalności naukowej, oświatowej, wydawniczej. Znajduje to odzwierciedlenie w regulaminach i statutach, jakie nadano tej placówce od 1921 r. Wraz z rozwojem organizacyjnym zmieniał się terytorialny zasięg oddziaływania placówki, początkowo związanej z miastem Przemyślem, w końcu z dawnym historycznym obszarem ziemi przemyskiej. Placówka ta od kilkunastu lat dokumentuje życie artystyczne i kulturalne również Kresów Wschodnich.



W 2005 r. rozpoczęto budowę nowej siedziby Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej - Wielokulturowego Centrum Historii i Sztuki w Przemyślu na podstawie projektu firmy KKM Kozień Architekci z Krakowa. Decyzja dotycząca

budowy, została podyktowana postanowieniem Kościelnej Komisji Majątkowej z 2000 r. odbierającej dotychczasowy budynek - siedzibę Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej na rzecz kurii greckokatolickiej w Przemyślu. Ciekawą niespodzianką dla budowniczych i muzealników były odkrycia antropologiczne na placu budowy nowego gmachu muzeum przy placu płk. Berka Joselewicza 1, gdzie natrafiono na cmentarz z XII lub XIII wieku oraz dobrze zachowane szkielety zarówno mężczyzn, jak i kobiet i dzieci, łącznie 58. Nowo wybudowane muzeum posiada trzy kondygnacje,



w których zlokalizowano sale wystawowe (o łącznej powierzchni ponad 1 200 m²), salę audytoryjną dla około 200 widzów, bibliotekę, pomieszczenia gościnne, magazyny zbiorów muzealnych, a także kiosk z pamiątkami i wydawnictwami muzealnymi oraz kawiarnię. Co bardzo istotne, budynek został dostosowany dla potrzeb osób niepełnosprawnych. Uroczystego otwarcia dokonano w dniu 16 grudnia 2008 r., rozpoczynając tym samym działalność wystawienniczą muzeum.

Muzeum w Przemyślu od swojego powstania wierne było zasadzie ścisłej współpracy z miejscowym środowiskiem, stąd duże przywiązanie społeczeństwa do swej placówki, przejawiające się w wielu darach. Tradycja ta znajduje potwierdzenie i dzisiaj w postaci licznych darów dzieł sztuki

ki, dokumentów, pamiątek osobistych, książek itp. W zbiorach muzeum znajdują się unikalne w skali europejskiej i światowej kolekcje, m.in.: z zakresu sztuki starożytnej (ponad 600 ikon), unikalne pamiątki twierdzy Przemyśl z okresu I wojny światowej, bogate zbiory archeologiczne i etnograficzne oraz wielka kolekcja starodruków.

Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej - Wielokulturowe Centrum Historii i Sztuki w Przemyślu, jako muzeum samorządowe, za cel stawia sobie ochronę dziedzictwa kulturowego dla przyszłych pokoleń. Dostępne jest dla szerokiej publiczności, sympatyków, twórców kultury, a przede wszystkim młodzieży, która zagłębiając się w prezentowane, różnorodne wystawy muzealiów z ubiegłych epok, nie tylko poznaje zawiłą historię Przemyśla, jak i ziemi przemyskiej, ale kształtuje duchowo pamięć o tamtych zdarzeniach historycznych i wybitnych działaczach społeczno-kulturalnych, kompozytorach, lekarzach itp.



Wśród walorów kulturowych decydujących o turystyczno-kulturowym charakterze przemyskiego muzeum, można wymienić zabytki drobne, monumenty i dzieła sztuki, jak i odbywające się wydarzenia kulturalne, festiwale, koncerty, wystawy, ale także bardzo indywidualne wartości, jak przyrost wiedzy, a zatem wspomniany walor edukacyjny.

W przyszłości muzeum przemyskie, jako najdalsze muzeum Kresów Południowo-wschodnich może zająć się w sposób specyficzny i systematyczny ochroną dziedzictwa kulturowego na dawnych Kresach Rzeczypospolitej. W szczególności, w dalszym ciągu współpracując z ukraińskimi instytucjami kulturalnymi - nie tylko muzeami, ale i polskimi organizacjami społeczno-kulturalnymi - umacnia polskość tamtejszych terenów. Muzeum może w sposób systematyczny gromadzić

kolekcje dzieł sztuki, pamiątek historycznych i innych związanych z Kresami Południowymi, a także opracowywać te zbiory naukowo i publikować wyniki tych badań.

Na uwagę zasługuje konieczność prowadzenia przez muzeum systematycznych badań naukowych nad obecnym stanem zabytków kultury polskiej na terenie dzisiejszej Ukrainy, systematycznego prowadzenia prac inwentaryzacyjnych, stałego wspierania rozwoju kultury w środowiskach polskich w tych krajach, pomocy w zakresie kształcenia i prowadzenia działalności kulturalnej oraz prowadzenia prac konserwatorskich w szczególności zagrożonych obiektach. Należy zauważyć, że żadna instytucja w Polsce (prócz muzeum przemyskiego) nie gromadzi systematycznie zbiorów dotyczących polskiej kultury na dawnych Kresach Południowych (Galicja Wschodnia).

W okresie prawie 100-letniej działalności Muzeum Narodowe Ziemi Przemyskiej w Przemyślu udostępniło społeczeństwu setki wystaw, około 300 własnych wydawnictw (wydawnictw naukowych, katalogów, albumów, folderów, informatorów, itp.), prowadziło liczne badania z dziedziny archeologii, etnografii, historii sztuki, zabytkoznawstwa, muzealnictwa, rzemiosła, dziejów regionu. Pracownicy muzeum publikowali swe prace na łamach krajowych i regionalnych wydawnictw naukowych. Z dziedziny konserwacji zabytków prowadzone są prace zabezpieczające i pełna konserwacja obiektów muzealnych.



Przemyska placówka kulturalna od kilkudziesięciu lat współpracuje z wieloma instytucjami naukowymi i kulturalnymi w kraju i za granicą. Na uwagę zasługuje współpraca z instytu-

cjami z Ukrainy, Węgier, Czech, Słowacji i Niemiec. W krajach tych były wielokrotnie prezentowane wystawy ze zbiorów przemyskiego muzeum. Od lat 70. XX w. bardzo owocnie układa się współpraca z instytucjami i muzeami ukraińskimi i węgierskimi. Od lat 90. XX w. na Ukrainie muzeum organizuje Warsztaty Kulturowo-Artystyczne dla Polaków z Ukrainy, które są finansowane ze środków fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”.



Współpraca z muzeami węgierskimi dotyczy działalności wystawienniczej i naukowo-badawczej w dziedzinie badań nad historią i rolą twierdzy przemyskiej, która odegrała znaczącą rolę w okresie I wojny światowej. Szczególnie na uwagę zasługuje współpraca z Instytutem i Muzeum Wojskowości Węgierskiej w Budapeszcie oraz Muzeum Zamkowym im Stefana Dobó w Egerze i Forcie Monostór w Komaróm. Podkreślić należy, że z instytutem w Budapeszcie muzeum w Przemyśle podpisało umowę o współpracy w 2001 r., w ramach której prowadzona jest wymiana wystaw o tematyce historyczno-militarnej, prowadzone są badania nad dziejami twierdzy Przemyśl, zaś instytut zobowiązał się opracować dokumenty z tzw. archiwum Eleka Molnara, podpułkownika węgierskiego, obrońcy przemyskiej twierdzy w latach 1914-1915.

Muzeum wiele uwagi poświęca ochronie zbiorów muzealnych. Ich plan został opracowany w 2001 r. i zatwierdzony przez komendanta wojewódzkiego policji w Rzeszowie. Zbiory muzealne są chronione poprzez System Alarmowego Włączania i Napadu (przewodowo i bezprzewodowo) - symbol: SAWiN - połączony z telewizją użytko-

wo-podglądową oraz system ochrony ppoż. i „System Alarmu Pożarowego (symbol: SAW).

Podstawowym źródłem finansowania działalności statutowej muzeum w Przemyśle są dotacje z budżetu województwa podkarpackiego, które zabezpieczają tylko podstawowe potrzeby placówki. Niestety, nie pozwalają one na realizację szerszych zadań statutowych, ani też nie zapewniają godziwych warunków płacowych dla załogi muzeum. Należy przy tym podkreślić, że pracownicy muzeum w Przemyśle mogą się aktualnie pochwycić dużym dorobkiem muzealniczym, szczególnie w dziedzinie wystawienniczo-edukacyjnej, badań naukowych i działalności wydawniczej oraz na niwie współpracy zagranicznej. Mimo trudnych warunków, w jakich przychodzi im pracować, osiągają niepodważalne sukcesy w pracy zawodowej, o czym świadczą nagrody uzyskiwane w konkursie „Wydarzenie Muzealne Roku”. W 1985 r. muzeum uzyskało nagrodę II stopnia ministra kultury i sztuki za wystawę pt. „Najciekawsze nabytki Muzeum w Przemyśle w latach 1944-1984”; w 2002 r. - nagrodę II stopnia ministra kultury i sztuki za wystawę „Klasa starej daty”, która prezentowała dorobek szkolnictwa południowo-wschodniej Polski na przestrzeni 100 lat. W konkursie „Wydarzenie Muzealne Roku 2005” muzeum również uzyskało nagrodę II stopnia ministra kultury i dziedzictwa narodowego, za organizację, urządzenie i otwarcie Oddziału Muzeum Historii Miasta Przemyśla, który został zlokalizowany w odremontowanej i zaadaptowanej na cele muzealne XVI-wiecznej kamienicy mieszczańskiej w Przemyśle przy Rynku 9.

Szczególne zainteresowanie budzi różnorodność zbiorów przemyskiego muzeum bezpośrednio związana z przedwojenną wielokulturowością Przemyśla i regionu ziemi przemyskiej. Występująca tu wielobarwność kulturowa, związana z rozwojem czterech wielkich religii: katolickiej, prawosławnej, greckokatolickiej i żydowskiej, wpłynęła znacząco nie tylko na architekturę Przemyśla, ale i obecne walory historyczno-kulturowe mieszkańców, w przeważającej mierze repatriantów ze Wschodu.

*mgr inż. Piotr Szal
adiunkt MNZP*

Prace z konkursu „Legendy ziemi krasnostawskiej” organizowanego przez Powiatową Bibliotekę Publiczną w Krasnymstawie

Nagrody:

Katarzyna Dudek

Legenda o podziemiach w Krasnymstawie.
Szkoła Podstawowa nr 1 w Krasnymstawie

Karolina Gawel

Legenda o powstaniu nazwy Białka.
Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie

Olga Kasjaniuk

Legenda o rybaku i jednorożcu.
Szkoła Podstawowa w Siennicy Różanej

Julia Matysiak

O królu Krasnym.
Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym

Agata Troć

Legenda o herbie Krasnegostawu.
Szkoła Podstawowa nr 5 w Krasnymstawie

Wyróżnienia:

Paulina Bortacka

Legenda o podziemiach krasnostawskich.
Szkoła Podstawowa nr 5 w Krasnymstawie

Joanna Berbec

Legenda o Kolonii Zastawie.
Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym

Klaudia Dziedzic

Legenda o Krupem.
Szkoła Podstawowa w Krupem

Klaudia Kielech

Legenda o Piorunowej Górze.
Szkoła Podstawowa w Siennicy Różanej

Iga Rokita

Jak Bóg obronił kościół.
Zespół nr 1 Gimnazjum i Szkoły Podstawowej
w Siennicy Nadolnej

Monika Słowik

Legenda o dworze chełmieckim.
Szkoła Podstawowa w Kraśniczynie

Kornelia Szymańska

Bracia Chwieje.
Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym

Prace zauważone:

Aleksandra Harasim

Historia pięknej nieznanym.
Szkoła Podstawowa nr 1 w Krasnymstawie

Weronika Wójcik

Legenda o Różyczce i jednorożcu.
Szkoła Podstawowa w Siennicy Różanej

Katarzyna Dudek

Szkoła Podstawowa nr 1 w Krasnymstawie

Legenda o podziemiach w Krasnymstawie

Moja babcia często opowiadała mi wieczorami różne legendy. Było ich wiele, ale najbardziej pamiętam legendę o naszym grodzie Krasnymstawie. Babcia opowiadała mi ją wielokrotnie, bo byłam nocnym markiem i tak szybko nie chciałam zasypiać.

Dawno, dawno temu nad rzeką Wieprz do stojny kasztelan, zwany potem Mądrym Kasztelanem zbudował niewielkie miasteczko. Kasztelan był człowiekiem zamożnym i bardzo energicznym, więc budowa miasteczka została wykonana bardzo szybko. Miasteczko było drewniane, a jedynie zamek kasztelana był z białego kamienia. Nie było żadnych murów obronnych, bo okolice i czasy były spokojne, a kasztelan nie miał żadnych wrogów. Czas płynął leniwie, ludziom żyło się dobrze, ale wracający ze Wschodu kupcy ormiańscy ostrzegali kasztelana, że kilkaset kilometrów od miasta wojska tatarskie niszczą tamte tereny i posuwają się w kierunku miasta. Kasztelan zasmucił się, bo wieści kupców potraktował jako poważne ostrzeżenie. Wiedział, że za kilkanaście miesięcy jego małe miasto Krasnostaw może być zaatakowane przez wojska tatarskie. Kasztelan nie załamywał rąk, lecz postanowił wybudować przy pomocy mieszkańców podziemia pod miastem w celu uratowania ludzi i dobytku. Wiedział, że miasto zbudowane jest na skałach wapiennych i można drążyć kanały i schrony. Czasu nie było za wiele. Zwołał na rynku rajców, wszystkich ludzi i ostrzegł ich o groźbie tatarskiej, o możliwej utracie życia

i zniszczeniu miasta. Ostrzegał o konieczności zbudowania tuneli, podziemi, żeby się schować, czy też o innych zabezpieczeniach. Mieszkańcy miasta, żyjący do tej pory bezpiecznie, bez żadnych wojen i problemów, nie chcieli słuchać kasztelana i twierdzili, że to jego szalony wymysł. Nie docierało do nich, że są w wielkim niebezpieczeństwie, bo uważali, że tutaj nigdy nie było wojen i zniszczenia, to i teraz nie będzie, ale jakże się mylili. Kasztelan nie wiedział co zrobić, jak zmusić ludzi do budowy zabezpieczeń, aż pewnej nocy przyśnił mu się Franciszek Ksawery i podpowiedział plan uratowania grodu.

Przez swoje zaufane służby kasztelan rozpuścił wieści, że pod samym miastem ukryty jest wielki skarb po Rzymianach, którzy kiedyś go tutaj zakopali. Skarb był tak wielki, że nigdy na świecie nie widziano takich kosztowności.

Następnego dnia wieści o skarbie wywołały w mieście wielkie poruszenie. Wszyscy mieszkańcy, młodzi i starzy zaczęli kopać korytarze i jamy pod miastem. Kasztelan oniemiał, podpowiedź Franciszka Ksawerego i chytry podstęp się udał. Amok kopania był tak wielki, że gorączka złota na Alasce przy tym zapale to drobiazg. Ludzie nie jedli, nie spali, kopali całymi rodzinami tunele. Wszyscy kopali, nawet przez kilka tygodni, ale nic nie znaleźli.

Pod miastem wykopano wiele tuneli, które potem połączyły się i tak powstała cała ich sieć. Mieszkańcy byli niezadowoleni, bo skarbu nie było, co mądrzejsi domyślali się, że był to podstęp kasztelana. Co bardziej krewcy buntowali się, ale potem śmiali się, że byli tacy głupi. Kasztelan był zadowolony. Dzięki pazerności mieszkańców wybudowali dla siebie i swoich dzieci oraz dobytku schronienie. Minęło kilka lat, znowu kupcy uciekający ze Wschodu ostrzegli kasztelana, że wojska tatarskie są blisko, palą i grabią Chelm.

Wtedy wszyscy przypomnieli sobie o poszukiwaniach skarbu sprzed kilku lat. Były przecież podziemia, czyli dobre miejsce do ukrycia się. Przed Krupem wystawiono warty, żeby w porę ostrzec mieszkańców naszego miasta. Po kilku dniach, wieczorem młody ochotnik obserwujący zamek w Krupem dostrzegł olbrzymią armię tatarską. Miał silne, młode i szybkie nogi, popędził więc do miasta. Zdażył, ostrzegł kasztelana, a kasztelan wszystkich mieszkańców. Tatarzy zatrzymali się na noc w Krupem. Spalili zamek i ograbili go. Jak widzicie, do dziś zamek jest zniszczony. Wszy-

scy mieszkańcy naszego miasta, z dobytkiem zdążyli się schować do tych już słynnych, pachnących skarbem podziemi. Oj, jak się one teraz przydały! Młody chłopak, ale bardzo odważny podpowiedział kasztelanowi pewien szalony pomysł.

Następnego dnia rano cała armia Tatarów ruszyła na nasze miasto, krzycząc i strzelając. A tu niespodzianka - wódz Tatarów, Wielki Chan stanął na środku miasta jak wryty. Miasto puste, żywej duszy, nikogo. Nie, jest jeden, już go zobaczył, ale cały w strupach, we krwi. Tak, to on, ten chłopiec rozmawiający jeszcze wczoraj z kasztelanem. Pyta jeden z Tatarów znający nasz język, co ci jest i gdzie są ludzie? Chłopak pokazuje ręką na siebie, a potem na cmentarz, że wszyscy zmarli, tylko on został bo w mieście jest epidemia groźnych zakaźnych chorób „czarnej ospy i dżumy”.

To wystarczyło, cała armia tatarska uciekła w popłochu z Wielkim Chanem wystraszoną jak nigdy. Strupy były zrobione z mokrego chleba, a krew pochodziła z buraczków ćwikłowych i to była cała tajemnica choroby chłopca. Wieczorem, upewniwszy się, że wojska wycofały się, wszyscy wyszli z podziemnych korytarzy, byli uratowani. Dopiero teraz mieszkańcy docenili zapobiegliwość swojego kasztelana i nazwali go Mądrym. Zrozumieli, że od skarbów ważniejsze jest bezpieczeństwo i radość życia.

Myślicie, że to koniec tej opowieści? Prawie, ale jeszcze poczytajcie przez chwilę. Młody, odważny chłopiec, udający chorego na śmiertelną chorobę zakaźną, został po kilku latach pierwszym burmistrzem, a potem zastąpił kasztelana.

Zapyta ktoś - a co z podziemiami? Też się przydały, bo kasztelan powiedział ludowi, że skoro wykopaliscie podziemia, to teraz, w czasach pokoju musimy je wykorzystać. Kasztelan uśmiechnął się, bo miał od kupców otrzymane w darze nasiona chmielu. Założono plantacje chmielu na naszych żyznych ziemiach, produkowano piwo, które składowano właśnie w podziemnych. Potem spławiano je drogą wodną do Gdańska, a ludzie żyli dostatnio bezpiecznie, ale to jest opowieść na inną legendę.

Stąd wzięła się po wiekach tradycja naszych „Krasnostawskich Chmielaków”, a podziemia, może kiedyś przy pomocy archeologów odkopiemy i będą atrakcją turystyczną. Franciszek Ksawery okazał się dobrym doradcą, w wybudowanym kościele został patronem.

Tyle opowieści, a przypomnę, że to jedna z wielu opowiadanych przez moją babcię...

Karolina Gawęł

Szkoła Podstawowa nr 3 w Krasnymstawie

Legenda o powstaniu nazwy Białka

Dawno temu, za górami, za lasami, w pewnej osadzie mieszkali dwaj bliźniacy o imionach Biały i Kaj. Żyli sobie skromnie i spokojnie. To właśnie od ich imion powstała nazwa wsi Białka, w której obecnie mieszkam. Ale tego dowiecie się później, z dalszej części legendy.

Jak już wspomniałam była to rodzina uboga, ale szczęśliwa. Rodzice razem z bliźniakami mieszkali w drewnianej chatce na skraju lasu. Chłopcy mieli zaledwie po pięć lat, kiedy ich ojca przywaliło w lesie ogromne drzewo, wskutek czego zmarł. Od tej pory ich mama musiała ciężko pracować. Nie było jej w domu całymi dniami, chodziła do bogatych domostw i pomagała w codziennych obrządkach.

I tak mijały kolejne lata. Chłopcy rośli, bardzo kochali swą matkę, ponieważ tylko ją mieli. Jak tylko mogli, tak pomagali jej w codziennych obowiązkach. Kiedy mieli po dwanaście lat, pewnego dnia do wsi przybył zły czarodziej zwany Gromonem. Ale nikt o tym nie wiedział. Był on tak bardzo zły i silny, że szybko zapanował nad osadą. Wszyscy chowali się, ponieważ bardzo się go bali. Otóż ten czarodziej porwał ludzi, a najgorsze było to, że nikt nie wiedział, co się z nimi potem działo. Po jakimś czasie Gromon wywiózł i uwięził matkę bliźniaków. Chłopcy, gdy dowiedzieli się o tym, zabrali najpotrzebniejsze rzeczy i od razu wyruszyli, aby ją ratować. Uzbrojeni jedynie w miłość i cierpliwość, wiedząc, że ratują swą matkę, wędrowali w dzień i w nocy, bez zatrzymywania się. Dzięki pomocy przypadkowo napotykanym ludzi, doszli do zamczyska, w którym podobno mieszkał zły czarownik. Już z daleka rozlegały się rozpaczliwe krzyki więzionych ludzi, wśród których usłyszeli znajomy głos ich matki, która wołała na zmianę to Białego, to Kaja.

Bez zastanowienia weszli do tego straszego zamku. Już wcześniej obmyślili plan uratowania matki i uwięzienia czarodzieja. Biały przypomniał sobie, że dostał od chrzestnej matki magiczne, złote nici. Razem z Kajem szybko utkali dużą sieć, w którą mieli złapać czarownika. Biał-

ły miał iść pokazać się czarodziejowi i wywabić go z komnaty, natomiast Kaj miał czekać ukryty za drzwiami. Jak postanowili, tak też zrobili. Biały, wchodząc po schodach, zaczął wołać czarnoksiężnika. Ten, gdy usłyszał krzyki, wyskoczył na korytarz, aby zobaczyć, co się dzieje. Wtedy Kaj zarzucił czarodziejowi na głowę sieć utkaną z magicznych nici. Po uwięzieniu czarodzieja ruszyli na poszukiwanie matki. Szli za odgłosem jej krzyku, aż doszli do ciemnego lochu. Gdy otworzyli drzwi, ujrzeli matkę przykutą łańcuchami do ściany. Uwolnili ją i pozostałych uwięzionych ludzi. W najgłębszych zaś czeluściach przykuli łańcuchami samego czarnoksiężnika. W okrzykach cieszących się ludzi wracali szczęśliwi chłopcy razem z matką. I tak ludzie mieszkający w pobliżu zamczyska z radości ogłosili ich bohaterami. Ponieważ wcześniej z lochu było słychać okrzyki: „Biały” i „Kaj”, wieś swą nazwali Białkaj, po jakimś czasie zostało tylko słowo Białka.

Pewnie jesteście ciekawi, co stało się z czarodziejem Gromonem? Otóż długo słychać było jęki tego potwora, jak nazywali go ludzie. Pewnej nocy usłyszeli tylko potężny huk. Rano okazało się, że cały zamek się zawalił i zasypał lochy razem ze złym czarodziejem. W każdym bądź razie nikt nie miał ochoty tego dokładnie już sprawdzać. Aż do dziś można na polach i łąkach znaleźć wystające z ziemi białe kamienie. Być może są to jedyne ślady po tej historii...

Olga Kasjaniuk

Szkoła Podstawowa w Siennicy Różanej

Legenda o rybaku i jednorożcu

Dawno, dawno temu żył sobie pewien stary, biedny rybak, a na imię miał Mikołaj. Jego oczy były koloru granatowego, miał siwe wąsy i siwą czuprynę. Był bardzo chudy i wysoki. Nie miał rodziny ani przyjaciół, mimo to był bardzo wesołym człowiekiem. Jego ulubionym zajęciem było łowienie ryb. Mieszkał w starym drewnianym domu, krytym strzechą, który stał nad srebrzystym jeziorem, blisko starego lasu.

Pewnego dnia, gdy starzec łowił ryby, w sieć zaplątał się lśniący róg. Rybak był trochę smutny, bo nie miał co jeść, ale z drugiej strony wspaniale jest mieć srebrzysty róg - pomyślał. Wieczorem postanowił, że jutro sprawdzi czyj to jest róg, bo nigdy wcześniej takiego nie widział.

Następnego dnia rano, gdy łowił ryby, ujrzał w wodzie odbicie pięknego, śnieżnobiałego rumaka. Wziął róg i ruszył w pogoń za przepięknym koniem, lecz on uciekł. Starzec wrócił nad jezioro i złowił dwie ryby na kolację, gdy się najadł, zmęczony poszedł spać.

Następnego dnia złowił trzy ryby, kiedy je wędził, w pewnej chwili ujrzał śnieżnobiałego rumaka i znów ruszył w pogoń za nim. Kiedy rumak biegł, zaczęli kopytem o korzeń wystający z ziemi i przewrócił się. Gdy rybak przybiegł, usiadł obok konia i przymierzył róg. Koń nagle przemówił do starca ludzkim głosem:

- Proszę, nie rób mi krzywdy - powiedział. Starzec pochylił się nad koniem i pogłaskał go po jego bujnej grzywie.

- Nie bój się. Nic ci nie zrobię. Czy nic ci się nie stało?

- Trochę boli mnie noga, ale jakoś się pozbieram, a tak w ogóle, jak sam teraz widzisz, to jestem jednorożcem.

- Jesteś piękny, masz bujną grzywę i błyszczącą sierść. Proszę, oddaję ci twój róg.

- Zatrzymaj go za to, że nie zrobiłeś mi krzywdy. Gdy będziesz miał jakieś życzenie, wypowiedz je i potrzyj róg.

- Dobrze. - powiedział rybak. - Czy jeszcze cię kiedyś zobaczę?

- Może jeszcze się spotkamy. Do zobaczenia!

Rybakowi zrobiło się żal. Gdy wrócił, zobaczył że z chaty i części lasu została kupka popiołu. Ogarnął go smutek i przygnębienie. Jednak szybko przypomniał sobie o obietnicy jednorożca i postanowił wypróbować magiczny róg. Potarł go i wypowiedział życzenie. Jego życzenia spełniały się jedno po drugim. Bardzo szybko rybak stał się bogatym człowiekiem. Miał piękny park, a w nim śliczny dworek z widokiem na okazałe jezioro.

To dzięki niemu w siennickim herbie jest jednorożec i ten herb przetrwał aż do dziś. Teraz w Siennicy Różanej mieszkają zamożni ludzie, a niektórzy z nich nawet widują jednorożca...

Julia Matysiak

Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym



królu Krasnym

Opowiem wam, jak powstała nazwa miasta Krasnystaw.

Dawno, dawno, bardzo dawno temu, w pewnym zamku żył sobie bardzo bogaty i przystojny król Krasny. Miał wielki majątek, który odziedziczył po swym ojcu, oraz duży, piękny staw, w którym pływały karpie. Bardzo często król Krasny marzył o założeniu rodziny, jednak losy zrzędziły inaczej. Pragnął też, aby jego królestwo miało niespotykaną nazwę. Kiedy Krasny miał dwadzieścia lat, jego ojciec umarł i pozostawił testament, w którym powierzył mu swe królestwo.

Pewnego zwyczajnego i słonecznego dnia król wstał nieco zasmucony, gdyż miał dość bogactwa i wielkiej chwały. Ubrał się w swe czerwone szaty i jak najprędzej wyruszył na grób ojca. Rzekł: - Ojciec szkoda, że Cię przy mnie nie ma w tej trudnej chwili. Proszę Cię, daj mi znak, co mam zrobić, żeby stać się zwykłym, szczęśliwym człowiekiem.

Zmartwiony wrócił do domu. Krasny zjadł śniadanie. Po spożyciu posiłku postanowił skontaktować się ze swoją przyrodnią siostrą Anielką. Przez wiele, wiele lat nie dawała znaku życia. Była bardzo zła, że ojciec oddał swój cały majątek Krasnemu. Pomimo to, brat rozkazał swemu słudze odzyskać jej dom.

Gdy Krasny położył się do łóżka, na wszelki wypadek zaczął pisać testament. Zawarł w nim informacje, co po jego śmierci ma się stać z królestwem. Po kilku dniach sługa przybył szczęśliwie z wiadomością, że Aniela mieszka w wiosce niedaleko jego królestwa. Bardzo szybko wyruszył do wioski, gdyż chciał ustalić wraz z siostrą, jak królestwo będzie wyglądało po jego śmierci. Po kilkunastu minutach dotarł na miejsce. Zostawił konia obok drzewa i wszedł do domu Anielki. Krasny i Aniela, kiedy siebie ujrzeli, zapomnieli o wszystkim, co ich dzieliło. Od razu Krasny ujął siostrę w swe ramiona i przeprosił za wszystkie winy. Był szczęśliwy, że ktoś jednak z jego rodziny jeszcze żyje.

Po przywitaniu z siostrą, usiedli, pijąc herbatę. Krasny opowiedział Anieli o tym, że już niedługo nadejdzie dzień jego śmierci i co chciałby, żeby się stało, kiedy on umrze. Mniej więcej powiedział: - Chciałbym, aby mą wioskę nazwano Krasnystaw. Żeby ludzie zapamiętali jaki piękny był

staw naszego ojca i żeby nie zapomnieli o mnie. Aniela na początku myślała, że nie ma to przyszłości, ale potem zaczęła w to wierzyć.

Po trzech latach umarł Krasny... Siostra udała się do wiernych mieszkańców wioski i wspólnie nazwali ją „Krasnystaw”, tak jak życzył sobie Krasny. W herbie Krasnegostawu umieszczono dwa złote karpie odwrócone do siebie. Właśnie tak powstała nazwa miasta Krasnystaw. Do dzisiaj cieszymy się jego urokami, czyli pięknym kościołem, parkiem i kolorowymi kamieniczkami.

Agata Troć

Szkoła Podstawowa nr 5 w Krasnymstawie

Legenda o herbie Krasnegostawu

Dawno, dawno temu, kiedy obecny Krasnystaw nazywał się jeszcze Szczekarzew, wieśniacy wiodli ciężkie życie. Panowała bieda, głód i zaraza. Miejscowość była typowo rolnicza i nie stać było jej mieszkańców na utrzymanie wojska. Gród był biedny, ale posiadał piękny staw, w którym hodowano okazałe ryby. Tatarzy bardzo często najeżdżali to miejsce, grabili i zabijali okolicznych mieszkańców.

Podczas ostatniego napadu, ataman zażył sobie, aby na stół podano karpie z pobliskiego stawu. Kucharz, który miał przygotować ucztę dla wroga, poprosił mieszkańców, żeby jak najdłużej zajęli rozmową najeżdżcę. Zawołał swojego pomocnika i powiedział: - Franiu, jak dam ci ręką znak pociągniesz za sznury dzwonów kościelnych, tak żeby Tatarzy się zlekli.

Kuchcik posłusznie skinął głową, wiedząc, że jego zwierzchnik wymyślił jakiś podstęp. Mieszkańcy długo zabawiali rozmową wroga, a w tym czasie kucharz sprzątał dorodne ryby. Wybrał duże okazy z twardymi i okazałymi ośćmi. Najeżdźcy tymczasem bardzo zgłodnieli i kiedy na stole pojawiły się smakowicie przyrządzone karpie, rzucili się łapczywie na jedzenie. Kiedy tylko przystąpili do spożywania ryb, usłyszeli trwożne bicie dzwonów. Ataman, polykając kęs poderwał się ze strachu i wtedy zadławił się śmiertelnie ością. Wystraszeni Tatarzy pozbawieni wodza, pierzchli w nieznane.

Z tej radości, że pozbyto się wrogów, władze miasta postanowili umieścić w herbie grodu dwa złote karpie na niebieskim tle, a kucharz przeszedł do historii jako ten, który obronił miasto.

Paulina Bortacka

Szkoła Podstawowa nr 5 w Krasnymstawie

Legenda o podziemiach krasnostawskich

Dawno, dawno temu, gdy Krasnystaw był jeszcze Szczekarzewem, żył mały chłopiec o imieniu Jaś. Był on synem miejscowego kowala, słynącego w okolicy ze swojego mistrzostwa. Rodzinie chłopca żyło się dostatnio. Jasiek uczył się czytania i pisania w szkole parafialnej. Lubił się uczyć, czytał wiele ksiąg i, jak na swój wiek, był bardzo mądry i reżolutny. Przychodzili do niego po radę mieszkańcy Szczekarzewa, a on pomagał im w miarę swoich możliwości.

Chłopca ciekawiły różne rzeczy, najbardziej jednak lubił chodzić i zwiedzać tajemnicze zakątki miasta. Pewnego razu, w czasie jednej ze swoich wędrówek, odkrył wejście do podziemi. Zdziwił się bardzo, ponieważ wielokrotnie przechodził koło kościoła i nie zauważył bramy. Tego dnia coś zatrzymało go przy omszałym, starym murze, w którym odkrył wejście do lochów.

Ciekawość przemogła strach przed nieznanym i Jasiek, wzięwszy duży zapas łączywa, zszedł w nieznaną czeluść. Błądził ciemnymi korytarzami, które okazały się tajemniczym labiryntem. Napotykał na różne dziwne przedmioty, ale najstraszniejsze było spotkanie ze stadem nietoperzy. Długo wędrował i zaczynał tracić nadzieję na opuszczenie przekłętego miejsca. Na szczęście udało mu się z wydością na powierzchnię i ze zdziwieniem stwierdził, że znalazł się daleko za miastem w gęstym lesie.

Od tego czasu minęło kilkanaście lat. Jasiek stał się Janem. Pracował na zamku jako pisarz. Założył rodzinę. Ten spokój zakłócił najazd Tatarów. Strach padł na wszystkich mieszkańców grodu, którzy wpadli w panikę i nie wiedzieli co robić. Starosta władający miastem wydał rozkaz do obrony. Walka z nieznanym wrogiem trwała bardzo długo. obrońcy odnieśli kilka zwycięstw. Tatarzy, widząc, że oblężenie będzie długie, a ich zwycięstwo niepewne, postanowili w nocy podpalić miasto. Rozniecili pożar, który powoli trawił zabudowania. Mieszkańcy, zamiast walczyć z wrogiem, próbowali ugasić ogień i uratować swój dobytek.

Jan również dzielnie walczył w obronie miasta. Gdy ogień rozszerzył się, a wróg atakował coraz mocniej, stało się jasne, że obrona grodu jest niemożliwa. Dodatkowo poległ starosta dowodzą-

cy obroną. Przypomniął sobie Jan o lochach, po których kiedyś chodził, zebrał ocalałych i wprowadził ich do podziemi, którymi udało się mu wyprowadzić ludzi w bezpieczne miejsce. Miasto zostało zniszczone i splądrowane przez Tatarów, ale dzięki niemu wielu mieszkańców uratowało swoje życie. Gdy król dowiedział się o odwadze mężczyzny, nadał mu tytuł rycerski oraz darował dużo ziem. Odtąd Jan wraz z rodziną żyli długo i szczęśliwie, szanując wszystkich ludzi, którzy pracowali na jego włościach.

Po wielu, wielu latach, podczas przebudowy rynku miejskiego, archeolodzy odkryli w podziemiach starą księgę, w której całe to wydarzenie zostało szczegółowo opisane.

Joanna Berbec

Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym

Legenda o Kolonii Zastawie

Moja wieś powstała stosunkowo niedawno, jednak z jej genezą wiąże się ciekawa historia. Jak opowiadał mi pewnego długiego, zimowego wieczoru mój dziadek, wydarzenia dotyczące powstania naszej miejscowości miały następujący przebieg:

Ponad sto lat temu, około 1899 lub 1900 roku, gdy Kolonia Zastawie jeszcze nie istniała, niedaleko sąsiedniej wioski - Zastawia, pracowali w polu, jak zwykle w czasie żniw, chłopci. Choć ten okres wiązał się z dużym trudem i wysiłkiem nie tylko ludzi, ale także i zwierząt, nikt nie tracił humoru. Parę rodzin zbierało się na jednym polu, więc praca paliła się dosłownie w rękach, wśród śpiewów i ogólnego optymizmu.

Pewnego dnia, gdy żniwa były w pełni, nagle ktoś zauważył dym, unoszący się nad wioską. Wszyscy pobiegli w kierunku palących się zabudowań. Mężczyźni wyprzęgli konie z wozów i wierzchem pojechali, a kobiety dotarły na piechotę. Widok, jaki ukazał się przybyłym był okropny - dwie stodoły już prawie spalone, kolejne trzy paliły się w najlepsze. Z ogniem walczyli tylko pozostali w wiosce starcy i małe dzieci, gdyż w czasie żniw wszyscy zdolni do

pracy ruszali w pole. Kto żyw brał, co było pod ręką - wiadra, garnki i inne naczynia. Panował ogólny zamęt i panika, ale wszyscy starali się gasić ogień. Mimo starań, ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie.

Nagle Jagienka, córka jednego z chłopów, uklękła i złożyła ręce do modlitwy. Ludzie pomyśleli, że zwariowała od nadmiaru przeżyć, lecz na jej twarzy nie malował się nawet cień obłędu. Za chwilę słońce schowało się za chmury i zaczął padać deszcz, początkowo słabo, później coraz obficie, przeistaczając się w istną ulewę. Wszyscy, oprócz klęczącej Jagienki, schowali się pod dachy szop i chałup. Wydawało się, że dziewczyna nie zauważa strug deszczu, jakby była tu tylko ciałem, a jej duch błdził gdzieś daleko.

Ulewa ugasiła ogień, a wioska ocalała. Gdy deszcz się skończył, Jagienka jakby przebudzona ze snu powiedziała do zgromadzonych wokół niej ludzi: - Widziałam Najświętszą Panienkę, która powiedziała mi, że ten ogień to ostrzeżenie. Przestaliśmy być pobożni, chodzić co niedzielę do kościoła. Część ludzi z Zastawia musi przenieść swój dobytek na wschód, w kierunku wsi Łany, a od dziś wszyscy powinni zacząć bardziej czcić imię Najświętszej Maryi Panny. Jeśli warunki nie zostaną spełnione, kary się powtórzą i będzie kolejna epidemia tyfusu, plaga szarańczy na polach i wreszcie wielka wojna, na którą zabiorą większość chłopów ze wsi.

Śluchający ludzie zaczęli się śmiać, iż żywioł odebrał biednej dziewczynie rozum i ani myśleli postępować według tego, co powiedziała Jagienka. Wszyscy wrócili do swoich zajęć, a ci, których budynki się spaliły, odbudowywali je.

Minął miesiąc od pożaru i ludzie nagłe zaczęli chorować. Okazało się, że to tyfus. Wtedy zrozumieli, że widzenie dziewczyny było prawdziwe. Gorliwiej modlili się, w każdą niedzielę uczestniczyli we mszy i przestrzegali postów. Postanowili także, że będą ciągnęli losy, aby było sprawiedliwie, i ci, którym przypadnie w udziale przeprowadzka zrobią to jak najszybciej, a pozostali im pomogą. W ten sposób powstała nowa miejscowość - Kolonia Zastawie, a ludzie uniknęli kar, które miały dotknąć ich za nieposłuszeństwo i brak pobożności. Do dziś ludzie z obu miejscowości mają w pamięci Jagienkę, która wybłagała ocalenie dla wioski - zarówno dla ludzi jak i ich dobytku.

Klaudia Dziedzic

Szkoła Podstawowa w Krupem

Legenda o Krupem

Dawno, dawno temu król Jagiełło ofiarował swemu dzielnemu rycerzowi małą wioskę z dużą ilością ziemi nad rzeką Wieprz. Król nazwał tę wieś, tak jak nazywał się rycerz - Krupa. Sławny rycerz wybudował tam zamek i dużą fosę. Koło zamku zasadził dużo pięknych krzewów oraz drzew. Mimo wspaniałego zamku, rycerz Krupa czuł się bardzo smutny.

Pewnego razu wybrał się do wsi zobaczyć, jak żyją jego poddani. Spotkał tam piękną dziewczynę. Był tak bardzo oczarowany jej urodą, że się w niej zakochał. W ten sposób dobry rycerz Krupa ożenił się z piękną chłopką Marysią. Chcąc się pochwalić królowi swoją żoną, rycerz wybrał się do Krakowa. Gdy jechali, po drodze napadli ich zbójcy i ranili śmiertelnie Marysię. Zrozpaczony śmiercią ukochanej żony Krupa wrócił do domu i zamknął się w wieży. Żył tam aż do końca swoich dni. A jego poddani mówili, że widzieli, jak w nocy piękna biała dama chodzi po zamku i ogrodzie.

Rządzący później hrabia, za lojalność swoich mieszkańców wsi, dał im wolność i każdy z nich dostał kawałek ziemi. Tak ich podzielił: równo i sprawiedliwie. Od tamtej pory wieś rozbudowała się, słynie z ruin zamkowych i nazywa się Krupe.

Klaudia Kielech

Szkoła Podstawowa w Siennicy Różanej

Legenda o Piorunowej Górze

Dawno, dawno temu, na górze porośniętej przez bujny las, w wysokiej, niedostępnej wieży uwięziona była królewna. Wieża otoczona była cierniami. Wielu śmiałków próbowało uwolnić kruczwłosą królewnę, lecz swoje życie kończyli na wspinaczce. Mijały miesiące...

Aż przyjechał mężny rycerz ubrany w czarną, stalową zbroję z ametystowym pasem. Dzielny, kary rumak towarzyszył mu przez cały czas. I ten śmiałek spróbował. Rozpędził konia, który ruszył z galopu pod górę. Ciernie raniły i rozszarpały nadpęcia rumaka. Z każdym susem ogier był coraz bliżej celu. Przedzierał się przez chaszczę i zarośla. Pot spływał mu po końskiej szyi. Był już

bardzo blisko wieży, gdy nagle, w niewyjaśnionych okolicznościach - padł. Zrzucił tym samym jeźdźca z grzbietu. Śmiałek stoczył się gwałtownie z urwiska. Ślad po nim zaginął. Rozeszła się wieść, iż rycerz zginął.

Za jakiś czas, o tym wydarzeniu dowiedział się pewien żak zwany Daliborem, który żył w zgodzie z naturą. Powiedział on, że też spróbuje. Wziął pół kromki chleba, pomodlił się i ruszył. Gdy nagle... coś się dzieje? Korzenie, które wyrastały z ziemi ułożyły się dla niego w stopnie schodów, pomagając mu się wspinać. Ciernie rozstępowały się przed nim otworem. Chaszczę i zarośla odsuwały się na bok, robiąc mu miejsce, aby przeszedł. Jaszczurki i węże nie atakowały go, wręcz przeciwnie, kłaniały się przed nim. Nagle Dalibor stanął przed wieżą obrośniętą przez ciernie. Wtedy już nie pomagała mu natura, lecz własna myśl. Był już blisko celu i od księżniczki dzielił ich tylko zimny i gruby mur. Chwycił gałąź ciernia i powoli wspinał się na wieżę. Kolce cierni wbijały się mu w dłonie, które obficie krwawiły. Lecz coś się stało? Gdy na ziemię spadła jedna mała kropla jego krwi, stało się coś dziwnego... ziemia się rozstąpiła. Błękitne niegdyś niebo w kilka chwil zostało obłożone przez hebanowe chmury. Wszędzie panował mrok, który od czasu do czasu rozjaśniały bardzo jasne pioruny. Ten widok budził strach. Gdy Dalibor dotarł na szczyt wieży, skończyło się to piekło. Kruczwłosa księżniczka powróciła z nim do wsi zwanej Boruń.

I żyli odtąd długo i szczęśliwie. A góra, na której stała wieża była odtąd zwana Piorunową Górą.

Iga Rokita

Zespół nr 1 Gimnazjum i Szkoły Podstawowej w Siennicy Nadolnej

Jak Bóg obronił kościół

Borowica to mała wioska, w której życie toczy się spokojnie, a ludzie są dla siebie życzliwi. W wiosce tej stoi piękny, zabytkowy kościół. Przyjeżdżają tu ludzie z całej Polski, by oglądać kościółek, poznać jego historię i posłuchać opowieści miejscowych ludzi.

W czasie II wojny światowej wielu mężczyzn poszło bronić ojczyzny. Część jako żołnierze, a część jako partyzanci. Tak było też z ojcem Antką. Chłopiec był z tego dumny i chętnie sam

pobiegłby do lasu by z honorem walczyć o ojczyznę, a przede wszystkim bronić ludzi z wioski. Ale był jeszcze za mały. Miał być podporą dla matki, a był zmartwieniem. Ciągłe gdzieś znikał, uciekał, a mama martwiła się o niego i swojego męża. Szukała pocieszenia w kościele. Co wieczór chodziła tam z kobietami z wioski. Modliły się o szczęśliwy powrót do domu mężów, synów, ojców.

Pewnego dnia, bardzo wcześnie rano na wsi rozległy się huki. Hałasy obudziły kobiety, które z przerażeniem wyglądały przez okna. Matka Antka obudziła chłopca i łapiąc go za rękę, pociągnęła w stronę kościoła. Wystraszone panie rozbiegły się po okolicznych drogach, szukając schronienia przed wybuchami. Tę scenę oglądał jeszcze zaspany Antek. Dopiero po kilku minutach pojawił się powagę sytuacji. Zatrwożony, dobiegł do ołtarza i zaczął się modlić. Prosił Boga, by jego rodzina i zgromadzeni ludzie w kościele przeżyli. Nagle ziemia zawirowała pod stopami chłopca. Huki i wybuchy umilkły. Antek rozejrzał się dookoła. Nie, zdecydowanie nie znał tego miejsca.

- Nie lękaj się, Antku! - powiedział ktoś głosem, dodającym otuchy. Chłopiec chciał zapytać o wiele rzeczy, ale głos ugrzązł mu w gardle.

- Czy mnie nie znasz? - zapytał głos. - To ja, czuwałem nad tobą, gdy pływałeś w rzece. To ja, patrzyłem jak paliłeś ogniska. To ja byłem zawsze przy tobie...

Nagle Antek pojął, że rozmawia z Bogiem. - Czy możesz mi pomóc?

- Oczywiście - odpowiedział Stwórca - ale pod jednym warunkiem - masz być dobry dla rodziców.

Reszty Antek już nie usłyszał, ponieważ dobiegł go trzask łamanego drewna. Chłopiec rozejrzał się dookoła, wszyscy ludzie byli przerażeni. Zatykali uszy, chowali się pod ławkami, małe dzieci płakały. Nieoczekiwanie wszystko ucichło. Jedna z osób wskazywała na filar. Tkwił w nim duży, artystyczny pocisk. Jedni uciekali z krzykiem, drudzy stali osłupieni, nie mogąc ruszyć się z miejsca, a Antek stał, szepcząc: „Dziękuję, ufam Ci, Boże”.

Parę dni po tragedii, wrócił ojciec Antka, cały i zdrowy. Od tej chwili chłopiec spełniał wszystkie prośby Boga. Był miły nie tylko dla rodziców, ale dla wszystkich. Zaczął chodzić do kościoła, jego rodzice byli z niego bardzo dumni. Antek opiekował się kościołem, w którym Bóg ocalił jego i mieszkańców wioski, do końca swoich dni.

Stary kościół w Borowicy stoi tu do dziś. W jednej z kolumn nadal tkwi pocisk, który nigdy nie wybuchł. Ludzie przychodzą się modlić i nikt

nie obawia się o swoje życie, bo przecież Bóg ma go w swojej opiece. Każdy może wejść i podziwiać wnętrze świątyni. Posłuchać opowieści ludzi, którzy pamiętają dawne wydarzenia, poczytać o historii tego miejsca, lub wsłuchać się w tykanie zegara i rozmyślać...

Monika Słowik

Szkoła Podstawowa w Kraśniczynie

Legenda o dworze chełmieckim

Przed wielu laty w miejscowości Chełmiec był dwór. Mieszkał w nim hrabia. Zarządcą dworu był Grunwald, który mieszkał nieopodal. Ludność tej wsi musiała słuchać rozkazów hrabiego, oddawać mu swoje plony i pracować na rzecz swojego pana.

Wokoło dworu rosły potężne drzewa, których konary rozciągały się na taką szerokość, że prawie całkiem skrywały dworek. Zło, jakie hrabia wyrządził ludziom zostało zwrócone przeciwko hrabiemu i jego żonie. Nadeszła straszna burza, piorun strzelił w wieżyczkę dachu i po chwili cały dwór stanął w płomieniach. Hrabia zdążył wybiec z ognia, lecz niedługo zmarł. Natomiast hrabina spaliła się żywcem, a wraz z nią jej koty, których zawsze miała kilka. Podobno ich jęki i głosy słyszane są do dziś przez ludzi o głębokiej wierze.

Po latach, w tym miejscu powstała szkoła powszechna. Odbudowali ją ludzie z pozostałości po dworze. Ale to nie koniec tej historii.

Pewnego razu, a dokładnie 18 marca 1949 roku z nieokreślonych przyczyn, w wielką burzę i zawieruchę spłonęła szkoła. Po pewnym czasie spłonął cały Chełmiec. Ludzie tej miejscowości przeżywali niejedną klęskę żywiołową. Pożary potwarzały się bardzo często. Jeden straszny pożar był nawet w naszym gospodarstwie. Pożar zniszczył cały dorobek moich rodziców i dziadków. Legenda mówi, że to hrabia mści się na mieszkańcach za swoją tragiczną śmierć.

Teraz szkoła jest odbudowana. Nadal rosną tam stare drzewa. Jej widok nadal wzbudza strach i ciekawość. Po dworze pozostał jeszcze czwórniak, w którym mieszkają ludzie. A reszta to już tylko wspomnienia oraz masa kamieni, pozostałość po domach dworskich. Z tego wynika, iż „poszła z mora ze dwora”.

Kornelia Szymańska

Szkoła Podstawowa w Małochwieju Dużym

Bracia Chwieje.**Legenda o powstaniu Małochwieja Małego i Małochwieja Dużego**

Dawno, dawno temu żył sobie władca Chwiej. Sprawował on rządy nad dwiema wioskami. Między nimi płynęła rzeka. Król nie był młody, miał już swoje lata. Miał on dwóch synów - Jana i Bogdana. Nie wiedział, któremu ze swoich synów przekazać władzę, przypuszczał, że po jego śmierci może dojść do kłótni. Rozkazał więc wejść synom na najwyższą wieżę i z zawiązanymi oczyma wystrzelić z łuku strzały. Tam, gdzie upadną strzały, osiedlą się i założą rodziny. Jan, na którego mówili „Mały” był niskiego wzrostu, ale był bardzo mądry, trafił w południową wioskę. Bogdan, na którego wołali „Duży”, trafił w wioskę północną. Niedługo po tym odbyło się podwójne wesele. Jan poślubił najpiękniejszą dziewczynę ze swojej wioski, Annę. Natomiast Bogdan ożenił się z równie piękną Heleną, która mieszkała w jego wsi. Po paru dniach król Chwiej wezwał do siebie synów i powiedział:

- Teraz musicie spełnić trzy zadania. Ten, który wygra więcej konkurencji, będzie sprawował władzę na obu ziemiach.

Władca Chwiej w ten sposób chciał sprawdzić, czy Jan i Bogdan potrafią bez sporów poradzić sobie z zadaniami, nie chciał bowiem, by po jego śmierci doszło do bratobójczej walki o majątek. Synowie bez sprzeciwu zgodzili się na propozycję. Pierwsze zadanie polegało na rozsądzeniu trudnego sporu, tak aby nikt nie został niesprawiedliwie ukarany. Król chciał w ten sposób nauczyć Jana i Bogdana cierpliwości w podejmowaniu sprawiedliwych sądów. Z tym zadaniem poradził sobie lepiej Jan, mądrzejszy z braci.

Kolejna konkurencja polegała na upolowaniu największego zwierza z pobliskich lasów. To zadanie wygrał Bogdan, gdyż mógł pochwalić się upolowanym niedźwiedziem, zaś Jan upolował tylko kilka zajęcy.

Ostatnie zadanie polegało na zagospodarowaniu małej sumy pieniędzy, tak aby wystarczyły na niezbędne do życia rzeczy. Po paru dniach okazało się, że Janowi lepiej wyszły obliczenia i właściwie rozporządził otrzymaną kwotą.

To zadanie było rozstrzygające. Przewagę zdobył mądrzejszy brat. Miał prawo rządzić swoją

wioską, jak też wioską brata. Lecz gdy zobaczył smutną minę brata, Jan powiedział do ojca:

- Ojciec mój, nie będzie to sprawiedliwe, gdy ja dostanę wszystko, a Bogdan odejdzie z niczym, wszak powiedziałeś na początku, że tam, gdzie trafi strzała, ta wioska będzie do nas należała. Pamiętaj o danym słowie.

Chwiej uśmiechnął się radośnie do Jana i powiedział:

- Synu kochany mój, teraz mogę żyć dalej bez zmartwień. Obaj udowodniście, że nie będziecie walczyć po mojej śmierci ze sobą, ale wspólnie przeciwko wrogom. Będzie tak, jak zechcesz. Weź tę osadę, na którą upadła twoja strzała, a Bogdan swoją osadę.

Po tych słowach Jan i Bogdan skłonili się i odeszli. Na placu zaczęli rozmowę:

- Dziękuję ci, kochany bracie, za twój gest. Czy zastanowiłeś się jak nazwiemy osady?

- Myślę bracie, że na chwałę ojca nazwiemy je „Chwiej Mały” i „Chwiej Duży”.

- Zgadza się, ale za to, że ty wygrałeś pojedynek, nazwijmy je „Małochwiej Mały” i „Małochwiej Duży”. W ten sposób ludzie będą pamiętać o twoim wielkim sercu i mądrości - przyznał Bogdan.

Bracia doszli do porozumienia. Długo rządzili w swoich wioskach. A osady istnieją do dziś.

Aleksandra Harasim

Szkoła Podstawowa nr 1 w Krasnymstawie

Historia pięknej nieznajomej

Działo się to dawno, może kilka wieków temu, a może nie. Określić trudno. W czasach, kiedy ziemie były płodne, bory obszerne i jadła własach był dostatek. Zwierzyny było pełno, grzybów i jagód bez liku. Lato tego roku było upalne i suche.

Pewnego razu młody szlachcic o imieniu Staw przemierzał rozległe tereny ojczyzny w asyście swoich wiernych przyjaciół. A był to młodzieniec nieprzeciętnej urody i postawy znakomitej. Miał kruczoczarne włosy i modre oczy, ale nade wszystko dobre i czułe serce. Promieniowała od niego dobroć. Wędrując, nadziwić się nie mógł urokliwej przyrodzie, która go otaczała. Słuchał ptaków i obserwował zwierzęta. Zachwycał się naturą, podziwiał i starał się ją zrozumieć. Kochał ją, jak mało kto. Bawił się przy tym wybornie.

Po kilku dniach wyprawy postanowił kolejny raz zatrzymać się na odpoczynek. Ale pragnął, aby było to miejsce szczególne i niesamowite. Przemierzając drogi, jary i wąwozy, dotarł do rozległej równiny. Dzień chylił się ku końcowi i wędrowiec był już zmęczony. A tego wieczoru zachód słońca był nieprawdopodobnie piękny. Niebo łagodne i czyste. Nic nie zapowiadało nieszczęścia. Staw w pewnej chwili zauważył w zaroślach zamek. Udał się do niego i zakochał do bram. Ale nikt nie otwierał. Zapukał ponownie - i dalej nic. Zdecydował więc, strudzony, nieopodal rozbić obóz. Wraz z przyjaciółmi spędził tam noc.

O poranku, gdy towarzysze podróży obudzili się, spostrzegli, że niedaleko obozowiska błyszczy w słońcu lustro wody. Zaciekawieni udali się nad jeziorko. Docierając tam, ujrzeli piękno tego miejsca. Rzekli do siebie, że muszą opowiedzieć o tym Stawowi. Wrócili do kompana i opowiedzieli, co zobaczyli. Po chwili ponownie dotarli wspólnie do źródła. Wówczas ukazała się im prosta dziewczyna o długich blond włosach, cudnej buzi i miłym usposobieniu. Nieznajomi zapytali ją, dokąd dotarli. Dziewczyna, początkowo nieufna przybyłom, nie chciała z nimi rozmawiać. Po chwili jednak opowiedziała im pewną historię.

Jakiś czas temu okoliczne wsie i zamek spotkało wielkie nieszczęście. Zapanowała straszna choroba, która spustoszyła chaty i zagrody. Niewielu udało się wówczas przeżyć. A wcześniej ludziom wiodło się tu nie najgorzej. Wtedy panicz z zamku i jego rodzina postanowili opuścić swój gród, aby ratować najbliższych. Spakowali swoje dobra i wyjechali. Do dziś nikt nie wie dokąd. Zamek jest pusty. Nie mamy żadnych wieści, co się z nimi dzieje. Ludzi mieszka tutaj mało, zagrody są biedne i wielu brakuje chleba. Staw z zaciekawieniem wysłuchał szczerzej opowieści dziewczyny. Ona, w podziękę za zrozumienie zaprosiła panicza i jego towarzyszy do swojej skromnej chaty. Ugościła ich tym, co miała. Podzieliła się wszystkim, czym mogła, nie zważając czy jutro będzie miała co do garnka włożyć. Staw zdążył zauważyć zaradność młodej kobiety i jej dobroć. Podziękował pięknie za gościnę i obiecał sprowadzić pomoc dla jej wioski. Odjechał z nadzieją, że tu wróci. W drodze powrotnej długo myślał o tym wydarzeniu. Myśl o dziewczynie nie dawała mu spokoju. Nikt dotychczas nie wywarł na nim takiego wrażenia. Skromna postać, ale duchem wielka. Młodzieniec postanowił przyjść jej z pomocą jak najszybciej.

Staw przedstawił to wydarzenie swojemu zamożnemu ojcu. Uprosił u niego ofiarowanie pomocy napotkanej dziewczynie i ludowi z jej wsi. Niebawem ponownie przybył w przypadkowo spotkane miejsce ze wsparciem i zapasami żywności.

Gdy młodzi znowu się spotkali zrodziło się między nimi uczucie. Któregoś dnia nad tym samym jeziorkiem przy zachodzie słońca Staw wyznał miłość swojej wybrance. Z wielkiej wdzięczności i za odmianę złego losu dziewczyna wraz ze szlachcicem nadała osadzie nazwę Krasnystaw. Wkrótce młodzieniec poślubił swą piękną kobietę i zamieszkał z nią w opuszczonym zamku. Od tego czasu okolicznej ludności wiodło się dobrze. Przyroda tętniła życiem, a ziemia odwdzięczała się urodzajem.

Minęło kolejnych kilka lat i przejeżdżał tędy król. Odwiedził zamek, w którym został serdecznie przyjęty i ugoszczony. Na stół zostały podane między innymi dwie wspaniałe przyrządzone ryby. Królowi bardzo przypadły do gustu. Kiedy dowiedział się o wcześniejszych wydarzeniach, w nagrodę za uratowanie osady, młodym władcom nadał prawa miejskie oraz herb, na którym widniały dwie ryby. Krasnystaw został miastem.

Wkrótce małżonkowie doczekali się dwóch synów. Darzeni szacunkiem przez ich poddanych żyli długo i szczęśliwie.

Weronika Wójcik

Szkoła Podstawowa w Siennicy Różanej

Legenda o Różyczce i jednorożcu

Dawno, dawno temu, w pewnym pięknym dworku mieszkała dziewczyna o imieniu Różyczka. Różyczka była pięknej urody. Miała piwne oczy, usta jak maki, a jej włosy były długie, brązowe, opadające na piersi. Naokoło jej dworku było pełno róż: złotych, czerwonych, fioletowych. Różyczka kochała swoje kwiaty, pielęgnowała je i rozmawiała z nimi.

Pewnego pięknego poranka, Różyczka wyszła, aby przywitać się z różami. Niestety, kwiaty miały ostre kolce, co spowodowało, że dziewczyna ukuła się i zasnęła na 100 lat. W tym czasie wszystkie róże zwiędły.

Niedaleko, w małej drewnianej chatce, mieszkał wieśniak Mariusz. Gdy usłyszał o tym, co

się stało, postanowił uratować dziewczynę. Gdy szedł, zobaczył coś dziwnego. Był to róg, należący do jednorożca. Mariusz wziął go i poszedł dalej, aż doszedł do dworku, lecz droga zarosła, tak że nie można było się tam dostać. Starał się jak mógł, ale w żaden sposób nie mógł się przedrzeć. Nagle zobaczył wiewiórkę, która wskazywała mu drogę, więc poszedł za nią. Gdy doszedł do wskazanego miejsca, zaniemówił, gdyż ujrzał tam jednorożca, który pił wodę ze strumienia, a co dziwniejsze, rumak przemówił:

- Proszę, oddaj mi mój róg.

Wieśniak powiedział:

- Dobrze, i tak nie jest mi potrzebny, proszę.

- Och, dziękuję ci bardzo. Jeżeli mogę spytać, co tu robisz, szukasz czegoś?

- Owszem, szukam wejścia do tego dworku. Chcę uratować dziewczynę, która przed laty ukłuła się różą.

- Ach, wielu śmiałków próbowało tam wejść, lecz żadnemu się to nie udało. A najgorsze jest to, że gdy przetnie się te krzaki, one odrastają.

- A czy jest jakiś sposób?

- Ponieważ oddałeś mi mój róg, którego tak długo szukałem, pomogę ci. Mieszka tu pewna zielarka, ona na pewno wie, co zrobić, lecz jest to 5 mil stąd.

- Przepraszam że pytam, czy mógłbyś mnie tam zabrać?

- Bardzo chętnie, proszę, wsiadaj.

I tak wieśniak popędził na jednorożcu, aż dojechali do zielarki. Gdy ta usłyszała o co chodzi, powiedziała:

- Mam tu eliksir, który pomoże wam pokonać krzewy. Proszę.

- Dziękujemy - odpowiedzieli razem jednorożec i Mariusz.

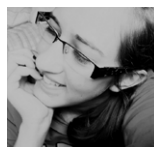
Wrócili i pokropili końce krzewów, a wtedy wszystkie zwiędły. Poszli więc drogą i zobaczyli dziewczynę, której szukali. Mariusz zaniemówił, gdy ujrzał piękną Różyczkę.

Potem Mariusz i Różyczka pobrali się, co spowodowało, że róże znowu zaczęły kwitnąć. Wkrótce urodził im się chłopiec, którego nazwali Mikołaj. Gdy chłopiec dorósł, ustanowił herb Sienicy Różanej: biały jednorożec na błękitnym tle.

Ten herb istnieje do dziś, a dworek, naokoło którego rośnie park, jest teraz zabytkiem.

Marta Karauda

Czekolada



- Grace? - zapytał. Dziewczyna odwróciła się i łagodnie uśmiechnęła.

- Profesor Barnes... Dzień dobry.

- Nie jestem profesorem, wiesz o tym - powiedział, siadając obok.

Mężczyzna postawił na ziemi torbę i zerknął na dziewczynę. Była jego studentką i przez niecały rok nauki zdołał zauważyć, że tej osobie zależało na pogłębianiu swojej wiedzy. Była pełnym przeciwnieństwem jego, gdy piętnaście lat temu sam starał się odnaleźć swoje miejsce na jednej z uczelni. Skutkiem tego była nauka na trzech różnych uniwersytetach. I na każdym z nich wykazywał się przeciętną wiedzą.

- Lubisz to miejsce? - zagadnął, zerkając na trzymane przez Grace pudełko z czekoladkami.

- Tylko stąd mogę oglądać zachody słońca.

- Robisz to... chyba codziennie. A przynajmniej od jakiegoś czasu.

- Ma pan rację. W końcu każdy z nas ma jakieś swoje małe dziwactwa. Chce pan? - wskazała na słodczyce i przysunęła je pod nos swojemu rozmówcy.

- Czemu nie? Jak dają, trzeba brać - uśmiechnął się i włożył do ust czekoladkę, spoglądając na zabarwione na czerwono słońce.

William odłożył na bok swoje pióro i rozmasował nadgarstki. Chwilę potem podpisał się pod kolejną pracę swojego studenta i wstał z krzesła. Miał już dosyć papierkowej roboty. Wyjrzał przez okno, przecierając twarz. Znów zobaczył siedzącą na ławce Grace. Zerknął na zegarek. Dochodziła szósta. To była jej godzina. Zawsze pojawiała się o tej porze i zawsze miała ze sobą coś słodkiego.

Szybko chwycił za płaszcz i wyszedł na zewnątrz. Powietrze było chłodne i rześkie. Tego potrzebował. Niedługo potem dosiadł się do dziewczyny, witając ją szczerym uśmiechem. Ta od razu zaproponowała mu kostkę mlecznej czekolady.

- Nie znudziły cię jeszcze te zachody słońca?

- Kiedy tak będzie, powiem panu - odpowiedziała, naciągając rękawy bluzy na dłonie. - To tak

jakby znudziło się panu codzienne oddychanie powietrzem.

- Nie patrzyłem na to w ten sposób - przyznał.

- A wierzy pan w Boga? - spytała nagle, patrząc na swojego rozmówcę błyszczącymi oczyma. Mężczyzna zmarszczył brwi. Odpowiedź wydawała mu się banalna.

- Jestem katolikiem. I owszem, wierzę w Boga. Ale gdyby moi rodzice byli na przykład... buddystami, ja również byłbym buddystą. To, w co wierzymy, to po części kwestia przypadku. W każdej chwili mogę stać się przecież ateistą.

- Nawet ateista w coś wierzy - podchwyciła, unosząc jedną brew do góry. - Może to być cokolwiek: teorie spiskowe, latające spodki kosmitów... A czy to nie paradoks, że gdy mocno w coś wierzymy, to nagle obraca się przeciwko nam?

- Zależy, w co wierzysz i jak mocno.

Grace spojrzała na mężczyznę i zacisnęła usta. Wyglądała na zdezorientowaną. Przebiegła wzrokiem wzdłuż linii drzew ciągnących się przed nimi, po czym schowała zmarznięte ręce do kieszeni.

- Chyba najlepiej nie wierzyć w nic. Szkoda jednak, że gdy tak bardzo zaufało się Bogu, to Ten nagle staje się niedostępny.

Grace nie należała do typu dziewczyn, dla których liczyło się posiadanie chłopaka z dobrym autem. Wydawała się poszukiwać innego szczęścia. Szczęścia intelektualnego. Starła się odszukiwać odpowiedzi na dręczące ją pytania i nie bała się dogłębnie poznawać tematu. Była typem eksploratora, który poświęci wiele, by poznać człowieka i jego wnętrze, jego siłę drżącą w środku i targającą nim emocje. Mijając ją na ulicy, nikt nie zwróciłby na nią uwagi. Ot, zwykła dziewczyna zjadająca się czekoladą.

William zagłębiał się w to razem z nią. Chciał przeżywać to, czego nie zdołali dostąpić inni. Były to niemalże intymne doznania. Pełne rozważań, ekscytujące i pasjonujące.

Jednego wieczoru zaczął rozmyślać nad tym, dlaczego tak bardzo zależało mu na ich spotkaniach mających posmak mlecznej czekolady. Doszedł do wniosku, że była to jego jedyna odskocznia od szarej rzeczywistości, w której ludzie

byli ograniczeni przez środki masowego przekazu. Byli bezrozumnymi istotami, a tylko nieliczni zdawali się dostrzegać coś więcej, chociaż nie chcieli o tym rozmawiać. Kamienny mur świata zbyt mocno ich przytłaczał.

To właśnie starła się mu pokazać Grace. Inną teraźniejszość z innej perspektywy.

- Zastanawiał się pan kiedyś nad tym, że mógłby pan być kimś innym, żyć zupełnie gdzie indziej? Myślał pan o tym? - zapytała Grace, otwierając opakowanie czekolady.

- Takie gdybanie nigdy nikomu nie wychodzi na dobre. Wielu jest ludzi, którzy chcieliby zmienić swoje życie. Trzeba się cieszyć z tego, co się ma. Wolę nie myśleć o tym, kim mógłbym być, gdybym poszedł inną drogą. Chyba nie chciałabyś mieć mnie na sumieniu?

- A więc... jest panu źle? - ciągnęła dalej, wkładając do ust kostkę czekolady. Spojrzała wychekując na Williama, który jedynie się uśmiechnął.

- Zawsze mogłoby być lepiej.

- Wszyscy tak mówimy, bo nie doceniamy tego, co posiadamy. Ale jeśli pan chce, mogę spróbować by na chwilę poczuł się pan lepiej.

- Co miałbym zrobić? - spytał zaintrygowany słowami Grace.

- Proszę otworzyć usta.

William od razu wykonał polecenie, spoglądając na dziewczynę. Ta, patrząc mu w oczy, wsunęła między jego wargi czekoladę i nakazała rozkoszować się jej słodkością.

- Czekolada poprawia nastrój. Niby nic, a potrafi sprawić człowiekowi dużą przyjemność - rzekła, nasuwając na głowę kaptur.

- Nie zaprzeczam.

Mimowolnie wyrzwał przez okno. Znów tam siedziała, skulona na ławce. Szukała czegoś w plecaku. Po chwili wyciągnęła z niego rękawiczki, które nałożyła na dłonie.

- Wiem, że to pan, profesorze Barnes - powiedziała Grace nim William doszedł do ławki. Mężczyzna pokręcił głową i usiadł obok.

- Masz bardzo dobry słuch.

- Nie powiedziałabym - odparła, zjadając czekoladę. - Myślał pan kiedyś nad miłością? Czy jest ona człowiekowi potrzebna?

- Nie wiem, ale... sędzę, że tak. Coś w tym musi być skoro każdy wokalista pisze o niej piosenki.

- To straszny przeżytek. Podobno najlepiej widzi się sercem. Ciekawe, gdyby każdy z nas miał związane oczy, to czy zdołałby się w kimś zakochać? Czy możliwe by było pokochać drugą osobę i ani razu jej nie zobaczyć?

- Doświadczenie byłoby trudne do wykonania - przyznał William.

- Ma pan rację... Chociaż byłoby ciekawe. Podobno wielu nie patrzy na wygląd. W takim wypadku ludzie niewidomi mają łatwiej. Mogą kochać bez przeszkód. Chce pan? - zapytała, częstując mężczyznę czekoladą. William wziął jedną kostkę, dziękując Grace. - Chyba już pójdę - oznajmiła zaraz po tym.

- Słońce jeszcze nie zaszło.

- Dla mnie tak - powiedziała i zbliżyła się do mężczyzny. Spojrzała mu w oczy i delikatnie pocałowała w usta. Była to krótka chwila przypominająca muśnięcie skrzydeł motyla. Ulotna, ale pamiętna. - Smakuję czekoladą, prawda?

- Tak, to prawda - przyznał, zaskoczony.

- Niech pan weźmie, profesorze - mówiła, wręczając mu słodycze. - Tylko proszę nie zjeść wszystkiego za jednym razem. To niezdrowe.

Odwrociła się i po chwili zniknęła za rogiem. William jeszcze nie wiedział, że było to ich ostatnie spotkanie.

Po powrocie do swojego gabinetu, przysiadł za biurkiem i położył na blat czekoladę, którą otrzymał od Grace. Kąciki jego ust powędrowały w górę i otworzył opakowanie. Odlamał jedną kostkę i położył ją sobie na języku. Od razu wyczuł słodki smak tak niepodobny do żadnego innego. Przymknął oczy, zaciskając wargi. Twarda masa zaczęła rozpuszczać się na jego języku, powodując jeszcze więcej radości z tak trywialnej czynności. William starał się nie przyspieszać tego procesu przyjemności.

Dopiero wtedy zrozumiał, jak wiele szczęścia mogło przynieść coś zupełnie małego. To właśnie codziennie przekazywała mu Grace. Była osobą, którą cieszyły małe rzeczy. Szczególnie te słodkie.

Czekał na nią już godzinę. Nie pojawiła się. Czekał również następnego dnia. I tym razem nie ujrzał na ławce tak dobrze znanej mu sylwetki.

Miedzy wykładami zaczął koleżankę Grace z grupy. Gdy mówiła o jej śmierci, ziało od niej chłodem i obojętnością.

- Grace miała raka. Leczenie nie pomagało. Jutro jest pogrzeb.

William przysiadł na ławce, spoglądając w niebo. Brakowało mu jej głosu, uśmiechu i oczu pełnych ciekawości świata. Poruszała trudne tematy, nie bała się pytać. Mówiła, gdy inni zdecydowali się milczeć.

Wyciągnął z kieszeni owiniętą w sreberko czekoladę. Odlamał jedną kostkę i włożył do ust. Oczami wyobraźni widział siedzącą obok ciemnowłosą dziewczynę. Do jego uszu dochodziło pytanie o sens ludzkiego życia. To go zabolalo. Nie sądził, że kiedykolwiek znajdzie się ktoś, z kim zwiąże się tak bardzo.

Patrzył na zachodzące słońce, mrużąc oczy. Od tej chwili czekolada nabrała dla niego nowego smaku, przypominającego słodycz i gorycz jednocześnie. Smaku pełnego zwykłej, ludzkiej ciekawości. Smaku przypominającego Grace.

Marta Karauda

Urodziłam się 9 marca 1994 roku w Krasnymstawie. Obecnie mieszkam na Osiedlu Cukrownia w Siennicy Nadolnej i uczęszczam do drugiej klasy II LO im. Cypriana K. Norwida w Krasnymstawie. Dwukrotnie (2008, 2009) zajęłam pierwsze miejsce w powiatowym konkursie literackim „Mój Anioł”. W bieżącym roku zajęłam pierwsze miejsce w II Edycji Ogólnopolskiego Konkursu „Zmysły”. Pisanie jest dla mnie odskocznią od rzeczywistości i przejściem we własne światy. Tworzenie powinno być przyjemnością. Pisać należy dla siebie, a czytelnik znajdzie się zawsze. Swoją miłość do książek zawdzięczam mamie, która zawsze czytała mi do snu. Później odkryłam u siebie zamiłowanie do tworzenia własnych powieści. Uwielbiam książki Stephena Kinga i Markusa Zusaka. Ich proza jest dla mnie bezcenna i stanowi jedno ze źródeł inspiracji. Na co dzień interesuję się również muzyką, głównie ciężkimi brzmieniami (hard rock, klasyczny rock, metal), filmem oraz fotografią.

Lucyna Lipińska

Chwila

dziwna twoja maniera

trwasz tylko
do teraz
jesteś włóczęgą co duszę
otwiera
jak cię wykraść
spod ręki Startera

posłuchaj więc chwili
może raz chociaż
postąpisz rozważnie

zatrzymasz klepsydry
będziesz oblaskawiona
powiesz
jak razem miło

pokażę ci moje czasy

jaśniej świeciłaś
za młodu
jak tlen i wodór
nie mijałaś

chciałabym być trwała

a może - gdy nie chcesz
trwać wiecznie -
zamknij mnie w sobie
koniecznie

Powrót do domu

wracam tutaj
witraży czasu w pyle szukać

już kartek nie zrywam
bo mi lepsze koraliki
na struny nawlekane
niżli próżność

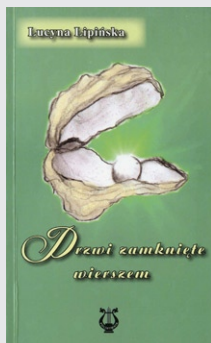
cienie milkną
w korowodzie
barwnych kontuszy

lustra pytam
czy ptaki wróciły
a sąsiad kołodziej
koła drewniane toczy

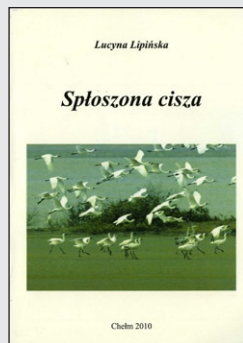
przydrożnik Nepomucen
o prawdzie zapewnia
przy kaganku ubogim
jak w wieczniku
i o świecznik prosi
nad Księgą

ku wspomnieniom

Tomik za tomikiem. Dwie książki wydane jednego roku. Tego mogła dokonać jedynie osoba, która w wieku szesnastu lat przystępowała do egzaminu dojrzałości. Dzisiaj emerytowana nauczycielka, swoje pasje realizuje w Stowarzyszeniu Przyjaciół Pawłowa, pracując w zespole redakcyjnym regionalnej gazety „Głos Pawłowa”. Wiersze z obu tomików to spektrum życiowych obserwacji i doświadczeń. Wypowiedzi, jak to we wszystkich pierwszych książkach, nieznacznie górują nad formą, chociaż należy docenić intensywną pracę nad słowem. Miejscami teksty są jednak wygładzone do granic poprawności i paradoksalnie, aż się prosi o jakąś zadrę dla czytelnika, o przyspieszenie tętna. Nie ulega jednak wątpliwości, że takiego debiutu można pogratulować.



Lucyna Lipińska, *Drzwi zamknięte wierszem*, wyd. POLIHYMNIA, Lublin 2010, ss. 116.



Lucyna Lipińska, *Spłoszona cisza*, wyd. GRAFIC, Chełm 2010, ss. 92.

Anna Czarniecka

Matki różańcowe

beziemienne święte, kury domowe
pelargonie z przyklejonym do szyby nosem
wyczekujące powrotu mężów i dzieci

w spracowanych dłoniach dziergają
koronki miłosierdzia

układają bukiety ziół dla Zielnej
i zanoszą jej girlandy kwiatów
przetkane łzami wszystkich matek

ofiarowują swoje zreumatyzowane kolana
za tych, którym bliżej do baru
za daleko do kościoła

Anna Czarniecka jest autorką kilku tomików poetyckich. Mieszka w Krasnymstawie i tworzy z dala od innych twórców. Jest skromna, spokojna i znana z wielkiego serca. Ma wielu przyjaciół. Ostatnio wydała, tym razem własnym nakładem, niewielki zbiorek zatytułowany „Czas to miłość”. I wcale nie jest to zestaw erotyków, jak można byłoby mylnie odczytać z tytułu. Jej wiersze oscylują wokół tematyki sakralnej i życzliwości do bliźniego. Nie ma w nich żalu, czy rozpacz. Są za to obrazy zanotowane przez dobrego obserwatora, pełne promieni i zrozumienia życia. Wiersze niekiedy



Anna Czarniecka, *Czas to miłość*, Wyd. Polianna, Krasnystaw 2011, ss. 25.

przyjmują charakterystyczny dla tego gatunku ton moralizujący. Są pełne troski i interesujących spostrzeżeń. W miarę jak autorka opanowuje tajniki sprawności warsztatowej z roku na rok stają się coraz ciekawsze.

(adm)

Lidia Kosk



W sercu zamieszka

Toczy się toczy
Zielona kulka
Rzucona dziecku
Jak los pod nogi
Zagra zielenią
Popieści palce
Przemknie dotykiem
Po pragnieniu rąk

Toczy się toczy
Po wstęgach wije
Zapada w ciemność
Powraca w zorzy
Błyśnie w warkoczach
Młodej dziewczyny
Spłynie ze łzami
Dojrzałych już strat

Toczy się toczy
Rozbłyśnie szczęściem
Zgaśnie żalobą
Głębią powróci
W sercu zamieszka
Wolna jak serce
Nie da mu zwątpić
Zielona kulka

Toczy się toczy

Warszawa, marzec 1996

I widzę tamte ulice

o wiele młodsze
o wiele smutniejsze
i tak mi bliskie

Idę
główną ulicą mojego miasta
ciasną od ludzi i domów
przylegających do płyt chodników
Wstępuję do przygarniających
przechodnia kościołów
Kapucynów, Świętego Józefa
Świętego Ducha, Wizytek

pełnych biało-granatowych mundurków
 Klęczę na kamiennych schodkach
 przed głównym ołtarzem prosząc
 łaski wolności, chleba, nauki
 i szczęścia dla najbliższych
 Przez otwarte drzwi kościoła słyszę
 uderzenia o chodnik hitlerowskich
 wojskowych butów
 twarde jak spojrzenia ich panów

Zatrzymuję się na placu
 nawlekającym na kółko wielkiego klucza
 Krakowskiego Przedmieścia
 Królewską, Kozią
 Świętoduską i Nową-Lubartowską
 przed przekazaniem ich łukowi
 Bramy Krakowskiej by strzegła

W bezbronną pamięć uderza ostry krzyk -
 Wpadam w łapankę
 Na płytach chodnika
 buty, buty, wojskowe buty
 obezwładniające krzyki, razy, szarpanie
 upychanie w wielkim samochodzie
 przerażone przypadkowe późniejsze ofiary
 niewolniczej pracy i obozów zagłady
 Z jadącego już samochodu
 na Krakowskim Przedmieściu
 skacze w ludzi dziewczynka

Świst kuli uśmierca tamten czas -
 Pamięć przesuwają na taśmie lat-zdarzeń
 Zachodzą na siebie sceny z ulicy Chopina:
 cisza nasącza się bólem młodego człowieka
 wdeptywanego w chodnik
 buty, buty, wojskowe buty
 co naszą drugą zdeptały granicę
 Po skamieniałej trawie matce
 spada krzyk śmiertelny innej ofiary
 wyskakującej z okna kaźni
 Wyzwolonego śmiercią ciała
 nie uczy dźwięk marsza żałobnego
 Słyszę pamięć ulicy
 Stoję przed Krakowską Bramą bezpieczna
 lecz uderzenia wybijanej godziny
 pulsują tamtą wojenną trawą
 raniącą pamięć o moim mieście

Lublin, czerwiec 2009

Nim człowiek człowiekiem zamordował

Rozlała się czerwień
 nasączyła bandażę obłoków
 i błędąc odsłoniła
 wielką tarczę Słońca
 Chwyta blaskiem mój powietrzny statek

Lecz nagle przygasa
 kryje się za opadającą ścianę
 chmur zagarniając granat
 ostatnim promieniem
 Zapada cichy moment ciemności

Przekroczyliśmy próg
 nasączył się złotem drgający świt
 i rzednąc odsłonił
 wielką tarczę Słońca
 Wypełniła okna samolotu

Sen który nie zdążył
 ześlizgnął się po kulistej ziemi
 między czerwień i złoto
 zachodu i wschodu
 Narodził się nowy zwyczajny dzień

nim człowiek człowiekiem zamordował
 samoloty i domy
 pełne ludzi

Warszawa, wrzesień 2001



rys. Benek Homziuk

Jan Henryk Cichosz

Zapach czasu



Już sama okładka, która swoją szatą graficzną nawiązuje do twórczości Joana Miró, przyciąga i zachęca do sięgnięcia po ten tom poezji. Nie jest tajemnicą, że Marta Fox, w całym tego słowa znaczeniu, jest zauroczona twórczością i życiem hiszpańskiego malarza. Stąd te niebagatelne rozmowy, w których są przepiękne wędrówki, nawet te poza realne granice. Osobiście należę do grona tych czytelników, którym obca jest metoda, jaką stosują wobec dzieła poety zawodowi recenzenci, chcący za wszelką cenę udowodnić swoje racje. Jednakże nietrudno z nimi się nie zgodzić, gdy o wierszach Marty Fox, zawartych w tym tomie, piszą cennie i odważnie. Oto kilka cytatów zawodowych recenzentów: *Marta Fox pisze o tym, co w życiu dziwne, nieokreślone, niemożliwe...* (Janusz Styczeń). *Marta Fox sięga odważnie poza świat realny, przekracza granice nieba* (Zdzisław Łączkowski). *Życie zmysłami, palące namiętności, wywołane nimi rozdarcia, tęsknoty - u Marty Fox bywa to również oznaką osamotnienia, o którym komunikuje nam wyciszonym głosem* (Jerzy Pierzchołka). *Udało się Marcie Fox sięgnąć, gdzie jeszcze u nas nikt nie sięgał, w naprawdę splecione intencje niepewnego (co do płci i roli) człowieka...* (Karol Maliszewski). *Marta Fox uwielbia wcielać się w różne podmioty doznające miłości, lęku, oczekiwania, nadziei, samotności. We wspinałym cyklu wierszy bohaterka jest jakby modelką Joana Miró, wcieloną w jego obrazy...* (Leszek Żuliński). *Ta kobieta ma tkliwe wnętrze, ale stara się, jak tylko może, to ukryć* (Dariusz Lebioda). *Marta Fox kontynuuje linię Safony, Poświatowskiej, Świrszczyńskiej* (Anna Węgrzyniakowa). *Erotyzm tych wierszy, bardzo subtelny, bardziej przypomina grę literacką niż zapis miłosnych doświadczeń* (Iwona Smolka).

Czytając wiersze Marty Fox zawarte w tomie „Rozmowy z Miró”, szukałem przede wszystkim wierszy dla siebie. Wierszy, które w istotny sposób pomogą mi odkrywać dotychczas mi nieznane przestrzenie, a także zauroczyć się poetyckim przekazem...

Do prezentacji wybrałem następujące wiersze: *Spotkanie z Miró* (s. 7), *Kiedy Miró* (s. 13), *A może sen* (s. 25) i *Jak drzewo* (s. 45). Myślę, że lektura tych wierszy sprawi Czytelnikom „Nestora” wiele estetycznych przeżyć.

Jan Henryk Cichosz



Marta Fox. „Rozmowy z Miró”,
Wydawnictwo Mamiko, Ruda Śląska 2011. ss. 76.

Marta Fox

Kiedy Miró



Kiedy Miró wielbił moje ciało wielka woda przepływała po naszych piersiach rozbij mnie na części - prosiłam - i dodaj czerwieni - prawą nogę przesunąć wyżej i pozwól by dotknął jej księżyc - o tak teraz jest dobrze - Kolory przekrzykiwały się plamami zdobywały kawałki nóg rąk ślizgały się po wypukłościach rzeźbiły oddech zapamiętywały blask oczu a wtedy niebo otwierało chmury aniołowie opuszczali skrzydła a Bóg porażał nas światłem i dawał spełnienie Potem mogliśmy już porzucić kontury Miró odkładał pędzel patrzył na nas jak na wyśniony ból i mówił że oto stworzył swój najlepszy obraz

Jak drzewo

Jest jak drzewo macha rękami często słyszę jak szeleści Przytulam się do niego jak do brzozy i wówczas

rosnę w siłę łagodniej
 A on pręży się jak
 młody bóg jak młody bóg
 o którym marzyłam w przeszłości
 choć odrzucałam pokusy ciała i żądze
 wedle nakazów kościoła i mistyków
 Teraz gdy gwiazdy stwardniały
 gdy oczy spłwiałały
 namiętność każe nam być
 latawcami i trzymać się
 wzajemnie za sznurki

A może sen?

Czułam twój oddech na szyi.
 Jak dobrze, że to nie sen - pomyślałam.
 Czekaliśmy. Pociągi przejeżdżały.
 Na co czekamy? - zapytałam.
 Na nas - odpowiedziałeś spokojnie.
 Jak to na nas? - zdziwiłam się.
 Przecież my jesteśmy. Stoimy na peronie.
 A jeśli nas nie ma? - wystraszyłam się -
 to kim są ci, którzy czekają?
 A jeśli jesteśmy - to kto wysiadzie z pociągu?

Spotkanie z Miró

Mogłam nie odpowiedzieć na list nie odebrać
 telefonu nie przyjechać do małego miasteczka
 Mogłam w róży od ciebie zobaczyć tylko kolce
 i nie ucieszyć się z pytania którym
 wdzieraleś się w moje myśli

Mogłam nie spojrzeć ci w oczy i nie zobaczyć tej
 samej tęsknoty która kazała mi czekać na
 moście w Avignon i na południku zero
 i w tylu innych miejscach nie wiedząc
 nic ponad to że czekam

Mogłam nie zadrzeć przy podaniu ręki
 nie wymarzyć sobie by moja i twoja
 cierpliwość splotły się w dach nad głową
 Mogliśmy nie spotkać się w słowie
 nie znaleźć górskiego kryształu
 nie być dla siebie tak jak teraz
 w obrazach pomarańczach motylach
 i świecie który byłby przeciwko nam
 gdybyśmy nie wierzyli że to my
 możemy być przeciwko niemu

Bernard Homziuk

Nawroty pamięci



Sporo lat temu (1997), gdy miałem wystawę w Łodzi, spotkałem się tam ze swoim „wujkiem”, bratem ciotecznym mojej mamy, ale dla mnie, poprzez swoją wrażliwość, absolutnie w prostej linii wujaszkiem. Wujaszek ten przez wiele lat zajmował się pisaniem wierszy, sztuk, kilka z nich wystawianych było w warszawskich i łódzkich teatrach. Nie był łatwy w obejściu, pisał i nie odkrywał się z tym zbyt. Wszyscy wiedzieli, że poetą bywa, ale strzegł swojej prywatności dosyć mocno. Mój przyjazd i spotkanie wyzwoliło w nim nieprawdopodobnie silną potrzebę podzielenia się tym, co składał „do szuflady”. Przegadaliśmy całą noc, miałem możliwość zobaczyć kilkaset wierszy, z których czytałem kilkadziesiąt. Spotkanie nasze zaowocowało tym, że wujaszek pod wpływem moich namów, przygotował cały zestaw wierszy o Podlasiu - w szerokim kontekście. Pomysł miał być zrealizowany w planowanym wydawnictwie, co obiecał dyrektor domu kultury w Międzyrzeczu Podlaskim, z którego obaj się wywodzimy. Skończyło się tak, że nic się nie zdarzyło, poza tym, że wujaszek przygotował maszynopis - z tytułem: „Nawroty pamięci”, mottem (Zofia Nałkowska: „Mała ojczyzna”), słowem wstępnym Henryka Pustkowskiego z Łodzi. W zbiorze znajdują się 32 wiersze w tym jeden, pt. „Korzenie”, który powstał po naszej niezwykle całonocnej rozmowie, czym wujaszek ogromnie mnie wzruszył. Tak, to było magiczne spotkanie. Dlatego wciąż tkwi we mnie poczucie mojej w sumie bezradności i niespełnienia, jakie go dotknęło.

Bernard Homziuk



rys. Benek Homziuk

Stanisław Ostapowicz

Korzenie

Benkowi Homziukowi

Jeśli jest prawda, prawda niekłamliwa
wątpliwość się staje niezbyt oczywista:
jestże się poetą, czy tylko się bywa,
artystą się bywa, czy jest się artystą?

Bo jakim słowem przekazać z duszą obrachunki?
Pełnię własnego wnętrza jakie wyrażą malunki?

Jest słowo banał, słowo myśli głębia
słowo jak cięcie kreski -
chwycić ślizg jaskółki w locie
narysować dźwięk gamy
metafizykę niecierpliwej jesieni
kiedy jej śpieszno
zieleni lata w odcienie brązów przemienić
i to jak opada puch ostu
i to że inaczej niż piórko gołębia
i jak frunie tancerka w piruety ćwierćobrocie

A może jest tak, jakoś tak po prostu -
Krzna zakosami kreśli podmiędzyrzeckie łąki
wiosenna złocien kaczerców
fasoli jesienniejące strąki
pannomłodość brzoź
rozczipierność starych dębów
smutek pustyni śródleśnych
po morderstwie sośnianych wyrębów
plozy przez śnieg zapamiętane
wraz z pogłosem dzwonka
pierwszy marcowy łot w słońce
trełującego skowronka

kwitnących zbóż falowanie
niczym falowanie morza
z pyłkiem rozedrganym w oparze
pożar to czy zorza
gęstwa krzaków w porannej ciszy
takiej ciszy co aż dźwięczy
i rozpięte na niej regularnie zrosiałe firany pajęczyn
i to co w nas stąd co tkwi w każdym nerwie
ta nić połączenia której nic już nie zerwie
i to co się w nas wgrzyło i wciąż z nas wylazi
i to czego żadnym słowem nie zdołasz wyrazić...

Mała ojczyzna.
Lud mówi to z podlaska, półśpiewnie,
a dziady odpustne ciągną swe pieśni
długo, modlitewnie, rzewnie.

I pewnie jest tak -
kiedy zmęczone powieki okrywają źrenice,
kiedy zda się usypiają resztki wyobraźni,
półświadomość przygląda się
w lustra ożywiającej krynicy
temu co było dzieciństwo
i co na zawsze pozostanie w jaźni,

i kiedy węgiel w palcach błądzi po papierze,
z bieli i czerni wyluskując szarzeń lub grę światłocieni
jest w tym także ślad szepotanych o zmroku pacierzy,
tęsknota do archetypu, powrót do korzeni.

Oblubienica

dwójką koni po błotnistym gościńcu
omotana białym welonem
liczy ślady końskich kopyt
zbliżających kościół w miasteczku

chyli głowę napotkanym przechodniom
czynią znak krzyża
„niech Bóg błogosławi”

z powrotem
podchmielony pan młody
i błotnisty gościnnie
prowadzą ją do kołowrotu nowego życia

ociera łzy
to pożegnanie

czy warto

ech naprawdę nie warto
deptać ścieżki przez innych utarte

naprawdę nie ma sensu
bez celu po świetle się waleśać

gdyby tak jeszcze zawiesić Wenus korale
z grochu malowane lakierem nitro
albo upozować się na Judahu skale

i to wszystko

może ewentualnie jeśli się okaże
 żdziebko pozostało dla czynów
 wyleźć na Marsa i wyjęczeć sobie pean na gitarze
 za zdobycie ostatniego listka wawrzynu

można by jeszcze
 to też nie ostateczność
 można więc przyjąć ostatni sakrament
 wypić cysternę wódki przed ruszeniem w wieczność
 zablysnąć na chwilę płomieniem
 i zgasnąć na amen

bo inaczej czy warto
 deptać ścieżki przez innych utarte

Oglądanie jesieni

wybiorę się z tobą do lasu
 albo w mieszany zagajnik
 albo do parku przynajmniej
 aby popatrzeć porównać

gdzie smutne piękno jesieni
 uwidacznia się bardziej

czerwienią się klipsy jarzębin
 łez liście spłakały brzozy
 i mimo bliskości zaduszek
 wśród zbursztyniałych dębów
 coraz już radsze
 coraz radsze
 czarne mogiły kretowisk

Kasztan sypie kasztany
 dąb się pozbywa żołędzi
 w soku lip nie ma już miodu
 zbrunatniał dywan jagodzin

tylko na wieżach świerków
 tkwią pojedyncze szyszki
 a z leszczyn ostatnie orzechy
 wyluskują półspiające wiewiórki

spójrz
 głóg się głógowi
 chmurne niebo dżdżem płacze
 zielen sosn szarzeje
 w przydrożnych rowach mgła siada

by wczesnym rankiem oszronieć
 i dodać mdłej słodkości
 cierpkim śliweczkom tarniny

widzisz
 to jesień jesienniej

Przy łożu Matki

Ileż to lat przeminęło, ile wsiąkło potu
 a te zagony co były życiem i życia przekleństwem?
 Krzyże śródpolne błogosławiły twej drodze golgoty
 i tylko to błogosławieństwo było dobrodziejstwem.

Nic nie odejmie bólu, który przygiął barki,
 nie osłodzi goryczy najgorętsza troska.
 Wpatruję się dziś w Twego życia poszarzałe kartki
 by widok ich na zawsze już we mnie pozostał.

nocą z 18 na 19 stycznia 1985 r.

Stanisław Ostapowicz (1932-2004) - nauczyciel, wykładowca, egzaminator, kierownik biblioteki, poeta, tłumacz, współreżyser, działacz społeczny. Urodził się w 1932 r. w Międzyrzecu Podlaskim. Po szkole podstawowej uczył się w liceum ogólnokształcącym w mieście rodzinnym. Maturę uzyskał w 1950 roku. Był ostatnim drużynowym drużyny harcerskiej w liceum przed jej rozwiązaniem po narzuconej ZHP zmianie ideologii w 1949 roku. Studiował w latach 50. filologię polską na Uniwersytecie Łódzkim (specjalizacja bibliotekoznawstwo i informacja naukowo-techniczna), następnie, w latach 60. - pedagogikę. W latach 1954-1965 był silnie związany z ruchem teatrów studenckich, głównie z STS „Cytryna” przy Akademii Medycznej w Łodzi. Jego wiersze, skecze, fraszki i teksty piosenek publikowane były w radiu i telewizji (fragmenty programów). W latach 1957-



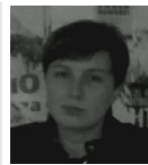
1972 pełnił funkcję kierownika biblioteki naukowo-technicznej w Laboratorium Badawczym Zakładu Przemysłu Barwników „Boruta” w Zgierzu koło Łodzi. Następnie, w latach 1973-1991 był adiunktem w Instytucie Barwników i Produktów Organicznych, kierownikiem wspólnego dla obu firm ośrodka informacji naukowo-technicznej. Zgromadził kilkudziesięcioletni, wielojęzyczny zbiór literatury fachowej z zakresu chemii organicznej, w szczególności syntetycznych barwników organicznych i dziedzin pokrewnych. Księgozbiór ten stał się jedną z największych bibliotek w polskim przemyśle chemicznym z unikalnymi w skali kraju wydawnictwami. Służył także naukowcom i studentom uczelni łódzkich i pozałódzkich.

Stanisław Ostapowicz był wykładowcą i egzaminatorem w Centralnym Instytucie Informacji Naukowo-Technicznej i Ekonomicznej w Warszawie, działał w Naczelnej Organizacji Technicznej, publikował w prasie fachowej, prowadził prelekcje popularyzatorskie w placówkach oświatowych Łodzi i województwa.

Twórczość poetycką rozpoczął w młodości. Debiutował w 1953 roku. Tematyka wierszy obraca się w kręgu liryki osobistej, nawiązuje do miejsca urodzenia, stron rodzinnych, zauroczenia „małą ojczyzną”. Twórczości nie traktuje profesjonalnie, skąd wiersze, fraszki, przekłady rozrzucone są po różnych czasopiśmie (m.in. „Wieś”, „Zielony Sztandar”, „Kamena”, „Droga Młodych”, „Scena”, „Nad Wartą”, „Orka”, „Odgłosy”). Przekłady poezji rosyjskiej ukazały się w zbiorach: „Słońcu radzi” (1977), „Znam brzmienie słowiańskiej mowy” (1980). W przygotowaniu zbiór wierszy.

Odnaczenia i wyróżnienia: Srebrny i Złoty Krzyż Zasługi, Zasłużony Działacz Kultury, Zasłużony dla Województwa Łódzkiego, Zasłużony dla Miasta Łodzi, Honorowa Odznaka NOT. Zasłużony dla Przemysłu Chemicznego, Zasłużony Pracownik INTE. Zmarł w Łodzi, 15 września 2004 roku.

Katarzyna Leni Bielska



do siebie

sama ze sobą
obmyślam zapach
wspólnych wieczorów

niczym mostem
niejasnych obecności
sama ze sobą
przeżywam wspólne spacer

ona jest cienkim odbiciem
wczorajszej twarzy
sama do siebie
spisuje wołanie

noc tego dnia
jej imieniem
pamięta zbrodnie

to nie była ona
nie ma już kluczy do domu
jest takie słowo na „s”
co się spełnia

metamorfoza

nie mam już rąk
to przecież za ciężko
jestem bez nóg
nie mam dokąd iść

- nie mam domu -

uderza mnie grad
przygniotło mnie słońce
blade myśli bez leków
rozebrali i zostawili

- po pustyni turla się głowa -

czasem wydaje mi się
że mnie wcale nie ma

Katarzyna Leni Bielska

wolność

zaparowały szyby
bez własnego
kawałka ziemi
sama sobie policjantem
buduje więzienie

chwiejne chwiejne
odarte gałęzie
moich kości
maszerują po celi

a z tej rany
krew uderza do mózgu
strachem tak zajęte
białe oczy patrzą

podkurczone podkurczone
zwierzę bez snu
uwikłane w podróż
jednego obiegu krwi

pośmiertnie ciągnie tlen

jeśli

jeśli umrę za rok
wtedy
tylko raz już ubiorę choinkę
tylko raz będę pić
wódke w swoje urodziny
tylko raz już będzie
cieszył mnie śnieg

a jesienią pójde do terapeuty
bo jeśli
umrę za rok
na wszystko jest już
za późno

Dariusz Jacek Bednarczyk

Vincent van Gogh w nocnej kawiarni

pusta sala cztery lampy smutny bilard
w żółtym cieniu sen włóczęgów w kącie para
harpie semteks gorączkowo
eksploduje w polu wronie stado!
w żółciach w żółciach Ewangelia
wrze na ścianach garnek świńskiej farby!
pusta sala cztery lampy smutny bilard
w żółtym cieniu sen włóczęgów w kącie para
wciąż na stosie jak Giordano
krótkie noce niczym głód dzieł polarny
nie Japonia więc Prowansja
wrze na ścianach garnek świńskiej farby!
pusta sala cztery lampy smutny bilard
w żółtym cieniu sen włóczęgów w kącie para

Na ławeczce

w słoneczku na ławeczce zupełnie poza czasem
wygrzewam się rozkosznie w znoszonym płaszczu
z Mastersem pod rękę przycupnięta na ławeczce
wystawiając twarz – chłonę nektar słońca

odurzona zapadam w słonecznej słodyczy
dwoje przyjaciół czuwa: Gaudi i Glen Gould
gdy przysypiam na ławeczce w dzierganym berecie
zblakłych barw – wokół drzemie przeszłość

w słoneczku na ławeczce wolna od słów i znaczeń
nie dbam kto i kiedy: Czapski czy Witkacy
przycupnięta na ławeczce zupełnie poza czasem
chłonę nektar słońca – wystawiając twarz

Pocztówka z Krasnegostawu

Pośród równin czarnoziemiu
Działy i Wyniosłości
nad ujściem szemrzącej Żółkiewki
na spotkanie pędzącego Wieprza

W odbłasku słońca
zwrócony w stronę
gdzie Lublin Chełm i Zamość
wyznaczają tętno

Przy ryneczku bez fałszywej skromności
dwie ryby na posterunku
pod ochroną flagi jak z Beatlesów
powiewającej nieco czupurnie

Na posterunku biskupich spojrzeń
lemiesz w bujne pola zagłębionych
pośród partyzanckiej niziny szepty
szyszek chmielu dojrzewających ukradkiem

Ballada na trzy gitary i perkusję o wielkiej ciszy w samym centrum miasta

na śmietniku tuż przy ścianie
zgrana paka w karty różnieta
pula rośnie stawką wino
z kubła krzeszą ogień trumfy

za roletą chrapie miasto
śniąc przekręca się na boki
w ciepłych kamienicach spokój
sapią z płyty bloków piony

krąży flaszką karta zżera
obok grzebie w śmieciach szczur
czarne palce brudne ryje
kwaśne swetry mokre szlugi

w ryku diesli ziewa miasto
prysznic zmazy do kanału
w smogu ranni ropne słońce
tramwajowych zwrotnic szczęki

coraz wolniej krąży flaszką
milkną głosy talia finisz
na barłogu leżą chłopcy
gdzieś nad głową musztra moli

w smrodzie spalin dyszy miasto
pik – pik aria kas fiskalnych
casting wystaw w reklamówkach
na wieszaku przejść podziemnych

już pokotem już ferajna
w zsypie kładąc pasjans senny
wielka cisza w centrum miasta
bez odporu dawcom kłęski

Dariusz J. Bednarczyk (ur. 1961) mieszka w Jeleniej Górze. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego. Wyróżniony na regionalnych i ogólnopolskich konkursach poetyckich. Publikował w pismach: „Akant”, „Kozirynek”, „Znaj” oraz w almanachach pokonkursowych.



Iwona Chudoba

- Przez to, że grabił zawsze w swoją stronę
- ma dzisiaj nagrabione.

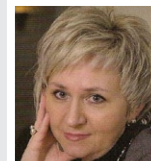
Testował damskie uda lecz stwierdził, że to nuda.
Już wie, że pośladki to - duże wydatki.

Słodko-kwaśny

Niejeden przełożony stroni od słodkiej żony,
wybiera inne - bardziej winne.

Od niebieskich tabletek, co mu pomóc miały,
brzuch się powiększył, a ptak nadal mały.

Wierni idealom,
posłuszni banałom.



Nie szata zdobi

Gorące klimaty
Obdarły go z szaty.

Siedzisko

Co drugi matolek pnie się na stołek,
w końcu przez matoleków, zabraknie nam stołków.

Szperacz

Gdy płądrował cudze myśli
wierzył, że mu się coś przyśni.

Amorowo

Czy rano, czy wieczorem,
żyj w zgodzie z Amorem.

Kandydaci na posłów
a potem - aż brak słów.

Wypięty

Pomagali mu gdy się po szczeblach wspinał,
gdy się tam znalazł na wszystkich się powypinał.

Absurd

To absurd nierzadki
zamiast do żony woli do sąsiadki.

Wciąż plecie farmazony
szkoda, że nie do własnej żony.

Kara

Najpierw prawil komplementy
potem placił alimenty

Odkrył, że w nocy
Przy niej jest bez mocy.

Dobrze ułożony

Gdy na łoże się kładzie
wszystko ma w nieładzie.

Ślinotok

Raz ją ujrzał w mini
do dzisiaj się ślini.

Zakochany

Przez zauroczenie
miał puste kieszenie.

Sprytna

Niejedna „malutka”
wystrychnie na dudka.

Z postępem

Kiedyś randki przy trzepaku,
dziś spotkania na deptaku.

Nie wypowiadam ci wieku
prawie stuletni człowieku.

Uleciało

Szczęście uszło rankiem
wraz z kochankiem.

Przyszłość

Jak masz z nim spędzić resztę życia,
sprawdź, czy nie ma nic do ukrycia.

Winny inaczej

Mężczyzna nie czuje się winny,
wstępując w związek intymny.

Diablica

Chociaż była miła,
to diabłu służyła.

Wymagająca

Miała wymagania odnośnie śniadania,
podczas kolacji szło bez komplikacji.

Wybielacz

Niedźwiedź biały po leku?
Nie - po mleku z Biomleku.

Każda

Wtulona w ramiona,
czuje się zniewolona.

Kac

Albo było młode wino, albo
znów mi numer kac wywinął.

Kardiolog

Gdy do serca zagląda
to udaje Bonda

Ginekolog

Haruje jak wół
od pasa w dół

Saturnin Naliwajko

Miss Świniobicia



Roboty w polu zakończone, plony zebrane,
których nie ma gdzie i komu sprzedać. Ludzie jacyś
tacy smutni chodzą, zamyśleni, ponurzy, jak by się
martwili, że im kasy do pierwszego nie wystarczy.
Wcześniej też im nie starczało, ale radośniejsi byli...
Jak się gorzałki napili, to i chęć do życia większa
była. Chłopy do gospody tradycyjnie wieczorami cho-
dzą, ale kasy tylko na browara wystarcza. Po drugim
piwie, kiedy to na człowieka melancholia nachodzi,
Komendant OSP, gapiąc się w pusty kufel, niby sam
do siebie zaczął gadać: człowiek od wiosny tyrał,
rozrywki żadnej nie miał, bo ani jednego pożaru nie
było, ani nikt się nie obwiesił... Nie miał człowiek cza-
su, aby poświętować... Do Godów jeszcze daleko...
a chciałoby się tak normalnie, po polsku... wypić kie-
licha, zakąsić, popalić, pogadać, wypić kielicha...

Zamówili następną kolejkę... Tak gdzieś po
szóstym kufelku, Sołtys wpadł na genialny pomysł:

- Kurde, chłopcy, jako że we wsi jest parę, kur-
de, dorodnych, kurde, dziewczuch, zrobimy, kurde, wy-
bory miss.

- Miss czego? - spytał ponuro Komendant,
człowiek w świecie bywały, bo do powiatu to mini-
mum raz na miesiąc jeździł.

- Jak to, kurde, czego? - obruszył się Sołtys
- kurde, miss to miss i koniec. Ubierze się, kurde,
dziewuchy w bikini, dupami, kurde, pokręcą, popa-
trzy się, kurde, z bliska na te krągłości, badyłe jakieś
się, kurde, wręczy i potem, kurde, będzie można
świętować.

- No właśnie, aby świętować musi być okazja
- piskliwie wtrącił Kulawy Janik.

Komendant zamyślił się, językiem sztuczną
szczękę parę razy w gębę obrócił, cmoknął i tak po-
wiada:

- Byle jaka okazja, to żadna okazja... Tu musi
być doniosła chwila, wtedy nasze kobity nie będą
marudzić, jak będą te miski w bikini po remizie latać,
a my sobie tak świątecznie popijemy...

- Dobrze, kurde, gadacie, Komendancie - rzekł
Sołtys.

- W przeciwnym razie - kontynuował Komen-

dant - baby się znerwiają, kłatwę rzuca i na kury pomór najdzie... One mają konszachty z Wielebnym i siłami nieczystymi, a taka mieszanka, to wicie...

- Kurde, tak, tak, kurde - mruknął Sołtys - każdy ustrój, kurde, rozpieprzy...

- No... to może... dożynki... - wydusił Kulawy Janik.

- Kurde, coś ty oczadział?... - warknął Sołtys - dożynki? Kurde, drugi raz?...

- Ja tam sobie myślał - ciągnął Kulawy Janik - że się bydle dorżnie i poświętuje...

- Dobrze gadacie, Janik - ożywił się Komendant - świniobicia, to jest to! Miss Świniobicia! Ładnie brzmi...

- Tylko czy świniak padnie? - spytał milczący dotychczas Pieter, drwał i cieśla w jednej osobie, który zasłynął w okolicy tym, że jednym machnięciem siekiery świński łeb na poły rozcinał.

- Moje warchlaki małe - burknął Kulawy Janik - może na Gody podrosną...

- Kurde, ja biorę tuszkę, kurde, od swagra - zakomunikował Sołtys.

- U bogatego zawsze po obiedzie - syknął Komendant - moja Stara znowu będzie marudzić, że kolejna już świnia padła w tym roku... Ale czego się nie robi dla dobra ogółu...

- Kurde, Stary Opiola niech, kurde, bimbru narobi - wtrącił Sołtys - robi, kurde, najlepszy w powiecie. Jak, kurde, Starosta na dożynkach się, kurde, naśfiustał, to, kurde, suszyło go, kurde, ze trzy dni, ale łeb, kurde, nie bolał... dobry, kurde, trunek...

- Komendancie - mruknął Pieter - żeby wasza Stara nie marudziła, trza najsampierw bydlęciu nogę złamać...

- Ale jak to zrobić? - zasmucił się Komendant.

- Prosta, kurde, sprawa - wtrącił Sołtys - niech no, kurde, Michał odpali, kurde, beczkowóz, świnię się, kurde, przegoni w poprzek drogi, to i, kurde, pod samochód wpaść może...

- A jak bydle uniknie samochodu? - dedukował Komendant, nie bardzo rad, że to jego świnia na ofiarę idzie.

- Pogoni się świniaka wte i wewte, to wreszcie samochód go przetrąci... - skonkludował Pieter - Michałowi żaden kocur nie uszedł żywy... co dopiero świniak...

- Jak świniak wypadkowi ulegnie, wtedy Stara może i nie będzie warczyć - mruknął niezadowolony

Komendant - a... niech będzie...

- To kiedy robimy te wybory - spytał Kulawy Janik - bo na bimber to dwa tygodnie trza poczkać...

- A i świniaka nie przerobi się w dzień - wtrącił Pieter - dobrze by było, aby mięso w solance poleżało trochę, lepsze będzie...

- Kurde, trza się chłopcy spieszyć, bo Zaduszki blisko, to takiej imprezy nie uchodzi robić - oznajmił Sołtys.

- Dobra, chłopcy - zadyrygował Komendant - ostatnia sobota października, najlepszy termin.

- Jak się w sobotę popije, do niedzielnej sumy człowiek otrzeźwieje - stwierdził zaprawiony w boju Pieter.

- No to, chłopcy, Michał jutro odpala beczkowóz - dyrygował Komendant - ja biorę świniaka na spacer, a wy koło remizy w pogotowiu jesteście... żeby poświadczyć autentyczność wypadku drogowego.

- A ja biegnę do Opioly - wyrwał się radośnie Kulawy Janik.

- Ty może lepiej idź na piechotę, prędzej będzie... - burknął Pieter.

- Już ja wiem co mam robić - zapiszczał Kulawy Janik - wstąpię do sklepu, kupię drożdże, a przy okazji browara se strzelę...

- Kurde, zawsze mu, kurde, mało - mruknął Sołtys - już i tak, kurde, sześć zaliczył... co on się taki, kurde, milioner, kurde, zrobił? Spadek, kurde, dostał, czy co?...

- A cukier? - zapytał Komendant - niby z samych drożdży ma zrobić?...

- Cukru ja nie zatargam - zasmucił się Kulawy Janik - za ciężko mi...

- Dobra, jak Mietek beczkowitzem świniaka przetrąci, to cukier do Opioly zawiezie - zakończył Komendant.

I popiętował uradowany Kulawy Janik do Opioly via sklep, nucąc swym piskliwym głosikiem piosenkę śpiewaną z dziada pradziada:

Huśtała się ciotka

Na drzwiach od wychodka

Jak się drzwi urwały

To wpadła do środka.

Ustalono zostało wszystko, co potrzebne do zorganizowania pierwszych we wsi, a pewnie i w Europie, wyborów Miss Świniobicia. Wieść o imprezie rozniosła się migiem po okolicy, tak że organizatorzy nie musieli rozwieszać plakatów.

Tylko Sołtys zauważył jakieś nienaturalne i dziwne zachowanie kobiet. Unikały rozmów ze swymi mężami, nie pytały dokąd wychodzą wieczorami, nie burczały, gdy wracali pod gazem, bo przecież degustacja bimbrowi należy do rytuału jego produkcji. Nieraz tylko, pod sklepem zbierały się na chwilkę, coś poszeptały i czym prędzej rozchodziły się, każda w swoją stronę. Widział to Sołtys, drapał się po głowie i mruczał sam do siebie:

- Kurde, nic dobrego to, kurde, nie zwiastuje... ale, kurde, obym się mylił...

Dzień wyborów miss zbliżał się nieubłaganie. Chłopom aż ślinka ciekła, na samą myśl o czekających atrakcjach. Co niektórzy zaczęli się nawet codziennie myć i golić. A i włosy pod czapkami przyczesane były należycie...

Nic nie zapowiadało nadciągającego kataklizmu... Świniak planowo uległ wypadkowi samochodowemu i zgodnie z obdukcją weterynarza, nie rokował nadziei na wyzdrowienie, w związku z czym trzeba go było dorznąć. Kielbasy, boczki, balerony zostały uwędzone. Bimber, po wielu degustacjach i dogłębnej ocenie miejscowych kiperów został dopuszczony do konsumpcji. Miejscowy nauczyciel rysunków, z czupryną bujnie rozwianą, jak przystało artyście, został wtajemniczony i pod groźbą połamania kości zobligowany do milczenia i wykonania szarf należnym uczestniczkom wyborów miss. Organizatorzy, na kolejnym tajnym posiedzeniu ustalili co następuje:

- uczestniczki konkursu na Miss Świniobicia wystąpią jedynie w strojach kąpielowych, nie będą paradować w tzw. strojach wieczorowych, bo jak stwierdził Sołtys: „babę w koszuli nocnej to już widział”, a po drugie, to szkoda czasu,

- konkurs Wybory Miss powinien się rozpocząć o godzinie 17, czyli o tej samej, co msza wieczorna, aby nie było konfliktu interesów, czyli Wielbny z kobitami - Panu Bogu świeczkę, a chłopcy - resztę...

- zaraz po konkursie trzeba przystąpić do części artystycznej połączonej z konsumpcją, aby jeszcze przed północą z trudem, bo z trudem, do domów dotrzeć.

Sala w remizie już przygotowana, stół prezydialny, ten dla komisji konkursowej, postawiony blisko sceny, aby jury mogło dokładniej obejrzeć wszystkie wdzięki kandydatek, bo wzrok już nie ten. Na brzegu

sceny, w wiadrze goździki, dla każdej uczestniczki, po jednym, dla zwycięzcy - trzy. Na stole, dla jury flaszki z płynem wzmacniającym ostrość widzenia firmy „Opiola & Syn”, do tego oranżada, jako tzw. popychacz, no i wspaniale pachnące wyroby z przejechanej przez samochód świni. Reszta bimbrowi zdeponowana została w garderobie, dla niepoznaki - w wiadrze.

Impreza zapowiadała się wyśmienicie. Chłopy, w czystych koszulach i marynarkach, z ogolonymi gębami siedzieli, ściskając z emocji kolana. Członkowie jury, aby odróżnić się od reszty widowni, krawaty pozakładali. Jednym słowem - pełna gala!

Na zapleczu sceny, w garderobie, dziewczuchy szykowały się do prezentacji, słychać było popiskiwanie i śmiechy. Na widowni zapadła grobowa cisza. Emocje sięgały zenitu, bo nawet najstarsi starożytni nie pamiętają, aby we wsi podobna impreza kiedykolwiek była... Widać „NOWE” dotarło i tutaj.

Nagle, z garderoby dobiegły dziwne odgłosy: stłumione krzyki, jęki, krótki spazm, szczęk metalu i... na scenę wpadł Wielbny uzbrojony w wiadro i kropidło, którym wywijał na wszystkie strony jak broniący się Ulrich von Jungingen pod Grunwaldem. Za Wielbnym, niczym sfera rozwścieczonych pekińczyków, z nieludzkim jazgotem, wpadła parafialna brygada moralno-obyczajowo-desantowa SZCZERBATE ANIOŁKI, i jak tajfun przeszła przez salę, niosąc za sobą spustoszenie. Chłopów zmiotło z krzeseł, leżeli pokotem pod ścianami. Z przerażeniem patrzyli na rozprzestrzeniającą się na podłodze mokrą plamę bimbrowi, na porozrzucane kawałki boczku, salcesonu i kielbasy. Zapach rozlanego bimbrowi i bimbrowaty zapach wody święconej, wymieszany z aromatem rozdeptanych wędlin drażnił nozdrza oglupiałych kompletnie chłopów. Tajfun parafialny opuścił remizę z głośnieym trzaśnięciem drzwi. Zapadła cisza... Po chwili na salę wpadła czerwona ze złości żona Komendanta, złapała wiaderko goździków i syknęła:

- Kwiaty na ołtarz, dla Najjaśniejszej Pani, tam ich miejsce... nie dla żdzi!...

Będąc już w drzwiach, odwróciła się i krzyknęła:

- Mietek, do domu!... mamy sobie do pogadania...

Jerzy Ładziak

Obczyzna „POLSZCZYŹNA”

Mądrze gada, czy też plecie,
ma swój język Polak przecie!
Tośmy już Rejowi dłużni,
że od gęsi nas odróżnił.
Rzeczypospolitej siła
w jej języku również tkwiła...
Dziś kruszeje ta potęga,
dziś z angielska Polak gęga...
Pierwszy przykład tezy tej:
zamiast dobrze jest okej!
Dalej iść śladami tymi,
to nie twarz dziś masz a imidż...
Co jest w stanie nas rozkuliwić?
Nie życiorys czyjś, lecz siwi!
Gdzie byś chciał być w życiu, chłopie?
Nie na czubku, lecz na topie...
Tak Polaku gadaj wszędy!
Będziesz modny... znaczy trendy
i w tym trendzie ciągle trwaj,
nie mów żegnam, mów „baj-baj!”
Gdy ci nietakt wyjdzie spory,
nie przepraszaj! Powiedz: Sory!
A gdy elit chcesz być bliżej,
to nie „Jezu” mów, lecz Dżizes...
Kiedy szczęścia zrabą ulepisz,
powiedz wszystkim, żeś jest hepi!
A co ciągnie cię na ksiuty?
Nie uroda ich, lecz bjuty!
Dobry Boże, trap się trap...
Dziś nie knajpa już, lecz pab!
No, przykładów dosyć, zatem
trzeba skończyć postulatem,
bo gdy język rani uszy,
to jest o co kopie kruszyć!
Więc współcześni poloniści
walczcie o to, niech się ziści:
Żeby wbrew tendencjom modnym
polski znów był siebie godny!
Pazurami! Wet za wet!
Bo do d... będzie wnet...

Postscriptum:

**Angielskiemu nie ubędzie
kiedy polski polskim będzie.**

Saturnin Naliwajko

Wielki wybuch



Pani B, z mężem Z, z miejscowości C udali się swoim granatowym oplem astrą do stolicy województwa, aby w odpowiednich urzędach okazać stosowne dokumenty, na podstawie których, właściwi urzędnicy wydadzą im prawomocne zezwolenie.

Jak to bywa, przy takiej okazji trzeba załatwić jeszcze wiele innych spraw: sprawdzenie stanu technicznego samochodu w autoryzowanym serwisie, wizyta u lekarza specjalisty planowana od paru miesięcy, fryzjer, kosmetyczka, no i oczywiście ZAKUPY!

Po załatwieniu papierkowo-administracyjno-biurokratycznych formalności, mając w kieszeni upragnione zezwolenie, małżonkowie rozbiegli się w różnych kierunkach, aby pozatławić swoje sprawy. Umówili się o konkretnej godzinie, na parkingu przy Centrum Handlowym JUPITER, w którym pani B miała sobie poszaleć.

W urzędach, biegając od wydziału do wydziału, od referatu do referatu, z parteru na piętro, z piętra na parter, od pokoju do pokoju, od biurka do biurka, pani B nie miała czasu, aby załatwić tzw. swojej potrzeby. A fizjologia jest nieubłagana... Gazy nagromadzone przez parę godzin w jelitach domagały się uwolnienia. Jednak sytuacja za każdym razem nie była sprzyjająca. Tłumy obcych ludzi, pośpiech i kolejki nie dawały szans na skorzystanie z WC. Wreszcie nadeszła umówiona godzina odjazdu. Pani B ostatkiem sił zaciśkała zwieracze i prawie biegiem dopadła stojącą na parkingu granatową astrę. Szarpnęła za klamkę tylnych drzwi, na szczęście nie były zablokowane. Wrzuciła torebkę na tylny fotel samochodu i tygrysim skokiem sadowiła się na fotelu, wyrzucając jednocześnie w ciasną atmosferę opła astry kumulowany przez cały dzień gaz z niewyobrażalną siłą, aż podsufitka zafalowała. Kątem oka spojrzała na siedzącego za kierownicą obcego mężczyznę, w którego oczach mieszało się wielkie zdziwienie z jeszcze większym przerażeniem. Pani B zorientowała się, że dokonała eksplozji w nie swoim sa-

mochodzie i ruchem uciekającej antylopy czmychnęła z samochodu. Cztery stanowiska dalej na tym parkingu stał granatowy opel astra, w którym za kierownicą siedział mąż Pani B, niejaki Pan Z, spokojnie czytając gazetę. Pani B wtargnęła do samochodu z krzykiem:

- Jedź stąd prędko! Później ci wszystko powiem! - i nerwowo spoglądała przez tylną szybę.

Zaskoczony całą nietypową sytuacją Pan Z, powoli składał gazetę, gdy szanowna małżonka wrzeszczała:

- Prędejj!... Jedź!... k..., prędejj!

Zdezorientowany Pan Z, znalazł wreszcie kluczyki i odpalił silnik. Pani B w dalszym ciągu nerwowo spoglądała w tylną szybę opła astry. Wyjechali wreszcie z parkingu. Do głównego skrzyżowania ustawiła się kolejka samochodów, czekając na zmianę świateł. Pani B zobaczyła za sobą tamtego opła i machającego ręką przez otwartą szybę tamtego kierowcę.

- Skręcaj w prawo! - krzyknęła do męża.

Wjechali w osiedlowe, wąskie uliczki. Kilka manewrów i pościgowy, granatowy samochód zniknął. Pani B odetchnęła z ulgą. Znów przejechali kilka jednokierunkowych uliczek i... przerażenie usztywniło Panią B. Otóż w wąskiej, jednokierunkowej uliczce, stał ustawiony „pod prąd” granatowy opel astra. Przy otwartych drzwiach samochodu stał kierowca, machając damską torebką...

- O Boże! - jęknęła Pani B - on mnie zabije!...

- Ale powiedz mi, co się stało? - dopytywał niewtajemniczony mąż.

- On mnie zabije!... on mnie zabije! - powtarzała w kółko blada z przerażenia Pani B.

Facet z damską torebką w ręku, w różowej koszulce, wyglądający trochę jak teletubiś, powoli szedł w kierunku ich samochodu. Minął przednie drzwi i rozglądającego się niepewnym wzrokiem Pana Z, po czym, impulsywnie otworzył tylne drzwi, pochylił się w kierunku spanikowanej Pani B i podając jej torebkę powiedział:

- Samochód już wywietrzyłem, ale damska torebka jest mi niepotrzebna...

Saturnin Naliwajko
19.07.2011

To nie fraszka - aforyzmy w cenie

Twórczość Mariana Karczmarczyka przybliżyliśmy w numerze 1(15)2011. Tymczasem 8 października br. zdobył kolejny laur. Tym razem zamojskiego satyryka doceniono w Nowym Targu na XIII Ogólnopolskim Konkursie im. Stanisława Jerzego Leca. Wymagająca komisja w pokonkursowej publikacji odnotowała: *Oceniając fraszki i aforyzmy, jury obserwuje - rzecz można - spadek poczucia humoru u autorów fraszek, jak również brak oryginalnych pomysłów. (...) Na pocieszenie siebie i twórców, przyznajemy, że rok wyborczy nie sprzyja tak ciału, jak i duszy fraszkopisarza. Za dużo nam wciskają wyborczej marmolady! Straszą, obiecują, wymyślają nowe zagrożenia, a stare jeszcze bardziej rosną.* Karczmarczyk jednak zachował mistrzowską formę i spośród 104 autorów okazał się bezkonkurencyjny. Poniżej nagrodzone aforyzmy:



Marian Karczmarczyk

* * *

Jeśli ktoś wpadł ci w oko,
nie patrzysz na niego z przymrużeniem oka.

* * *

Wtedy diabolicznie ma anielski głos, gdy kusi.

* * *

To nie głupi but sprowadza cię na złą drogę.

* * *

Człowiek dobrze ułożony,
nie kładzie się z byle kim.

* * *

Czasem, patrząc przez judasza,
nie wiesz, że Judasz stoi za drzwiami.

Leszek Janeczek

Anekdota krasnostawskie



Polowanie pana ambasadora

Polska w 1938 roku, w obliczu zbliżającej się wojny i napiętej sytuacji międzynarodowej, szukała zbliżenia z Francją, która miała najliczniejszą armię w Europie. Zaczęto od ambasadora tego kraju w Warszawie, Leona Noëla. Aby zyskać jego przychylność, zorganizowano mu polowanie, gdyż był on zapalonym myśliwym. Miejsce zostało wybrane. Padło na Łopiennik w powiecie krasnostawskim. Gdy pan ambasador zjawił się w nadleśnictwie Krasnostaw, mającym wówczas siedzibę w Łopienniku Dolnym, pracownicy zauważyli od razu i uznali z miejsca to za duży kłopot, że nie dość iż ma on okulary, to jeszcze są one jakoś strasznie grube. Przy tak słabym wzroku, jak tu mu ustrzelić koziołki? Ręk nie załamał leśniczy Adam Zörner i zaraz wpadł na pomysł, aby dyskretnie obejrzeć ambasadorskie strzelby. Jedna okazała się być identyczna z tą, jaką sam posiadał. To już dobrze - powiedział. Teraz należało się tylko zacząć gdzieś dyskretnie w krzakach i dwa strzały mieć w tej samej sekundzie, a nawet chwili. Gdyby ambasador nic nie ustrzelił, to rozumie się samo przez się, cała atmosfera i związana z nią gra dyplomatyczna byłaby o wiele trudniejsza. Przyszłość i powodzenie wojskowego sojuszu Polski z Francją miało zatem rozegrać się... w łopiennickich lasach. A w każdym bądź razie, w Warszawie wiele sobie po tym polowaniu obiecywano. Ale na nasze polskie szczęście, krasnostawski jelonek wyszedł na polanę. Padł strzał. Niby dwa w jednym? Jakże jednak, a może właśnie dlatego, celny. Nie wiadomo, z której strzelby. A jeśli będą dwa pociski? Skandal międzynarodowy gotowy. Nie doceniono jednak w Łopienniku pana ambasadora. Polowanie trwało dalej, jednak już z wielką ulgą dla organizujących je gospodarzy. Zupełnie samodzielnie, bo dalej leśniczy Zörner nie chciał ryzykować zdemaskowania, Noël ustrzelił jeszcze dwa koziołki. Pan ambasador przyjechał na trzy samochody,

ustrzelił trzy koziołki. Francja wypowiedziała wojnę Niemcom trzeciego dnia wojny z Polską. Ale tylko wypowiedziała. W Łopienniku zrobiono co trzeba. Nadleśniczy Antoni Salnicki został wezwany do Warszawy, gdzie jakiś oficer przy ministerstwie spraw zagranicznych osobiście mu podziękował za udane polowanie. Tylko jeszcze drobnostka, że sfinansować musiał pan nadleśniczy krasnostawski wszystko z własnych pieniędzy. Otrzymał za to, oprócz podziękowania na piśmie i uścisku ręki, zupełnie inną, niespodziewaną gratyfikację w Warszawie. Otóż mundury i dystynkcje nadleśniczych, niedawno zresztą im zmienione, były teraz bardzo podobne do tych, jakie nosili pułkownicy wojsk Korpusu Ochrony Pogranicza. Takich pułkowników mogło być w Polsce tylko dwóch, trzech i słusznie cieszyli się zasłużonym poważaniem. Toteż Salnicki z Łopiennika, idąc przez Warszawę, nie mógł nadziwić się, że tak często mu salutują, oddając honory, jakby jakimś ważnemu generałowi.

Boże, coś Polskę...

Zaraz po tak zwanym wyzwoleniu, na jesieni 1944 roku, w kościele św. Franciszka Ksawerego w Krasnymstawie wierni na zakończenie mszy świętej śpiewali „Boże, coś Polskę”. Pieśń ta, jak wiadomo, kończy się zdaniem, które zmieniano w zależności od sytuacji, w jakiej kraj się znalazł. Albo *Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie*, lub *Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie*. O dziwo, za okupacji niemieckiej, wykorzystując nieświadomość okupantów, śpiewając, modlono się o powrót Ojczyzny. Teraz, po wyzwoleniu, gdy nastały nowe porządki, ludziom nie podobała się Polska Ludowa. Nadal śpiewali, tymi samymi słowami jak za Niemców. Chociaż tym jednym zdaniem, dawano odpór narzuconej siłą władzy. Nie uszło to uwadze organów bezpieczeństwa. Wezwano proboszcza, księdza prałata Bronisława Malinowskiego do Lublina. Ponadosiemdziesięcioletni duszpasterz został tam co najmniej upomniany. Na niedzielnej mszy wszedł na ambonę i tonem jakby nieświadomego człowieka oznajmił:

- Powiedzieli mi w Lublinie, by nie śpiewać już *Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie*. Bo... Polska już podobno wolna.

Wśród wiernych na pewno stali funkcyjona-

riusze bezpieki, chcąc skontrolować skuteczność „rozmowy” z księdzem. Stary proboszcz tym jedynym słowem „podobno”, zrobił tak, jak jest w pewnym przysłowiu: *Ja do kościoła pójde, ale wy diabła zjecie jak ja pacierz zmówię.*

Nocna kontrola

W czasie wydarzeń grudniowych 1970 roku, w całym kraju partia robotnicza zarządziła wzmogłą czujność, bojąc się o rozszerzenie fali buntu z Wybrzeża na całą Polskę. Komisje złożone z milicjanta i przedstawiciela kierownictwa zakładu sprawdzały w nocy pracowników. W Krasnymstawie, Spółdzielnia Inwalidów, wśród kilku zakładów, jakie miała na terenie miasta, sprawdzała właśnie ten na ulicy Przemysłowej, za Wieprzem. Oprócz portiera, musiał w nocy być jeszcze na służbie ktoś z pracowników. W komisji był sam szef spółdzielni, towarzysz Jan Szewczuk. Gdy kontrolujący weszli na portiernię, zastali portiera najnormalniej w świecie śpiącego. Towarzysz Szewczuk, zbulwersowany tym faktem, sporządził pismo pokontrolne:

*Ja, niżej podpisany Szewczuk Jan, wnoszę o ukaranie pracownika, tego to a tego, który **stojąc na stanowisku pracy, spał w zakładzie, leżąc na stole.***

Sprawa palestyńska podniesiona na krasnostawskim gruncie

W roku 1986 przyjechał do Krasnegostawu, wygrywając konkurs na stanowisko ordynatora oddziału ginekologiczno-położniczego, doktor Stanisław Habit. Wraz z nim przyjechało dwóch lekarzy z zagranicy, których on szkolił. Jeden Cypryjczyk, a drugi Palestyńczyk - Arab, pochodzący z Betlejem. Podczas zabiegu operacyjnego, doktor Habit mówi do operującego Odecha Muntera, Palestyńczyka, który nie robił tego, tak jak życzył sobie nauczyciel:

- No, zrób ruch taki, jak kosą się kosi.

Nauczyciel powtórzył tę, w jego mniemaniu, łatwą odpowiedź (sam pochodził ze wsi) jeszcze ze dwa razy.

Zirytowany w końcu brakiem należytego efektu, doktor Habit pyta:

- Umiesz ty kosą kosić?

- Nie, nie umiem, bo Żydzi nam ziemię zabrali.

Śmiech wszystkich obecnych rozładowuje napięcie i ratuje przed gniewem mistrza, arabskiego adepta skalpela.

dr Leszek Janeczek

Artur Borzęcki

Nieobecny dziedzic Surhowa



Po wydaniu w 2007 r. książki pt. *Ordynacja Tyszkiewiczowska na Zatroczu*, jej autorka, Liliana Narkowicz, postanowiła tym razem opisać losy kalendarzyckiej linii litewskiej rodu Tyszkiewiczów herbu Leliwa z majątku Waka koło Wilna. Narkowicz, w układzie chronologiczno-problemowym, omawia dzieje gałęzi rodziny Tyszkiewiczów, rodu arystokratycznego osiadłego w Wace od 1842 r., który budował, fundował, bronił, zakładał, rozwijał i promował wszelkie pozytywne wartości. Rodu, który tym samym zaznaczył się w dziejach nie tylko Polski, ale Litwy, Białorusi jak i Ukrainy. Najwięcej miejsca w opracowaniu poświęcono Janowi Michałowi hr. Tyszkiewiczowi, zapomnianemu działaczowi społecznemu Wileńszczyzny. Poza samą rodziną Tyszkiewiczów, znajdziemy tu również informacje o skoligaconych z nimi rodach Raczyńskich i Czartoryskich. Jeden rozdział jest też poświęcony Tarnawatce na Lubelszczyźnie, która była w posiadaniu Władysława Tyszkiewicza. Inny z kolei opowiada o słynnej Hance Ordonównie (właśc. Maria Anna Tyszkiewicz), piosenkarce, tancerce i aktorce, która wyszła za mąż w 1931 r. za hr. Michała Tyszkiewicza.

Nas najbardziej interesuje część książki zatytułowana „Załącznik”, a w nim ostatni podrozdział „Dobra Surhów”. Jaki jest związek Tyszkiewiczów z Wileńszczyzną z Surhowem? Jak się okazuje dość niecodzienny. Mianowicie, właściciel Surhowa, August Adolf Cieszkowski (1861-1932), bezżenny i bezdzietny, postanowił zaadoptować cztery osoby z rodzin ziemiańskich. Jedni uważają, że uczynił to, aby uniknąć procesów o spadek po nim swych

ubogich i dalekich krewnych, inni zaś (w tym autorka książki), że swoje dobra przekazał tym, w których widział przyszłość Polski. Tak czy inaczej, faktem się stało, że Felicjan Dembiński, Edward Raczyński, Paweł Żółtowski i Jan Tyszkiewicz stali się spadkobiercami majątku Cieszkowskiego. Cieszkowski testament sporządził 5 lipca 1915 r. Zgodnie z jego wolą, czterech spadkobiercy mieli - obok własnego nazwiska - nosić również nazwisko darczyńcy. Po upływie jedenastu lat dodał z dniem 17 kwietnia 1926 r. kodycył i jeszcze za życia podzielił część majątku, z której dobra Surhów przypadły właśnie Janowi Cieszkowskiemu-Tyszkiewiczowi. Po śmierci Cieszkowskiego dokonano poszczególnych aktów działu zgodnie z wolą zmarłego. Na mocy reformy rolnej z 1936 r., z dóbr Surhów poddano przymusowemu wykupowi obszar 380 ha, z zastrzeżeniem o ile do 1 października 1937 r. nie zostanie rozparcelowany lub sprzedany Państwowemu Bankowi Rolnemu. W dniu 16 grudnia 1936 r. pozwolono na parcelację 60 ha z tych dóbr. Według wykazu hipotecznego z 1937 r., dobra ziemskie Surhów składające się ze wsi Surhów, Majdanu Surhowskiego, Łukaszówki, Augustówki, Franciszkowa i Dzierżawy wraz z *przynależnościami* i *przynależnościami*, na mocy aktu działu z 5 stycznia 1937 r. stały się wyłączną własnością Jana Cieszkowskiego-Tyszkiewicza, który tym samym przejął na siebie obciążenie praw zapisanych w hipotece. Jak wiadomo, Tyszkiewicz w Surhowie nie przebywał (podobnie jak i sam August Adolf), a dobra jeszcze za życia Cieszkowskiego dzierżawili od 1920 r. Skolimowscy aż do powojennego upaństwowienia i parcelacji.

Autorka, zbierając materiały do książki, przeprowadziła imponującą kwerendę źródłową, wykorzystując m.in. prywatne archiwum rodzinne Zygmunta Jana Tyszkiewicza znajdujące się w Cambridge oraz archiwa Litwy i Polski. Zebrała szereg relacji, wykorzystując czasopisma z epoki oraz liczne opracowania i wspomnienia. W książce znajdują się 164 czarno-białe ilustracje (głównie pochodzące ze zbiorów prywatnych), streszczenia w językach angielskim, francuskim i litewskim oraz indeks osobowy.

Sama autorka napisała we wstępie, że książka (...) *jest pozycją naukową, ale do wielu aspektów jako kobieta ustosunkowałam się z pewną dozą emocji*. Faktycznie, pomimo naukowego charakteru, publikacja jest łatwa w odbiorze, tym bardziej, że

zawiera nie tylko same fakty historyczne, ale i związane z nimi anegdoty.

Artur Borzęcki



Liliana Narkowicz, *Tyszkiewiczowie z Waki*, Wydawnictwo DiG, Warszawa 2010. ss. 476.

Magdalena Górecka

Zmierzch PRL



Czasy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej są już na tyle odległe, że stają się obiektem syntezy, a co za tym idzie - także wielu uproszczeń. Realia komunistyczne przywołujemy dziś głównie na podstawie stereotypów, za pomocą określonych słów-kluczy, w formie anegdotycznej. Dla młodszego pokolenia epoka PRL jest rzeczywistością mityczną, kształtowaną przez opowieści, należąca mniej więcej do tej samej kategorii co legenda o królu Popielu.

W odpowiedzi na tę ponowoczesną wyobraźniowość i swego rodzaju amnezję czasu, Pilipiuk stwarza powieść, będącą niezwykle kolażem faktów, legend, baśni i motywów popkultury. Dzięki nagromadzeniu przeróżnych porządków *Wampir z M-3* jest utworem, w którym przerysowanie rzeczywistości sięga zenitu, a światy historii i kultury masowej zostają skonfrontowane w niezwyklej fabule.

Na pierwszym poziomie, powieść parodiuje wątki wampiryczne, z czego najbardziej dostaje się popularnej sadze *Zmierzch* autorstwa Stephanie Meyer. Autor wyraźnie gra tutaj z sentymentalną konwencją komercyjnego cyklu, ale sięga też do tradycji. Klasyczne wyobrażenia o wampirach nijak nie przystają do realiów, w których przyszło funkcjonować młodej wampirzycy, Gosi. Rozczarowanie bohaterki przyjmuje postać komicznej skargi: *Powinnam być wampirzą księżniczką czy coś! Mieć własną karetę, pałacyk i wierną służbę. Grasować na królewskich balach. Kąsać zblazo-*

wanych arystokratów w zacisznych buduarach. A tu jeżdżę maluchem w towarzystwie ślusarza, wysysam początkującego cinkciarza w gierkowskim bloku... Co to w ogóle za nazwisko: Brona (...) Ojcu to się i przydaje w karierze, robotniczo-chłopskie, akurat dla komunisty. Ale nie dla wampira... [s. 43] Faktycznie, życie wampira w komunistycznej Polsce do łatwych nie należy - w społeczeństwie bezklasowym nie wypada tytułować się hrabią, o kawałek lepszego materiału na pelerynę ciężko nawet w Peweksie, a krew obywateli ma posmak deficytu...

Dzięki fantastycznym wątkom, absurdy PRL-u zostają zintensyfikowane. Nadnaturalna kondycja bohaterów nie daje im aż takiej przewagi nad śmiertelnikami, jakiej można by się spodziewać. Choć przekraczają swój status ontologiczny i pokonują śmierć, najtrudniejszymi barierami okazują się te stworzone przez komunistyczne państwo. W toku akcji do wampirów dołączają jeszcze wilkołaki, Mawka z ukraińskich legend i ożywiona egipska mumia. Ta ostatnia postać paradoksalnie bez trudu odnajduje się w nowej rzeczywistości. Pierwsze życie egipskiego kapłana upłynęło pod znakiem spiskowania przeciw Neronowi. Teraz, widząc wiele podobieństw między dwoma totalitaryzmami, równie chętnie włącza się w działalność konspiracyjną. Seria niezwykłych zdarzeń staje się z czasem solą w oku władzy. Istnienie *bytów bionekrotycznych* jest bowiem elementem zabobonu religijnego i kłóci się ze światopoglądem materialistycznym. Tajny wydział UB musi walczyć z czymś, co wedle oficjalnej doktryny nie istnieje, a na domiar złego nie ma innej broni jak krzyż i woda święcona. *Niby kraj ateistyczny, a tu taka wtopa...* [s. 56] - mówi Radek, gorliwy aparatczyk, który postanawia zostać pogromcą wampirów. To jedna z najzabawniejszych kreacji w powieści:

- Skoro istnieją wampiry, to logiczne, że potrzebni są też łowcy wampirów (...) A że w socjalistycznym kraju łowców nie ma i z przyczyn ideologicznych być nie może, to widać padło na mnie.

Suka spojrzała na niego jak na idiotę.

- A co myślisz? Sam ją zlikwiduję, ku chwale Partii i dla bezpieczeństwa kraju - Wypiął dumnie chuderławą pierś. - i dla dobra marksizmu zachowam to w ścisłej tajemnicy - uzupełnił.

- Na mnie w każdym razie nie licz - odezwał się pies. - Zostaw tę flaszkę i idź już lepiej spać.

Radek drgnął zaskoczony. Teraz dopiero zorientował się, że coś jest nie tak.

- Luna, to ty umiesz mówić? - wykrztusił.

- No co ty? Zgłupiałeś? - zirykowała się. - Czy Lenin pisał o mówiących zwierzętach?

- Nie pisał - odparł po chwili.

- No to sam rusz głową. To, o czym nie pisał Lenin po prostu nie istnieje. [s. 56-57]

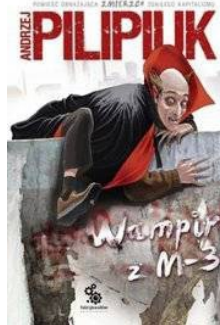
Powieść Pilipiuka to także bogactwo intertekstualnych odniesień. Wśród bohaterów pojawia się m.in. Pan Samochodzik we własnej osobie, Van Helsing i Jakub Wędrowycz. Po warszawskich ulicach krąży legendarna Czarna Wołga. Marek Ślusarz, przyjaciel Gosi, nosi miano Wiecznego Roboła (na wzór Żyda Wiecznego Tułacza). Wampir jest niewygodny dla ZUS-u, gdyż wypracował rekordową emeryturę, a także dla władzy - jako naoczny świadek dziejów:

- Skoro zachowuje świadomość, mógłby nam opowiedzieć, jak to wszystko wyglądało naprawdę!

- Niech ręka boska bro... To znaczy w żadnym wypadku! - przeraził się ubeK - Tylko tego brakowało, żeby zaczął chlapać ozorem! Historię ruchu robotniczego należy poznawać z książek i opracowań naukowych, a nie ze źródeł tak mało wiarygodnych jak naoczni świadkowie. [s. 163]

Wszystkie niesamowite okoliczności, nieprzystające do siebie porządki zbiegają się w jednym miejscu - na warszawskiej Pradze. Sojusz postaci nie z tego świata z osiedlowymi *kiziorami* jest szczytem pomysłowości i przewrotnego humoru Pilipiuka. Praski żargon, komunistyczne hasła i wampirzy slang - stapiają się w jeden wspólny język. Bohaterowie wychodzą cało ze wszystkich opresji, gdyż - co dla autora oczywiste: *Dla zgranego kolektywu cwanych warszawskich wampirów nie ma zadań niewykonalnych!* [s.145]

Magdalena Górecka



Andrzej Pilipiuk, *Wampir z M-3*, Wyd. Fabryka Słów, Lublin 2011.

Jan Henryk Cichosz



Rozmowa z Martą Fox

- Nie chcę być ani oryginalnym, ani wścibskim w zadawaniu Pani pytań. Dlatego zaczęłam od następującego pytania: czym dla Pani jest przestrzeń w całym tego słowa znaczeniu?

- Odpowiadam pełnym zdaniem: przestrzeń we mnie jest wolnością (to słowo jako pierwsze), pomysłem, rozmachem, siłą, chciejstwem, marzeniem, nieznaną i nieograniczoną możliwością, światłem, emocją. Wisława Szymborska w wierszu „Wielka liczba” pyta i odpowiada: „Skąd się jeszcze ta przestrzeń bierze we mnie - nie wiem”. Odpowiedź bardziej zastanawia niż pytanie. W odpowiedzi jest bezradność, ale także wielka nadzieja. Nadzieja na to, że nie wiem, co jeszcze w sobie odkryję, czemu podołam. Lubię powtarzać to zdanie noblistki, ilekroć zdarza mi się coś, co przezwyciężam albo coś, co robię, choć nigdy bym siebie nie podejrzewała o to, że potrafię. Albo wówczas, kiedy otwieram szeroko serce i daję siebie komuś lub biorę od kogoś, choć wydawało mi się, że jestem już zamknięta i ani nie otworzę, ani nic więcej nie zmieszczę. Przestrzeń to także miejsce do codziennej egzystencji. Ciągle ją poszerzam, by nie czuć się przytłoczona ilością rzeczy (to zależy w dużej mierze ode mnie) i spraw (to już w mniejszej mierze). Uwalniam swoją przestrzeń od nadmiaru rzeczy, aby mi nie weszły na głowę, abym się nie objęła o nie, aby mnie nie zżerały. Jak jest przestrzeń, pojawiają się myśli, serce bije spokojniej, oddech jest głębszy. Przestrzeń to także rezygnacja z konsumpcjonizmu. Przestrzeń nie musi mieć wielkiego gabarytu (w sensie dosłownym). Na przestrzeni kilku metrów kwadratowych można sobie zbudować wielką przestrzeń, trzeba tylko mieć siłę i ochotę do poznawania siebie. Także do stawiania granic sobie i innym. Granica - ważne słowo.

- Jest taki wiersz Emily Dickinson, który napisała w roku 1853. On jest bardzo króciutki, i warty jest, aby go w całości przytoczyć, tym bardziej, że w pewien sposób podkreśla to,

o czym Pani mówi, pisze etc. *Pręcik, płatek, cierz -/ W zwykły letni dzień -/ Flaszeczka jedna, dwie rosy, pszczoły -/ Wiatru wiew - sus spoza drzew -/ I jestem różą!*

- I oto przykład, jak można „rozciągać” swoją przestrzeń. Emily Dickinson, ta „święta Panna Nikt z Amherst”, jak ją kiedyś nazwałam, postanowiła zostać „Nikim”, zatrasnąć „Drzwi”, wycofać się z życia wśród ludzi, z otwartej przestrzeni i pilnie strzec granic własnego „ja”. Nie przeszkodziło jej to, by tworzyć własne światy, bo „mózg rozleglejszy jest niż niebo”, jak pisała. W jej zatrzęsniętym pokoju jest cały świat, jest Wszystko. Bo wszystko jest w jej głowie, albo inaczej - w jej mózgu. Nie wychodziła, nie uczestniczyła, nie oglądała, nie kontaktowała się, a jednak wiedziała więcej i czuła więcej. Bo na tym polega bycie poetą, by patrzeć na to, na co patrzą wszyscy i widzieć dużo więcej, kreować światy wedle własnej wyobraźni. Mieć płatek i stać się różą. Czasami myślę, że Dickinson wiedziała Wszystko. Wiedziała nie wychodząc, wiedziała rzekomo uciekając, zatraskując się, zamykając. Tak, jej wiersze są krótkie, czasem tylko cztery wersy, ale jakaż w nich głębia, jaka przestrzeń. Jej opowieść o życiu i śmierci krąży we mnie. Jej wrażliwość mnie wzbogaca, zatrzymuje. Czasem i ja dostrzegam wiew wiatru i myślę, że aby być artystą, trzeba go schwytać.

- No to nieźle nam się „zakręciło” (szczerzy śmiech)... tym bardziej, że w tych dniach na rynku księgarskim można kupić najnowszy Pani tom wierszy „Rozmowy z Miró”.

- Pozwoli pan, że złapię oddech. Od razu wyjaśniam: nie wiem, czy udaje mi się chwytać wiatr. Bynajmniej nie kokietuję i nie chcę być fałszywie skromna. Bardzo lubię swoje wiersze. Powiem więcej, cenię je także. Czasami na spotkaniu autorskim czytelnicy pytają, którą ze swoich książek uważam za najważniejszą. To pytanie raczej dla czytelników, bo jak tu siebie oceniać? Jak matce zadawać pytanie, które dziecko kocha bardziej? Każde bardzo kocha, ale każde inaczej, bo inaczej się kocha kucyka, a inaczej diabełka. A jednak moje wiersze... darzę szczególnym uczuciem, bo są najbardziej moje. Nie pracuję nad nimi, tak jak nad powieścią.

Nie planuję ich, zwykłam mówić, że na mnie spadają albo ze mnie wyfruwają. Czuję się lżej, jak to, co się we mnie kłębi, zamienię w konkret. W coś, co mogę zapisać, zaklepać, nadać formę, przeczytać na głos. Czy moje wiersze mają wartość dla innych, o to by trzeba zapytać innych. Tak bardzo osobiście traktuję swoje wiersze, że ociągałam się długo z ich wydaniem, minęło dziesięć lat od poprzedniego tomiku. I co pan teraz powie? Dopiero zakręciłam, prawda?

- O zakręceniu za chwilę. Teraz chciałbym zapytać, czy ta pani na okładce „Rozmów z Miró” to Marta Fox, która jest poetką, pisarką, felietonistką, eseistką? Nieźle ma Pani fory u Pana Boga, obdarzona tyloma talentami.

- Dziwię się, że pan ma wątpliwości. Przecież już bardziej wiernie nie można mnie było przedstawić: talia osy, czerwona sukienka, duży dekol, kapelusz i te rozcapierzone ręce, którymi chcę ogarnąć świat! Ogarnąć, czyli złapać, ucapić, ile się da, w barwach wielu, nie tylko w wielu gatunkach literackich, które uprawiam, jak ogrodnik swoje grządki. Pan Bóg może i trochę talentu mi dał, nie przeczę, ale nie więcej niż innym. Ja miałam szczęście, że odkryłam te okruczki w sobie i postanowiłam je wyhodować, wypiełgnować, a potem odważnie wystawić na publiczną chłostę.

Od czasu, kiedy postanowiłam, że będę sama sobie sterem, żeglarzem i okrętem, kiedy utwierdziłam się w wykonywanej profesji, musiałam rozszerzyć jej zasięg. To tak, jak ktoś zakładający firmę dopisuje do działalności głównej jak najwięcej ubocznych, by potem bez problemu działać w różnych kierunkach, gdy ten pierwotnie uznany za priorytetowy nie będzie przynosił zysku. Aby utrzymać się z pisania wierszy, należałoby dostać Nobla w kwiecie wieku. Ponieważ takie cuda się nie zdarzają, więc trzeba pisać felietony, eseje, powieści, czyli to, co da się sprzedać, czyli - jak to nazwałam - wystawić na publiczną chłostę. Odwagi do tego potrzeba, nie talentu, proszę pana.

- Ponieważ Pani nieźle zakręciła, i jest osobą pięknie zakręconą, a ponadto odważną i gotową do publicznej „chłosty”, to pytanie będzie następujące: otóż na jednym z portali inter-

netowych wyczytałem, że Marta Fox to także... teściowa Kupichy. Przysnaję, że takim zapisem byłem nieźle zaskoczony.

- Tak, to prawda, Piotr jest moim zięciem. Ale zapewniam Pana, że mam także inne zalety niż bycie teściową, hi hi. Zaskoczony? Tworzymy rodzinę „multi-kulti”, po prostu. Piotr jest w naszej rodzinie od 13 lat, czyli od czasów, kiedy był jeszcze uczniem technikum, potem studentem politechniki. Niespodziewanie dla nas wszystkich stał się „Feelem”. Lubimy się. Bardzo lubię tę chwilę, kiedy wchodzi do kuchni i mówi: - Mama, masz co pomaszkieć? Bo z Piotra jest maszkietnik, potrafi smakować nie tylko potrawy, ale i życie w barwach wielu. Więcej grzechów nie pamiętam, od czasów sukcesu Piotra bardzo strzeżemy naszej rodzinności.

- Nie bez powodu zadałem Pani to pytanie, albowiem jeden z recenzentów tak określa Pani poezję: „Życie zmysłami, palące namiętności, wywołane nimi rozdarcia, tęsknoty - u Marty Fox bywa to również oznaką osamotnienia, o którym komunikuje nam wyciszonym głosem”. Bardziej trafne są wypowiedzi Janusza Stycznia i Zdzisława Łączkowskiego. Jednakże najbliższej prawdy, tak sędzę, są recenzentki - Anna Węgrzyniakowa i Iwona Smolka. Pierwsza z nich pisze o tym, że kontynuuje Pani linię Safony, Poświatowskiej i Świrszczyńskiej. Natomiast Iwona Smolka mówi o tym, że erotyzm tych wierszy, bardziej przypomina grę literacką niż zapis miłosnych doświadczeń. Powiem szczerze, że moja opinia po lekturze „Rozmowy z Miró” jest tak gdzieś w połowie drogi pomiędzy Januszem Styczniem, a Iwoną Smolką.

- Krytycy swoje, a czytelnicy swoje, proszę pana. Lubię czytać wypowiedzi krytyków, bo wtedy mi się wydaje, że moje wiersze mają niesamowitą głębię, jest w nich jakaś wielka historiozofia i Bóg wie, co jeszcze. Najciekawsze, że pisząc, nie mam na uwadze owej „historiozofii”. Powieści planuję precyzyjnie, wiersze wyfruwają ze mnie spontanicznie. Być może ten proces planowania wiersza odbywa się poza moją świadomością, gdzieś głębiej i kiedy wiersz jest gotowy, to wtedy się rodzi.

Często wydaje mi się, że to następuje nagle, niespodziewanie i nie wiem, skąd się bierze. Nie ma we mnie żadnej teorii, wedle której piszę. Intuicyjnie tylko czuję, co muszę zrobić. Jeden z krytyków napisał rozdział pracy doktorskiej na temat roli czerwieni w moich wierszach. Czytałam, zachłystując się tą interpretacją. Czytelnik natomiast, czyli ktoś, kto po prostu lubi czytać wiersze, czyta „plecami”, jak to pisał Eliot, czyli jeśli mu po plecach przebiega dreszcz, to znaczy, że wiersz go poruszył... i o to chodzi, by poezja poruszała.

Mam świadomość tego, że u mnie nie ma bezpośredniości, nawet jeśli czytelnikom się wydaje, że jest. Emocje są przetworzone, ubrane w formę, w maskę, ale... nawet wówczas, kiedy w wierszu wypowiada się Sydonia von Borck, to mówi w moim imieniu. Kiedy rozmawiam z Cortazarem, z Kafką, Miró, a Miró ze mną, to też jestem w tym od początku do końca, beczelnie mocno, z całym swoim przetrwonionym doświadczeniem.

A samotność, proszę pana, takie wieloznaczne słowo, bez niej niczego nie można dokończyć.

- Tak to prawda, że samotność na stałe jest wpisana w twórcę. Pani Marto, poezja to wielka rzecz, jednakże ważną rolę w Pani twórczości odgrywa powieść, tym bardziej, że coraz częściej określana jest Pani jako mistrzyni literatury młodzieżowej i miłosnej.

- Nieźle to brzmi, prawda? Boję się jednak słów górnolotnych. Kiedy wydałam pierwszą książkę „Kapelusz zawsze zdejmuję ostatni”, prawie dwadzieścia lat temu, otrzymałam etykietkę odważnej pisarki erotycznej. Kiedy napisałam pierwszą powieść dla młodzieży „Batoniki Always miękkie jak deszczówka”, nazwano mnie odważną pisarką młodzieżową. Tak czy owak byłam odważna i może to się liczy. Dziś jestem autorką 30 wydanych książek - powieści, opowiadań, felietonów, poezji i bardzo bym chciała uciec od „gęby”, ale już Gombrowicz pisał, że od „gęby” uciec się nie da, najwyżej jedną gębę zastępuje się inną. Jestem coraz starsza i mam potrzebę pisania dorosłych powieści, ale nie rezygnuję też z tych młodzieżowych. Pisanie powieści zarabiam na życie, a dzięki wierszom fruwać. Oczywiście zawsze pi-

sze o miłości, nawet jak piszę o samotności. Bo miłość i zdrowie są najważniejsze w życiu. Kiedyś myślałam, że tylko miłość.

- Nie wiem, czy udało mi się „rozebrać” Panią do końca, ale jeszcze, aby nie było żadnych wątpliwości, to zapytam o ulubione książki. O ulubionych filozofów, poetów, malarzy. O ulubionych muzyków... a także o Pani najnowszą powieść.

- Och, to rozmowa na dwie godziny... „rozebrać” mnie do końca, to nikomu się nie udało. Mój mąż mnie „rozbiera” od 11 lat i mówi, że codziennie go czymś zaskakuję. Zdążyłam już siebie samą trochę poznać, dzięki uporczywemu dzieleniu włosa na czworo, ale ciągle nie rozumiem pewnych swoich tęsknot i lęków. Nie chcę przez to powiedzieć, że jestem aż tak skomplikowana, mam po prostu bardzo analityczną naturę. Jak pan widzi, najbardziej lubię rozmawiać o sobie, ponoć każdy twórca jest próżny, ja też.

Lubię odkrywać dla siebie nowych autorów: na przykład Hertę Muller, Sandora Marai. Z poetów - Biankę Rolando. Wracam często do pism Simone Weil, kiedyś zgłębiałam jej myśl „dystans jest ostoją piękna”, wczoraj na przykład przypominałam sobie myśl „konsekwencje czynu są trwalsze niż jego pobudki”. Z malarzy wymienię dwóch: Jerzego Dudę-Gracza i Joana Miró. Oczywiście jest wielu innych, nad którymi się pochylam.

A jeśli chodzi o moją najnowszą powieść „Zuzanna nie istnieje”, no, cóż... nie chodzi w niej o przedstawioną tam historyjkę pewnego spotkania i namiętności, bo ta z założenia jest banalna, ale o coś zupełnie innego. Cieszę się, kiedy widzę, że niektórzy recenzenci oraz czytelnicy odkrywają moje intencje, dostrzegają i klimaty tej powieści, i język, i kompozycję. Jeśli nawet Zuzanna nie istnieje, to musiałam ją wymyślić. I tyle.

- I aż tyle, albowiem Marta Fox jest tu i teraz z całym talentem i swoją kobiecością. Wypada mi już tylko podziękować i życzyć dalszych sukcesów.

Z Martą Fox, poetką, pisarką, felietonistką, eseistką, rozmawiał Jan Henryk Cichosz.

Stanisław Koszewski

Spotkanie z poetą



Drugiego września 2011 roku, w Chełmskiej Bibliotece Publicznej, w atmosferze skromności dziejowej, chełmscy miłośnicy poezji i literatury, z dużym zainteresowaniem wysłuchali barwnej opowieści poetyckiej znanego twórcy krasnostawskiego, Jana Henryka Cichosza. Poeta, miłośnik przyrody i historii, fotograf i cyklista, korzystając z najnowszych zdobyczy techniki, swoją twórczość liryczną zilustrował odpowiednio dobranymi fotografiami z okolic Roztocza i rodzinnych stron.

Moją uwagę przykuł najnowszy tomik poezji zatytułowany **In blanco**. Jest on odzwierciedleniem czasu, który upłynął, pozostawiając niegasnący ślad w wyblakłych fotografiach. Poeta z nadzieją i pietyzmem kreśli czasoprzestrzeń barw historii z wiarą w misję dziejową godną szacunku pokoleń. Najmocniej wątek ten brzmi w wierszu **Jazda bez trzymanki**:

*A ty, co kulą u nogi, która przez czoło
w stronę września przeszła przez zdeptaną
Polskę...*

Wielowątkowość i wyrazistość dziejowa nie budzi wątpliwości. Pod pojęciem września (1939 roku) rozumiemy ogrom ludzkich cierpień, ale także znaczenie słów:

*... miejscowy nauczyciel,
który chował światło pod przepastnym
korcem, teraz sobie dumnie wypisał na czoło
słowo „Patriotyzm”.*

Duma ze zwycięstwa i wolność są uczuciem trudnym do opisanego, a euforyczna nić z czasem ulega przebarwieniu, odkształceniu nie do naprawienia. Dlatego ostatnia strofa zawiera bardzo ważne przesłanie:

*I oto jesteśmy królami pierwszymi
i Panami nad pany z wolnością pod
rękę, której jak dziwki nigdy nie*

Spotkanie z poetą

*zrozumiesz i której zaufać nie sposób.
Z wartościami pierwszymi i literą prawa,
na których zbyt pochopnie postawiono
krzyżyk.*

Cytowane fragmenty wiersza mają wymiar ponadczasowy, dlatego warto do nich powracać, odnawiać pamięć, by kształtować ulotną świadomość społeczną.

W dorobku J. H. Cichosza jest wiele innych pozycji godnych zadumy i szacunku. Chełmska publiczność miała okazję w części zapoznać się z nią i wyrazić swój podziw. Ja także przekazuję wyrazy uznania i zachęcam miłośników liryki do zgłębienia talentu twórczego poety.

Stanisław Koszewski



Jan Henryk Cichosz, poeta, publicysta, regionalista i animator życia literackiego w Krasnymstawie. W jego dorobku są następujące tomiki poetyckie: *Pielgrzymka, Przez otwarte ogrody, Wieczór autor-ski, Malowanie czasu, Krajobrazy pamięci, Prze-strzenie, Czas fotografii, Śmierć motyla, Zegar słoneczny, Codzień* i najnowszy tomik *In blanco*.

Jan Henryk Cichosz, *In blanco*, wyd. Norbertinum, Lublin 2010 s. 24.

Artur Borzęcki

Poeci bez granic



W dniu 29 października, w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Krasnymstawie miał miejsce wieczór poetycki „Z rodziną Iwańczyków”. Państwo Iwańczykowie to znana w Krasnymstawie i nie tylko poetycka rodzina, członkowie Związku Literatów Polskich, mająca w sumie w dorobku ok. 30 autorskich tomików i antologii poezji. Tym razem na spotkaniu prezentowanych było aż sześć tomików: Ireny Iwańczyk „Mistyka życia” (2009), „Cień myśli” (2011); Katarzyny Iwańczyk-Fowler „Przebudzenie oddechu/ Awakening of breath” (2009), „Zepsuta lalka/ The Broken Doll” (2011) oraz Mirosława Iwańczyka „Wieczysty korowód” (2009), „W kręgu sacrum i profanum” (2011). Na spotkaniu byli obecni krasnostawscy księża: ks. dziekan Henryk Kapica (recenzent m.in. „W kręgu sacrum i profanum”) i ks. prałat Piotr Kimak. Wieczorek zaszczytili również mecenas twórczości państwa Iwańczyków (tomiki ukazały się m.in. dzięki wsparciu finansowemu Starostwa Powiatowego w Krasnymstawie, Urzędu Miasta Krasnostaw i Urzędu Gminy Krasnostaw) w osobach starosty Janusza Szpaka i zastępcy burmistrza Dariusza Turzynieckiego.



Twórczość utalentowanej rodziny omówił Waldemar Michalski, sekretarz redakcji lubelskiego kwartalnika „Akcent”. Michalski, mówiąc z uznaniem o twórczości poetyckiej trójki, jakby na dowód tego wspominał, że wszyscy zostali przyjęci do ZLP jednogłośnie, choć komisja zawsze jest wiece krytyczna w stosunku do kandydatów.

Swoją poezję omówili również sami autorzy, pani Irena, jak zawsze, niezwykle ciepło mówiła o własnych doświadczeniach życiowych i ich wpływie na twórczość. Przedstawiła też tomiki córki Katarzyny, nieobecnej na spotkaniu, ponieważ na stałe mieszka w USA. Z kolei pan Mirosław, znany z ogromnej erudycji, dał próbkę swej poezji jakże pełnej symboliki i paradoksów. Poezja płynęła z ust nie tylko samych autorów, ale również interpretowana była przez Paulinę Prokopiuk i Agatę Kawę z Młodzieżowego Domu Kultury w Krasnymstawie, pracujące pod kierunkiem Janiny Młynek.

O popularności poetyckiego pióra państwa Iwańczyków świadczy również to, iż licznie przybyli goście wykupili wszystkie egzemplarze przygotowanych na promocję tomików.

Artur Borzęcki

Mirosław Iwańczyk



Giorgione koncert

Oto jesteś bóstwem
w kołowrocie wcieleń,
płyniesz konchą
na astralną wyspę,
na syryndze Dafnis
tworzy melodyjny fresk,
a Giorgione pieści lutnię.
Płyną kształtne frazy,
barwne tony
w akordy się spletają,
w elipsy się łączą.
Wiolonczela pulsuje
aksamitnym ornamentem,
Madonna ze szczygłem
światłocieniem Iłni.
Mona Lisa
tańczące Eurydyki ogląda,
patrzy tajemniczo w zmierzch.
Diana zamyślona,
zаслuchana w Orfeusza harfę,
wtapia się w Giorgione koncert.

Koleją do literatury

Autor listu jaki otrzymaliśmy przed miesiącem pochodzi z Krasnegostawu i jest blisko spokrewniony z braćmi Waręckimi - bohaterami ruchu oporu na rzecz wolnej Polski. Ich losy opisywaliśmy w numerze 3(9)2009. Niedługo po publikacji skontaktował się z nami Mieczysław Waręcki. Starał się wówczas o przywrócenie połączeń kolejowych przez Krasnystaw m.in. na trasie Rejowiec-Zamość. Popieraliśmy i my tę inicjatywę. I warto było, ponieważ dzisiaj przez Krasnystaw kursuje już tzw. szynobus.

Mieczysław Waręcki przypomina, że pierwsze odcinki drogi żelaznej w Polsce oddano do eksploatacji dnia 14 czerwca 1845 roku i nazwano Koleją Warszawsko-Wiedeńską. W br. minęła 166 rocznica istnienia kolei na ziemiach polskich. Do niedawnych czasów transport kolejowy, czyli przewóz osób i towarów, był wiodącym w kraju. W czasie wojen światowych kolej nawet rozbudowywano i militaryzowano, nazywano ją wówczas drugą armią. Dzisiaj rząd prywatyzuje kolej. Powstają spółki. Zlikwidowano wiele pociągów regionalnych. Tworzy się Koleje Mazowieckie, Pomorskie, Śląskie, a nie ma tej jednej - Polskiej, jaka była przed podziałem.

Mieczysław Waręcki uważa, że kolej jest celowo niszczone - jak inne gałęzie gospodarki. Zamykane są stacje kolejowe, przystanki, a przy nich budynki dworcowe - poczekalnie, kasy biletowe, nastawnie. Podróżni, oczekując na pociąg, stoją na peronach, często bez wiat, ławek i toalet. Nieczynne obiekty PKP są dewastowane przez wandalów i złodziei, a SOK - nieliczna i niewidoczna policja kolejowa jest bezradna. Jako Przewodniczący Komisji Koordynacyjnej Emerytów i Rencistów PKP przy Sekcji Krajowej Kolejarzy NSZZ „Solidarność” żąda także pozostawienia na dotychczasowych zasadach ulg przejazdowych dla emerytów i rencistów, oraz równego ich traktowania z pracownikami we wszystkich spółkach PKP.

Temat ten podnosimy w czasopiśmie artystycznym z przeświadczeniem jak ważną rolę twórczej kreacji pełnią pociągi dla wielu poetów i pisarzy, a nawet filmowców - chociażby dla Stachury, Cybulskiego, Kawalerowicza, Stasiuka i innych. Dużo na temat ich wpływu na twórczość mógłby także powiedzieć krasnostawianin, poeta Jan Henryk Cichosz zamieszkały tuż przy trakcji kolejowej.

Redakcja

Ewa Magdziarz

Filmowe podróże MDKF „Iluzjon”



„Iluzjon” na planie serialu „Plebania”

Dzięki współpracy władz miasta Krasnegostawu z producentami „Plebani”, młodzież z II LO im. C. K. Norwida mogła uczestniczyć w pracy na



MDKF na planie serialu Plebania

planie filmowym serialu. Na zaproszenie Justyny Ganczarek-Jach, koordynującej działania sponsorujące związane z produkcją telenoweli „Plebania”, 11 czerwca MDKF zorganizował wyjazd do Warszawy. 18 licealistów z kl. I A, I D, II A, II C i II E wcieliło się w role statystów na planie serialu. Zdjęcia kręcone były w Gimnazjum z Oddziałami Integracyjnymi nr 126 w Warszawie-Rembertowie. Naszą grupą po przyjeździe zajął się Marcin Sawczuk - kierownik planu. Odcinki 1730-1734, które były emitowane od 2 do 16 września, reżyserował Marek Lechki. Na korytarzu szkolnym kręcone były trzy sceny, więc młodzież pracowała grupami, razem z aktorami. Rolę dyrektora szkoły grała Anna Opatowska. W role uczniów wcielili się: Olga Kalicka (Kasia), Marianna Januszewicz (Anita), Józef Grzymała (Bartek) i Piotr Witkowski (Szymon). Praca na planie była świetnie zorganizowana. Każdy wiedział, co ma robić, a mimo to niektóre ujęcia były powtarzane po kilka razy, aby osiągnąć jak najlepszy efekt. Uczniowie pracujący jako statyści przekonali się, że praca na planie filmowym jest ciekawa, ale także wymaga wiele cierpliwości.

Po zakończeniu zdjęć w szkole w Rembertowie, pojechaliśmy do Warszawy na ul. Do-

minikańską, gdzie znajduje się hala zdjęciowa. Młodzież mogła obejrzeć plebanię, mieszkanie Tracza, mieszkanie Jagny czy kuchnię babci Józki. Szczegóły dotyczące scenografii w hali zdjęciowej wyjaśniał Paweł Hegeman, który jest kierownikiem produkcji. Młodzież zrobiła wiele pamiątkowych zdjęć, które jednak mogą być wykorzystane tylko do prywatnego użytku.

Wycieczka na plan serialu „Plebania” była naszą pierwszą wizytą na planie z prawdziwego zdarzenia. Z uwagą śledziliśmy pracę ekipy filmowej, ponieważ sami 27 czerwca zaczynamy zdjęcia do filmu, który będzie realizowany przez MDKF. Od ekipy filmowej dowiedzieliśmy się, że 12 czerwca były kręcone zdjęcia Krasnegostawu z pokładu samolotu. Nic dziwnego, że Krasnystaw znalazł się w czołówce serialu „Plebania”. Piękniejsze zdjęcia panoramy małego miasta naprawdę trudno byłoby znaleźć!

„Iluzjon” na II Festiwalu Filmoteki Szkolnej

II Festiwal Filmoteki Szkolnej odbył się w Warszawie w dniach 13-14 czerwca 2011 r. Spotkanie to było podsumowaniem całorocznej pracy szkół, które brały udział w projekcie „Filmoteka Szkolna. Akcja!”. Organizatorami festiwalu byli Polski Instytut Sztuki Filmowej, Centrum Edukacji Obywatelskiej i Warszawska Szkoła Filmowa. Na festiwal przyjechali uczniowie i nauczyciele z 40 szkół z całej Polski.

Pierwszego dnia uczestnicy zwiedzali Wytwórnię Filmów Dokumentalnych i Fabularnych, Archiwum Filmoteki Narodowej, Studio New Born, TPS Studio Filmowe, The Chimney Pot, Warszawską Szkołę Filmową i Studio Miniatur Filmowych. Wieczorem odbyły się warsztaty integracyjne dla nauczycieli i uczniów. Warsztaty były okazją do wymiany doświadczeń i podzielenia się uwagami na temat projektu „Filmoteka Szkolna”. Późnym wieczorem odbył się konkurs filmowy, w którym członkowie MDKF „Iluzjon” zajęli drugie miejsce. Wieczór filmowy zakończyły projekcje filmów uczniowskich połączone z dyskusją. Projekcje odbywały się w dwóch salach. Uczestnicy festiwalu mogli obejrzeć m.in. filmik „CKN News” z warsztatów filmowych „Amator 2010” organizowanych przez MDKF „Iluzjon”.

Drugiego dnia odbyły się Targi Szkolnych Projektów Filmowych w Warszawskiej Szkole Filmowej. Uroczyste otwarcie zaczęło się od wystąpienia Anny Rogowskiej-Sienkiewicz, kierownika Działu Upowszechniania Kultury Filmowej i Promocji w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej. Następnie głos zabrał Maciej Ślesicki, reżyser i współzałożyciel WSF. Tę część uroczystości zakończyło wystąpienie Alicji Pacewicz, dyrektora ds. programowych i wydawnictw w Centrum Edukacji Obywatelskiej.



II Festiwal Filmoteki Szkolnej w Warszawie

Następnie odbyły się projekcje filmów zrealizowanych przez młodzież w ramach „Filmoteki Szkolnej. Akcja!”. Kolejny punkt programu to Targi Szkolnych Projektów Filmowych. Czteruosobowe reprezentacje (3 uczniów i nauczyciel) ze szkół miały możliwość przedstawić swoje działania: filmy, plakaty, fotorelacje, reportaże z wydarzeń organizowanych w szkołach. Ekspersi, którzy rozmawiali z uczestnikami festiwalu, to: Jowita Budnik, Katarzyna Trzaska, Anna Wydra, Igor Chojna, Marcin Latało, Andrzej Mastalerz, Joanna Kaczmarek, Paweł Sala i Kamil Minkner. Niespodzianką dla uczestników festiwalu było pojawienie się gości z zagranicy - nauczycieli z RPA, Stanów Zjednoczonych, Maroka i Ukrainy. Goście z zainteresowaniem obserwowali filmowe projekty polskich uczniów. Uroczystość prowadził aktor Grzegorz Emanuel znany uczniom z Krasnegostawu, gdyż był już na warsztatach w II LO 27 maja tego roku. Od 27 czerwca do 3 lipca pracował z uczniami w Krasnymstawie w ramach letniego projektu MDKF-u „Kręcmy film!”.

Na zakończenie festiwalu uczestnikom wręczono dyplomy i ciekawe wydawnictwa związane z filmem. II Festiwal Filmoteki Szkolnej dobiegł ko-

ca, ale mamy nadzieję, że za rok pasjonaci X Muzy znów spotkają się w Warszawie.

MDKF na 12. LAF w Zwierzyńcu

Dzięki współpracy MDKF-u z Piotrem Kotowskim - wiceprzewodniczącym Polskiej Federacji DKF - od 2001 r. laureaci konkursu filmowego otrzymują akredytacje na Letnią Akademię Filmową. W 12. LAF uczestniczyły uczennice z II LO Magdalena Krupa i Aneta Tarnogórska - laureatki IX Powiatowego Konkursu Filmowego organizowanego przez Młodzieżowy Dyskusyjny Klub Filmowy „Iluzjon”. Pobyt trzech uczennic z II LO został sfinansowany ze środków Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej w ramach zadania Edukacja filmowa prowadzona przez MDKF „Iluzjon”.



Na 12. LAF przyjechała liczna grupa młodzieży z Krasnegostawu

Letnia Akademia Filmowa trwała od 5 do 15 sierpnia. Po raz dwunasty do Zwierzyńca licznie przybyli miłośnicy X Muzy z Polski i z zagranicy m.in. z Rosji, Ukrainy i Litwy. Program Letniej Akademii Filmowej, jak co roku, był niezwykle bogaty. Około 350 filmów wyświetlanych w czterech kinach podzielono na cykle m.in. „Karawana z Maghrebu”, „Syberyjskie klimaty”, „Retrospektywa Siergieja Sołowjowa”, „Zaproszenie na ślub i wesele” czy „Rozmowy o jesieni życia”.

Niezapomnianym przeżyciem okazało się spotkanie z kinematografią północnej Afryki. „Czarna Wenus” A. Kechiche, „Ponad prawem” R. Bouchareba czy „Wielka podróż” I. Ferroukhi to filmy, które długo się pamięta, ponieważ ukazują świat egzotyczny dla Europejczyków.

Niezwykłym wydarzeniem była retrospektywa Siergieja Sołowjowa i spotkanie autorskie z reżyserem. Warto wymienić te najbardziej znane filmy rosyjskiego reżysera, które są pokazywane na wielu przeglądach za granicą: „Assa”, „Assa-2” czy „Anna Karenina”. Rosyjskie kino było pokazywane także w cyklu „Syberyjskie klimaty”. Na uwagę zasługuje film z 2011 r. „Syberia, Monamour” w reż. S. Rossa ukazujący tę dziką a jednocześnie piękną krainę jako miejsce przekłętą.

Bardzo ciekawy cykl „Podglądamy Europę” zawierał m.in. filmy rumuńskie (np. „Filantropia” N. Caranfila, „California Dreamin” C. Nemescu czy wstrząsający dokument „Dzieci z dekretu” F. Iepana, R. Georgescu), które można było obejrzeć także w KDK od kwietnia do czerwca 2011 r.

Trudno nie wspomnieć o cyklu „Filmy w sieci” prezentującym program kin należących do Sieci Kin Studyjnych i Lokalnych. „Flamenco, flamenco” C. Saury, „Jaskinia zapomnianych snów” W. Herzoga, „Hej, skarbie” L. Danielsa czy „Cyrk Columbia” D. Tanovica to tylko niektóre obrazy z tego cyklu, które warto obejrzeć.

Ciekawe propozycje, które znalazły się w „Klubowym karnecie” to: „Bobasy” T. Balmesa, „Nieściszałni” J. Stjerne, O. Simonssona czy „Poznasz przystojnego bruneta” W. Allena.

Na koniec kilka rodzimych propozycji prezentowanych w cyklu „W polskim obiektywie”: „Kret” R. Lewandowskiego, „Lincz” K. Łukaszewicza czy „Księstwo” A. Barańskiego. Rozwój kinematografii polskiej zmierza niewątpliwie w dobrym kierunku, ale powstają także takie filmy, jak „Z miłości” A. Jadowskiej, które wzbudzają wiele kontrowersji.

Program LAF-u to nie tylko filmy, ale także spektakle teatralne, koncerty i warsztaty. Biorąc pod uwagę tylko wymienione przeze mnie propozycje, trudno się dziwić, że na LAF przyjeżdża wielu kinomanów. Nie sposób opisać wszystkich ciekawych wydarzeń 12. Akademii, dlatego warto zajrzeć na stronę internetową LAF-u. Kolejna edycja Akademii dopiero za rok, ale lafowicze już z niecierpliwością czekają na 13. spotkanie z X Muzą w urokliwym Zwierzyńcu.

*Ewa Magdziarz
opiekun MDKF „Iluzjon”*

Henryk Radej



Po seansie kinowym „Uwikłania” Jacka Bromskiego (Polska, 2010), długo siedzę na parkingu w aucie i boję się przekręcić kluczyk. A jak wybuchnie??? Licho wie... lichu nie śpi, zło dawno się rozlało i... gdzieś wsiąkło. Ten film uświadomił mi na nowo, że to złudzenie, że zło nadal jest, tylko niewidoczne. Mój strach mocno spóźniony o jakieś 10-15 lat. Podobnie jak ten film, który powinien powstać jeszcze na przełomie wieków. Ale wtedy Bromski mnożył dość zgrabne komedie pod tytułem „U Pana Boga za piecem”, „...w ogródku”, „...za miedzą”. Czasem porzucał sielsko-plebejski klimat Królowego Mostu i jego podlaskich bohaterów, aby wyprodukować coś poważniejszego. Wtedy powstały: „To ja, złodziej” (2000), „Kariera Nikosia Dyzmy” (2002), „Kochankowie Roku Tygrysa” (2004).

„Mniej wiesz, dłużej żyjesz” - takim mottem można opatrzyć „Uwikłanie”, w którym reżyser porusza omijany dotychczas temat lustracji i nierozliczonych tajemnic PRL-u. Kim są dziś, z czego żyją i co robią ci, którzy kilkadziesiąt lat temu aktywnie współtworzyli w Polsce aparat represji, popularnie zwany Służbą Bezpieczeństwa? Któż nie pamięta tych smutnych przystojniaków odwiedzających wówczas zakłady pracy, rozsyłających wezwania na komendę MO „w sprawie urzędowej”. A potem to namawianie, kuszenie zagranicznymi podróżami, paszportem, byle tylko podpisać, a potem „coś” napisać. Przecież nie wyparowali wraz z tzw. transformacją ustrojową! Oficjalne źródła podają, że w 1989 roku w SB pracowało jeszcze ok. 25 tys. takowych funkcjonariuszy. Współpracowało z nimi ok. 100 tys. agentów. Tuż przed zmianami ustrojowymi sprytny minister K. (którego nazwiska nie wymienię) wiadomego resortu ponad 5 tys. esbeków przeniósł do pracy w milicji. Drugie tyle zrezygnowało z pracy, czując że to już nie dla nich ta robota. Na 14 tys. poddanych weryfikacji, ok. 10 tys. przeszło ją pozytywnie i pozostało w UOP lub policji. Ok. 2 tys. odrzuconych podczas weryfikacji skutecznie odwołało się do komisji centralnej i

wróciło do pracy pod nową władzą. Reszta założyła własne firmy - najczęściej ochroniarskie lub detektywistyczne. Ilu z nich posiada słynne „teczki” i „szafy” pełne dokumentów i haków na rządzących? O tym też jest film Bromskiego.

„Czasami cena poznania prawdy jest zbyt wysoka” - mówi filmowy pracownik IPN-u, co dziwi samą prokurator - główną bohaterkę. Ona jest tu przecież po to, żeby prawdę wyjawiać. Ale gdy macki dawnej esbecji sięgają jej domu i dziecka, tchórzy, wycofuje się i zamyka śledztwo. Zdaje sobie sprawę, że przez przypadek „dotknęła świata, którego nie należy dotykać” - jak uświadamia jej wprost jeden z bonzów tajnych służb. Przedstawiciel prawa IV RP - (bo rzecz dzieje się tu i teraz, czyli w Krakowie) - dochodzi do wniosku, że „oni mogą wszystko”. Nawet po 20 latach pozornego oddania władzy. Oni mogą być (są!?) wszędzie. Panią prokurator strach paraliżuje. Jednak bywają też tacy, których mobilizuje i dodaje adrenaliny.

Jeśli słyszę, jak po premierze „Uwikłania” Michnik autorytarnie duka, że słabością tego filmu jest PiS-owska teza, jakoby nieszczęściem dzisiejszej Polski były ukryte wpływy mafii ubecko-komunistycznej i on pogląd ten uważa za całkowicie nieprawdziwy i mącający ludziom w głowach, to ja tym bardziej uważam, że Bromski wstrzelił się w sedno tematu i z tego względu film ten długo nie pożyje w kinach. Po co niby miałby mącić ludziom w głowach? Lepiej niech mąca: Conan Barbarzyńca, Harry Potter i... Woody Allen. Akurat filmy tego ostatniego mącać mnie całkiem przyjemnie.

Henryk Radej



„Uwikłanie” - reżyseria: Jacek Bromski, Polska, 2010. Występują: Piotr Adamczyk, Marek Bukowski, Maja Ostaszewska, Krzysztof Pieczyński, Andrzej Seweryn, Danuta Stenka. Czas trwania 128 min.

Krzysztof Kulig

Z podróży do raju (II)



Lśniącobiały autobus, prowadzony przez kierowcę w śnieżnobiałej koszuli podjechał pod peron dworca autobusowego w Granadzie. To dodatkowy autobus odjeżdżający do Madrytu ze względu na to, że pasażerów było więcej niż miejsc w kursowym autobusie tego dnia. My też, jak zapewne wielu z towarzyszy tej podróży, poprzedniego wieczora bezskutecznie próbowaliśmy kupić bilety do Madrytu w Internecie. Jednak ktoś tam, po drugiej stronie tego „magicznego pudełka” czuwał i postanowił o tym dodatkowym kursie, bo komputer nie tylko jest zwykłą, bezduszną maszynką do sprzedawania biletów. Takie to proste. Kierowca z uśmiechem otwiera luk bagażowy i umieszcza w nim bagaże podróżnych. Wsiadamy do przestronnego wnętrza. Fotele są skórzane i wielkie. W jednym rzędzie stoi ich tylko trzy. Przypominają mi się, z łezką w oku, dawne czasy i nasze pocziwe jelcze zwane „ogórkami”, z wielką maską silnika pomiędzy siedzeniem kierowcy i konduktora; pamiętam jak bardzo chciałem tam siedzieć przy samej szybie, będąc dzieckiem. Wtedy nie było nawet tzw. „lotniczych siedzeń”. Ot, zwykła ławka pokryta dermą. A tu, przy każdym siedzeniu słuchawki z muzyką do wyboru, u góry telewizor z kolorowym filmem oraz klimatyzacja, nieodzowny element w tym klimacie latem.

Do Madrytu jest 420 kilometrów. Będziemy tam ok. 15, bo autobus zatrzyma się tylko raz, na 40 minut, w połowie drogi, przy motelu, by podróżni mogli zjeść obiad (niestety obiad nie jest wliczony w cenę podróży) i odpocząć. Ada przez całą drogę płacze. Zapewne dlatego, że musi wyjechać z raju, a może dlatego, że żegna się z ukochaną starszą siostrą. Wszystko przez te kobiety (Adam też musiał opuścić raj z powodu Ewy). Zawsze pragną zbyt wiele. Już Freud pisał, że na drzewie w rajcie nie rosły jabłka - tylko pieniądze, a Ewa namawiała Adama, by je zerwał. Ba, gdy jej nie słuchał, wmawiała mu, że on to taki „ciepły kluch” i tylko słucha „szefa” („- A postaw się z raz, pokaż, żeś jest facetem z jajami!”). Może miał dość tego

codziennego gderania, typu „pokaż wreszcie, że nosisz spodnie” (w rajcie chodzili nago!) i zerwał? Od tamtej pory dla kobiet już tylko liczą się pieniądze (Ada chyba nie płacze, że przejazd jest za drogi?). Podróż w tym luksusie kosztuje 16 euro. Dużo? Wartość godziny pracy za 420 km. U nas za godzinę pracy możesz przejechać się busem - bez „klimy” - z Chełma do Lublina, balansując na granicy bezpieczeństwa, gdy kierowca wyprzedza na trzeciego, a w obszarze zabudowanym pędzi setką, bo w CB-radio powiedzą, gdzie stoją policjanci z „suszareczką”.



Dojeżdżamy do Madrytu. Wsiadamy do metra, trzeciego w Europie, po tych w Londynie i Paryżu. Po kilku przesiadkach jesteśmy na Gran Vía - to jedna z ważniejszych ulic Madrytu. Jest uznawana za jedną z najbardziej reprezentacyjnych ulic stolicy Hiszpanii. To taki madrycki Broadway. Pełno tu kin, teatrów, dobrych restauracji, hoteli, markowych sklepów, no i oczywiście turystów. Gran Vía jest jednym wielkim zabytkiem, pomimo że większość budynków pochodzi z przełomu XIX i XX wieku, kiedy to postanowiono przebudować centrum Madrytu i stworzyć wygodną arterię łączącą Plaza de Cibeles i Plaza España. To tu w 1929 roku wybudowano pierwszy w Madrycie drapacz chmur, budynek Telefoniki. Gdzieś tu, w bocznej uliczce mamy zarezerwowany pokój w pensjona-

cie, też za 16 euro od łóżka (dlaczego nie 15,99? - rozmyślałam przyzwyczajony do cen w polskich marketach - dlatego, że oni tu żyją prościej?).

Gorący wieczór wchodzi nam do pokoju bez zaproszenia. Nie będziemy tu siedzieć. Ruszamy na miasto. Jeśli skrócimy w prawo dojdziemy do placu Hiszpanii, na którym stoi słynny pomnik błędnego rycerza i jego giermka. A stamtąd już blisko do pałacu królewskiego z pięknymi ogrodami. Odpoczywamy na skwerze, posilając się ciastem i sangrią. Policjantka patrolująca na koniu uliczki okalające pałac przejeżdża obok z uśmiechem. Czy poznała, że jesteśmy tymi „nowymi turystami” ze Wschodu, co to nie mają na porządną posiłek w restauracji?



Dawno, dawno temu, gdy Berlin dzielił się na Zachodni i „wschodni”, pojechałem z kolegą Jarkiem zawieźć Niemcom trochę papierosów i dobrej polskiej wódki w zamian za możliwość zakupu (za ciężko zarobioną twardą walutę) walkmanów (taki tam minimagnetofon ze słuchawkami - to informacja dla tych, którzy są rówieśnikami mojej młodszej córki) i sprzedania ich z zyskiem (ok. 500-procentowym!) w kraju nad Wisłą. Pomimo tego, że podróż trwała 26 godzin (a do Berlina jest ok. 500 km z Warszawy) w samym Berlinie wybraliśmy tańszy środek lokomocji niż metro - własne nogi. Idziemy tedy szybkim marszem

przez Berlin, objuczeni tobołami i nagle, w samym centrum zgnitego Zachodu, nieopodal słynnego dworca ZOO, słyszymy swojską mowę: „Rodacy, poczęstujcie papierosem”. Pytam więc mego kompana, bardziej obeznanego w temacie podróży, skąd ów pobratymiec wiedział, że my jego rodacy? „A któż by tu nosił torby na piechotę” - odpowiedział Jarek. Od tamtych czasów zostałem mi taki turystyczny nawyk: lubię czasem podróżować „na Polaka” - bez zbędnych luksusów, a gdy łapie mnie policja i chce ukarać mandatem, to wtedy „biorę ich na Rumuna” (i tu wspomnienie z podróży fiatem punto do Wiednia, bez winiety na autostrady: Ada miała wtedy ze trzy lata i robiła za głodne, chore i płaczliwe dziecko, gdy starałem się wyłgać od mandatu 150 koron (majątek!) - i udało się). A z tamtymi policjantami, przyzwyczajonymi do niemieckiego przecież porządku, udawało się nielicznym. Ale - dość wspomnień.

Ruszamy dalej w kierunku Plaza Mayor z charakterystyczną kamienicą, na ścianach której wymalowano oblicza diabła. Ciekawe, że wszystkie diablątka są rodzaju żeńskiego. Nie jestem przeciwnikiem tej płci, ale coś w tym jest. Znowu przypominają się sceny z biblijnego raju - Adam i jego gderliwa Ewa, jakże podobna do wizerunku z kamienicy. Dalej jest słynna Puerta del Sol, skąd blisko do Gran Vía i naszego pokoiku.

Nazajutrz ruszamy w lewo, dochodząc do Plaza de Cibeles skręcamy w szeroką, pełną zieleni aleję Prado. Kolejka do słynnego muzeum ciągnie się na kilkanaście metrów, więc pozdrawiamy Goyę na pomniku przed budynkiem i ruszamy dalej. By zwiedzić muzeum, potrzebujemy więcej czasu. Może w Renia Sofia będzie mniej ludzi? Niestety, w czwartki jest nieczynne. Ada chce koniecznie zobaczyć ulicę Atocha, którą zna tylko ze zdjęć satelitarnych w Internecie. To na tej ulicy umieściła akcję swojego opowiadania. Cieszy się jak dziecko, gdy spostrzega dom znany jej z „sieci”, restaurację po drugiej stronie ulicy, w której spotykają się na randki „jej” bohaterowie, a w której my, w znanej z jej opowiadania atmosferze, postanawiamy zjeść obiad i pogadać na temat ciągu dalszego opowiadania. Obiad smakuje wybornie, a zimne piwo wywołuje stan błogiego spokoju. Mamy zbyt mało czasu, by drzemać w chłodnej knajpce.

Ruszamy dalej do zabytkowego dworca Atocha. To największy dworzec Madrytu. Zbudowany został w 1851 roku i wkrótce po otwarciu spłonął. Odbudowano go dopiero po czterdziestu latach. Wielka, stalowa konstrukcja dachu, wypełniona szkłem, projektowana przy współpracy słynnego konstruktora paryskiej wieży Eiffla - kryje w sobie olbrzymi zielony ogród. Ta budowla przypomina wielkie londyńskie dworce: St. Pancras, Victoria, London Bridge, Liverpool Street, Charing Cross wybudowane zapewne w tym samym czasie. U nas może tylko dworzec we Wrocławiu jest nieco podobny, choć dużo mniejszy od tamtych kolosów. To właśnie tu, na Atocha, 11 marca 2004 roku doszło do serii wybuchów terrorystycznych, w których życie straciło 191 osób. Tamten dramat upamiętnia pomnik poświęcony ofiarom i las oliwnych drzewek i cyprysów symbolizujących ofiary, otoczonych wodą jako symbolem życia.



Wracając bocznymi uliczkami, poznajemy inny Madryt, cichy i senny. Szkoda, że nie możemy spędzić tu jeszcze kilku dni. Nasz samolot odlatuje o 21. Gdy schodzimy do metra, czeka nas niemiła niespodzianka - strajk. Wszystkie linie metra są zablokowane, a my wiemy jak dojechać na lotnisko tylko metrem. W nasze poczynania wkrada się odrobina nerwowości. A jak nie zdążymy? Ada mówi po hiszpańsku, ja próbuję swych sił w angielskim.

Na szczęście Hiszpanie mówią po angielsku tak jak ja - powoli - więc mogę ich zrozumieć. Przypomina mi się dowcip o tym, jak milicjant pisał list do swojego kolegi - też milicjanta - zaczynając od zdania: „Piszę do ciebie powoli, bo wiem, że ty powoli czytasz”. Odnajdujemy przystanek i numer autobusu miejskiego, który ma nas zawieźć na stację przesiadkową, a stamtąd już prosto na lotnisko. Sęk w tym, że wszyscy naraz korzystają z komunikacji autobusowej - a jest szczyt, bo ludzie właśnie wyszli z pracy. Autobusy są zatłoczone jak w Polsce w epoce wczesnego Gierka. Trzeba mieć polskie cwaniactwo i przebiegłość, by udało się dostać do środka. Tu wszyscy karnie stoją w kilometrowym ogonku, czekając na swoją kolej. My musimy wsiadać bez kolejki, środkowymi drzwiami służącymi tu do wysiadania. Siłą rzeczy, jedziemy na gapę. Na szczęście lotnisko jest klimatyzowane i przestronne, można odpocząć po wszystkich przygodach (na zewnątrz 36 stopni w cieniu!). Wznosimy się w górę. Pod nami zostaje raj, pełen przyjaznych ludzi, słońca i kolorów. Gdzieś daleko, na odległym horyzoncie zachodzi słońce. Mami nas swoją czerwienią przez godzinę.

W Katowicach lądujemy o północy. Musimy dotrzeć do centrum miasta. Na szczęście zdążyliśmy na ostatni autobus. I znów reminiscencje z dawnych czasów; scena z filmu Barei, gdy Nalberczak opowiada o swojej drodze do pracy, cytując z zachowaniem oryginału:

- *Ja to, proszę pana, mam bardzo dobre połączenie. Wstaję za piętnaście trzecia. Latem to już widno. Golę się wieczorem. Śniadanie jem na kolację. Wstaję i wychodzę.*

- *No i ubierasz się pan.*

- *W płaszcz. Jak pada. Opłaca mi się rozbiierać po śniadaniu.*

- *A, fakt.*

- *Do pekaesu mam pięć kilometry. O czwartej za piętnaście jest pekaes.*

- *I zdanza pan?*

- *Nie. Ale i tak mam dobrze, bo jest przepełniony i nie zatrzymuje się. Przystanek idę do mleczarni, to jest godzinka, potem szybko wiozę mnie do Szymanowa. Mleko - widzi pan - ma najlepszy transport. Inaczej się zsiada. W Szymanowie zsiadam, znoszę bańki i łapię EKD. Na Ochocie w elektryczny do stadionu, a potem to już mam*

z górki. Bo tak - w 119, przesiadka w 13, przesiadka w 345 i jestem w domu - znaczy w robocie. I jest za piętnaście siódma, to jeszcze mam kwadrans.

Więc „zdanżamy” na ostatni autobus. Jest krótko po północy. Podróż z lotniska do miasta kosztuje aż 40 złotych. A na Zachodzie „tylko 4 euro”. Ale i u nas się zmienia. Kierowca zagadnięty o ulicę, na której znajduje się nasz hostel, z uśmiechem daje nam plan miasta i zaznacza drogę, którą musimy pokonać. A jednak można i u nas. Recepcjonistka w hostelu, też miła, częstuje herbatą mimo późnej pory. Można? „Jem śniadanie, golę się i idę spać”. Zасыpiam błogo i zamiast raj u śni mi się lotnisko w Lublinie i tanie linie, które mogłyby zabrać mnie znów do Hiszpanii - za 96 zł do Madrytu i 152 zł do Malagi. Nie musiałbym wtedy „jeść śniadania na kolację” a i „połączenie miałbym bardzo dobre”. Mam nadzieję, że sny się spełniają, więc w roku 2013, gdy lotnisko będzie funkcjonować, znów polecę do raj, a potem wszystko Wam opiszę.



Tymczasem budzę się za piętnaście piąta i na szóstą jesteśmy na pekaesie. „Zdanżamy” i wracamy do Lublina. Wszystko co dobre musi się kiedyś skończyć. Raj też, choć laureat nagrody Nobla, Mario Vargas-Llosa, twierdzi, że „raj jest tuż za rogiem”, czego sobie i Czytelnikom „Nestora” życzę.

Krzysztof Kulig

PS. A symbolem świdnickiego lotniska został susał ze śmigłem, jak przepowiedziałem w poprzednim odcinku. Niech dobrze kręci tym śmigłem!

Henryk Radej

na moim Rostoczu



zakręciło ziołami
zakłuło żniwną słomą
zazgrzytało kurzem
między zębami -
i z pieca na łeb!

zbożnym wozem po skrzypie
po krwawniku
po nawłoci
po dziurawcu co krwawi
po mlecznym podbiele
aż przytulia chwytą
za nogi
rzepik ściąga odzienię
tasznik jęczy i męczy
a żywokost prostuje
kości i śmieje się
dziewanna

i jesteśmy na dole

teraz można usiąść
na czapce
na babce
dmuchnąć dmuchawcem
wierzbownicy w oczy
i odkryć gwiazdozbiór
mdłego różu tysięcznika
a pod stopą ślaz zaniedbany
na gardło
i lebiodka miodna
na serce

mieszą się zapachy
w leszczynie dźwięczą
dzwonki orzechów
na pogodę
na przyszłość
na radość urodzajną
hosanna!

Zagroble, 1992

Henryk Radej



Rodzinne manowce

Wyjątkowo piękny był koniec tegorocznego lata i początek jesieni, zwłaszcza na moim Roztoczu. Opadów niewiele, wręcz sucho, a słońca zapewne tyle co na francuskim Wybrzeżu Lazurowym. Do jakiegokolwiek morza od nas daleko, ale jesienne niebo na Roztoczu przypomina niekiedy to śródziemnomorskie - bezchmurne, bezkresne i głęboko błękitne. A najpiękniejsze widoki - w niedzielne popołudnia, z okolicznych wzniesień pomiędzy Zagrobem a Gródkami w gminie Turobin.

W słoneczną niedzielę tegorocznej jesieni ruszam pieszo na podbój dobrze znanej mi okolicy. Ze wzgórz pomiędzy cmentarzem parafialnym a Dołami i Kołatajką podziwiam panoramę Padołu Zamojskiego z Doliną Poru i rozległy widok na okoliczne wsie. Czyste powietrze pozwala mi dostrzec gołym okiem wieżę radiowo-telewizyjną w Bożym Darze, oddaloną o ok. 30 km. Bliżej rozłożyły się zabudowania Guzówki i Elizówki; Turobin jak na dłoni z całą swoją topografią ukrytą w dużej części pośród dorodnej jeszcze zieleni. Dalej na wschodzie ciągnie się Żabno i jego Kolonia, a nieco wyżej widnieje kawałek Chłaniówka. Niżej - Przedmieście Szczepieszyńskie (choć do Szczepieszyna 25 km!), potem część Czernięcina, Gruszki Zaporskiej i... okoliczne drzewa nie pozwalają już dostrzec klasztoru w Radecznicy. Jeszcze dalej, już za horyzontem, w odległości ok. 35 km leży Krasnystaw, którego władza powiatowa sięgała tu od czasów historycznej Rusi Czerwonej przez prawie sześć wieków. Od stycznia 1999 roku moja gmina Turobin znalazła się w obszarze powiatu biłgorajskiego. I nie potrzeba samolotu ani innej lotni, aby tyle kilometrów przestrzeni ogarnąć jednym spojrzeniem. Cudne widoki, cudne manowce, przecudna kraina, jakiej nie znajdziemy gdzie indziej na świecie!

Oprócz niewątpliwego piękna, roztoczańskie wzgórza nie zawsze niosą radość, zwłaszcza gdy trzeba na nich uprawiać pola, zmagać się z upałem i lessowym kurzem podczas żniw. Jednak ich urok zawsze jest jakimś pocieszeniem

i wytchnieniem dla oczu i duszy. Teraz rolnikom jest o wiele łatwiej, niż naszym przodkom z kosą na ramieniu i pługiem ciągniętym przez konia. Jednak ekonomia ma swoje prawa i w unijnych realiach nie opłaca się nawet traktorem i kombajnem obrabiać rodzinnych włości. Stąd też wiele pól zamieniło się w ugory lub rośnie na nich młody las. Wiele ścieżek polnych i dróg, które pamiętam z młodości, przestało istnieć i trzeba przedzierać się przez zarośla. Natura bierze górę nad kulturą rolną. Przyroda odzyskuje swą moc.

A pod nogami - apteka Pana Boga! Gdyby tak zabawić się w zielarza, można zbierać obfity zielnik leczniczych ziół, o których coś mi wiadomo. Reszta, nierozpoznana czeka na odkrycie. Okolice czysta ekologicznie, wręcz organicznie uformowana zachęca do skorzystania z tej darmowej apteki. Te pola ugory dawno nie doświadczyły już żadnego nawożenia, pestycydów, oprysków i same odnawiają corocznie swoją naturalną szatę roślinną i zwierzęcy mikrokosmos. Ale, czy to aby nie regres naszej cywilizacji? Pola leżą odłogiem, a naukowcy kombinują, jak uzyskać najwięcej plonów z upraw roślin genetycznie zmodyfikowanych. Supermarkety karmią nas za ciężkie pieniądze żywnością przetworzoną, o podejrzanym pochodzeniu, a my tęsknimy do naturalnych smaków i zapachu chleba z czasów naszych babć, do naturalnego masła, wędlin pachnących na odległość, bez wspomagaczy i konserwantów. Tylko jak okiem sięgnąć, w całej okolicy nie ma już ani jednego konia; może znalazłoby się kilka krów hodowanych na własny użytek. Obory stoją puste, łąki niekoszone, bo i siano niepotrzebne.

Przemierzam Psie Doły i Średnią Górę, wchodzę w Średni Dół i Kozią Szyję, potem wychodzę na Zadola - i wszędzie to samo. Trochę pól uprawnych i ugory. Po miedzach kępy tarniny, dzikiej róży i leszczyn, które tego roku obficie sygnęły orzechami. Mam już pełne kieszenie. A ich smak niepowtarzalny, inny od tych specjalnie planowanych i szczepionych. A jakie zapachy dokoła! W głowie się kręci, w nosie aż łaskocze. Wiele ziół już wyraźnie podsuszonych, inne jeszcze pełne swoich właściwości. Omijam przekwitłe nawłocie, zrudziałe dziurawce, ale skrzypy jeszcze całkiem dorodne na herbaty i kąpiele, aż proszą się o zrywanie. Ciągną się za mną przytulnie i mdłący za-

pach macierzanki, baldachy krwawników zakwitły po raz drugi, prężą się pędy rzepiku i pachnie niedźwiedzi czosnek.

Tak tu było od lat, od wieków. To samo niebo i widoki. Tylko teraz ludzi jakby mniej i spokój większy na polach. Ogarnia mnie cisza prawieku. A może tylko filozoficzna zaduma nad sensem przemijania? Niebawem dopadnie nas martwość zimy, aby za kilka miesięcy ustąpić miejsca witalnej wiosnie.

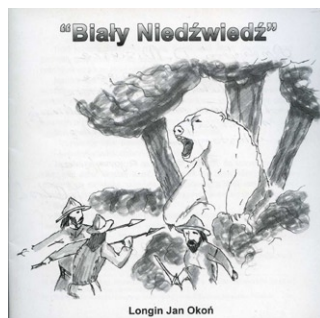
Henryk Radej

Dukaty i legendy

W czerwcu został wprowadzony do obiegu dukat miejski o nominale 6 krasnych. Wykonany został ze stopu Nordic Gold, według projektu Pawła Wojtczaka. Awers przedstawia ostatni i nieistniejący zamek krasnostawski, a rewers - herb nawiązujący do starej, powszechnie funkcjonującej legendy. Przypomina ona skąd wzięła swój początek nazwa miasta i jego godło w postaci dwóch królewskich karpi. Wykonano też niewielką liczbę monet z odwróconym rewersem. Dukat miejski jest również dostępny w formie ozdobnego blistra. Dukat jest w nim zabezpieczony plastikiem i zamocowany na stałe. Blistr zawiera aż 6 stron informacji dotyczących historii i najważniejszych inicjatyw w zakresie edukacji, sportu i ekologii w mieście, dzięki czemu staje się niecodzienną i bardzo atrakcyjną pamiątką. Dukaty można otrzymać w formie reszty i zachować na pamiątkę lub zapłacić za towary lub usługi w wybranych punktach miasta do końca roku.



Podobny środek płatniczy o nazwie 9 dukatów chełmskich wyemitował także w nakładzie 5 000 egz. Urząd Miasta Chełm. Rewers prezentuje wizerunek bazyliki pw. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny oraz herb miasta. Wykonany został z bimetalu, a interesujący projekt dukata wykonał Paweł Wojtczak. W jednej z kolekcjonerskich wersji, dukat wykonany jest ze srebra, a w innej - oprawiony w elegancki, trzykrotnie składany blister, w którym znajduje się specjalna kieszeń, a w niej - niespodzianka. Jest nią miniaturowy tomik zawierający legendę „Biały niedźwiedź” znanego literata Longina Jana Okonia. Przez to niecodzienne wydawnictwo o charakterze literackim, numizmatycznym i historycznym opowiadanie doczekało się już 8 wydania. Upowszechnianie literatury, a tym samym promowanie miasta to pomysłowa inicjatywa. To miłe, że tutaj nie obawiano się postawić na kulturę.



Elżbieta Szadura-Urbańska

Nagroda Mackiewicza z Marszem Niepodległości w tle



Kolejne, dziewiąte już ogłoszenie nagród imienia Józefa Mackiewicza. Co roku czekam na nie jak na święto. Bo w istocie jest to święto - 11 listopada - Dzień Niepodległości. Tym razem dodatkowo, poza nominowanymi do nagrody autorami książek, uwagę przykuwa organizacja marszów niepodległości. Chętnie wybrałabym się na ten mniej kolorowy, ale mój deklarowany patriotyzm okazał się podszyty zajęczą odwagą. „A co będzie jak mnie pobiją?” - w końcu to, opierając się na relacjach topowych dziennikarzy, jest bardzo możliwe. Moje niezłomne sąsiadki, niektóre z małymi dziećmi uczestniczą w marszu, ja czekam na nie w domu i denerwuję się czy zdążymy do Domu Literatury na godzinę piątą po południu. Oglądam relacje w TVN, TVP i zamieram z przerażenia - co tam moje troski o to czy zdążą, one przecież mogą nie wyjść z tego cało! Wracają na szczęście całe i w dodatku roześmiane. Dzieci z biało-czerwonymi chorągiewkami nucą niedopuszczalne z punku widzenia poprawności politycznej pieśni „Bolszewika goń, goń, goń!”. Uczestniczki marszu moje rewelacje przyjmują z niedowierzaniem - Burdy? Podpalenia? Bicie? Krew? Gdzie? Na placu Konstytucji? One opowiadają tylko o tysiącach ludzi, atmosferze radosnej i podniosłej. Można się dziwić, jak się ma mniej niż trzydzieści lat. Starsi oglądali przecież dzienniki TVP i w lot powinni łapać „prawdę czasu, prawdę ekranu” czy, jak to się dzisiaj mówi - „narrację”.

Po drodze na Krakowskie Przedmieście typujemy zwycięzców tegorocznych nagród. Roztrząsamy też czy Stanisław Michalkiewicz - członek jury nie ugnie się pod zarzutem absurdalnych, ponawianych stale zarzutów o antysemityzm. Jedna z nominowanych do nagrody, Agnieszka Kołakowska proponowała wyrzucenie go z kapituły nagrody Mackiewicza, gdyż łączenie jej nazwiska z tak skompromitowaną postacią kompromituje również ją. Swój apel ogłosiła na łamach Gazety Wyborczej, co zabawnie skomentował sam atakowany na swoim blogu: *Rozumiem, że pani Kołakowska wołałaby dostać od „Gazety Wyborczej” nagrodę „Nike”, która w wymiarze finan-*

sowym jest rzeczywiście większa od nagrody im. Józefa Mackiewicza i być może liczy, że w ten sposób zwiększy swoje szanse. Kto wie - może ma i rację. Nie mam więc do niej pretensji, bo czasy są ciężkie i z samego pisania trudno związać koniec z końcem”.

Tak więc „Wojen kultur i innych wojen” wzmiankowanej Kołakowskiej nie ma co roztrząsać jako potencjalnego zwycięzcy. Autorka ogłosiła wszak, że książkę swą wycofuje. - A ktoś wie, o czym to jest? - przepytujemy siebie, siedząc w jak zwykle zatłoczonej sali na pierwszym piętrze Domu Literatury. - To są eseje o współczesnej Europie, wicie globalizacja, te rzeczy, nawet interesujące. Byłam na spotkaniu z autorką - rekomenduje czytelniczka z rzędu za nami. - Ciekawe czy autorka wyłoniła zwycięzcę tych wojen? Coś mi się wydaje, że przewidziałbym jej wskazania - dodaje cierpko starszy jegomość.

- Ja stawiam na Wencła, już tyle razy był nominowany i zawsze zadowolić się musiał wyróżnieniami - wtrąca ktoś inny. Okazuje się, że jest czas, aby udać się do stoiska z książkami i kupić „De profundis” wzmiankowanego poety. Spotkanie się opóźnia. Rafał Ziemkiewicz podobno nie może wydostać się z blokady Marszu Niepodległości. Witany z ogromnym aplauzem, nareszcie jest. - Nasi dziadkowie muszą w grobach się przewracać. Niemcy przyjechali uczyć nas jak mamy świętować swoją niepodległość - te jego słowa też wywołują gorące poruszenie. No, ale najważniejsi dzisiaj są nomino-



Przewodniczący kapituły nagrody im. Józefa Mackiewicza, Marek Nowakowski ogłasza listę autorów nominowanych do nagrody (po lewej - Stanisław Michalkiewicz)
fot. Hanna Jasińska-Hilscher

wani. Przewodniczący Kapituły, Marek Nowakowski odczytuje listę zgłoszonych do nagrody książek. Jak zwykle są to pozycje niszowe, które - niestety - takimi pozostaną również po ogłoszeniu wyników. Księga-



Zbigniew Zarywski, Maciej Urbanowski,
Stanisław Michalkiewicz, Marek Nowakowski,
Rafał A. Ziemkiewicz, Tomasz Burek

rze nie kwapią się wszak ustawiać ich w witrynach, oznaczać adnotacjami z wykrzyknikiem po słowie „zwycięzca”. Zresztą mają one zazwyczaj niewielkie nakłady, a ich wydawcy to przeważnie małe oficyny.

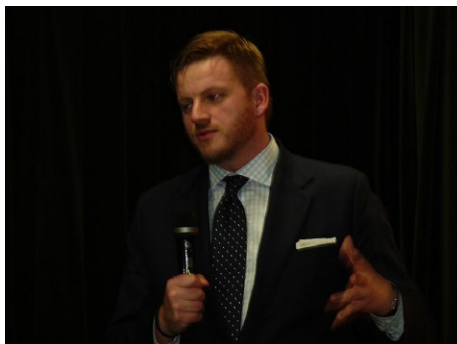
Książki te, jak w dalszej części spotkania skomentował prof. Tomasz Burek, „nie konkurują z jakimiś tam Pilchami, Gretkowskimi itp.”. Miłośnicy książek „od Mackiewicza” mają na szczęście inne czytelnicze gusta. Czyż nie jest przyjemnie być w gronie wybrańców, a ci przecież nigdy nie są liczni.



Janusz Węgiełek. fot. Mirosław Toboła

Pierwsze wyróżnienie przypadło powieści „**Wiślany szlak**” Janusza Węgiełka wydanej przez Regionalne Towarzystwo Powiślan. Nazwisko autora nic mi nie mówi, a powinno. Jak dowiaduję się z laudacji prof. Tomasza Burka, autor jest laureatem nagrody Kościelskich, a jego poprzednia książka „Pochwała szpiega” napisana rok po obaleniu rządu Olszewskiego ukazuje tryumf cynizmu, który - jak sugestywnie przekonuje profesor - zalewa nas również obecnie. Stąd może decyzja pisarza o zajęciu się na podlubelskiej wsi gospodarstwem sadowniczym. I właśnie obserwacje tam czynione pozwoliły mu stworzyć, jak określił to prof. Burek, świat powieściowej pełni. Profesor śledzi różne tropy odczytywania

powieści - jest więc wiślany wątek z Żeromskiego, jest symbolika drogi, są skłócone rytmy różnych światów na polskiej drodze do nowoczesności. Janusz Węgiełek dziękuję swojemu wydawcy, którego twarz wydaje mi się znajoma. - Miałem ogromne trudności, aby namówić Janusza na publikację - po wie mi potem w kularowych rozmowach Wojciech Włodarczyk z Lublina, wydawca „Wiślanego szlaku”.



Szczepan Twardoch. fot. Mirosław Toboła

Kolejny wyróżniony, Szczepan Twardoch jest już dla mnie twórcą bardziej rozpoznawalnym. Wyróżnienie dla jego „**Wiecznego Grunwaldu**” wydane przez Narodowe Centrum Kultury uzasadnił prof. Maciej Urbanowski. Podkreśla dojrzałość młodego autora i trudności w jednoznacznym zakwalifikowaniu jego prozy. Wyróżnioną książkę określa jako gorzką, a nawet rozpaczliwą. *Co nam chce powiedzieć Paszko?* - pyta Urbanowski przywołując głównego bohatera powieści - *Na przykład, że życie to umieranie, mrzenie, Wieczny Grunwald, że „istnienia świata jest przezwieczną Wojną”, tak jak i historia, która jest niekończącą się bitwą, walką, wojną, zabijaniem, przemocą, że owym Wiecznym Grunwaldem są zwłaszcza dzieje polsko-niemieckie. Historia u Twardocha jest z jednej strony tkaniną złożoną z rozmaitych wątków, które się zdarzyły lub mogły zdarzyć, albo jest drzewem o miriadach krzyżujących się, niejasnych, labiryntowych rozgałęzień*”. Charakterystyczna dla Twardocha afirmacja śląskości i krytyczny stosunek do wszelkich nacjonalizmów, w tym również do polskości, powraca również w wystąpieniu pisarza. Swoje stosunek do małych ojczyzn przyrównuje do tego, jaki prezentował patron nagrody Józef Mackiewicz. To wywołuje szepty wśród zgromadzonych i ledwie dosłyszalne komentarze: „ten młodzieniec nie rozumie Mackiewicza”, „to wyróżnie-

nie jest chyba zamierzoną obroną przed zarzutem upolitycznienia nagrody”. Bez względu na stosunek do komentarzy należy przyznać, że literackie kreacje autora są wyrazem jego nieprzeciętnego talentu.



Wojciech Wencel. fot. Mirosław Tobola

Talentu, tym razem poetyckiego, na pewno nie sposób odmówić głównemu laureatowi. Nagrodę główną uzyskał Wojciech Wencel za tomik poezji „**De profundis**” wydany przez Arcana. Wielbicielką twórczości gdańskiego poety jestem już od dawna. Zazdroścnicy, a może głównie polityczni oponenci chcą mu dorobić „gębę”. Traktują z pogardą, czego niechlubny dowód dał Krzysztof Varga w felietonie zamieszczonym w Gazecie Wyborczej, tuż po ogłoszeniu tegorocznych zwycięzców nagrody Mackiewicza. Pogarda niegodna kogoś, kto również zajmuje się słowem, jednak pewnie zrozumiała, biorąc pod uwagę inne popisy Vargi - wyszydzanie dzienników siostry Faustyny Kowalskiej czy gorąca obrona Brunona Jasieńskiego. Bóg z nim, to znaczy - z Krzysztofem Vargą.

Wielki żal, że laureat jest odcięty od głównego obiegu poetyckiego. Większość nie ma pojęcia kto to jest Wojciech Wencel. Czytelnicy prasy prawicowej utożsamiają go raczej tylko z felietonami publikowanymi w „Gazecie Polskiej”. Autor nie ukrywa swoich politycznych sympatii. Niemniej ktokolwiek, bodaj elementarnie wrażliwy na poezję, nie może dostrzec w jego twórczości wartości uniwersalnych. Rafał Ziembkiewicz w laudacji podkreślił arcy-polskość, patriotyzm i katolicyzm nagrodzonego poety. To poezja obywatelska - mówił Ziembkiewicz. Na marginesie dodam, że wspaniałe wyjaśnienie czym jest poezja polityczna dał w posłowie do swoich „Wierszy politycznych” inny wielki współczesny poeta - Jarosław Rymkiewicz. Oczywiście, można nie mieć o tym pojęcia, ale czy godzi się wówczas prostacko naśmia-

wać z pomysłów pisania wierszy np. o Jarosławie Kaczyńskim?

Wracając do laudacji. *Cały z Mickiewicza* - powiedział Ziembkiewicz o gdańskim poecie. Na poparcie swoich słów przeczytał jeden z wierszy zamieszczonych w tomiku.



Rafał Ziembkiewicz wygłasza laudację „De profundis” Wojciecha Wencela. fot. Hanna Jasińska-Hilscher

*Znalazłem igłę w stogu siana - to był Bóg
w jej uchu tkwiła mocna nić - to był honor
po nitce trafiłem do kłębka.*

Wencel w „De profundis” przywołuje poległych w powstaniu warszawskim, ofiary mordów na Wołyniu, zamordowanych w kazamatach UB i tych, którzy życie stracili w smoleńskiej katastrofie.

- *Patrzyły na mnie jak w lustro oczy dawnych poległych* - powie, odbierając laur zwycięzcy. Odda też cześć patronowi nagrody, który jest dla niego ważny zarówno jako niezrównany piewca krajobrazu historycznego Kresów, wzór nonkonformisty i świadek Katynia, który wziął na swoje barki ciężar świadectwa mordu Bolszewików.

- *Poezja jest poszukiwaniem prawdy o historii, Bogu i człowieku* - takimi słowami zakończył Wojciech Wencel swoje wystąpienie przed publicznością zgromadzoną na uroczystości.

Wracamy do domu w milczeniu, kartkujemy zakupione tomiki „De profundis”, potem wpadamy sobie w słowo cytując genialne strofy.

Jeszcze tego wieczoru dopadnie nas przywoływany przez prof. Tomasza Burka tryumf cynizmu. „Czy były jakieś hasła nawołujące do nienawiści” - zapyta w telewizji dociekliwy dziennikarz swoją koleżankę relacjonującą marsz niepodległości. - Tak, były: „Bóg, Honor, Ojczyzna”...

Elżbieta Szadura-Urbańska

Nagroda im. Józefa Mackiewicza po raz pierwszy została wręczona w 2002 roku. Przyznawana jest dziełom ze względu na ich walory literackie oraz tematykę - ważną kulturowo, społecznie lub politycznie. Do konkursu zgłaszane są zarówno utwory literackie, jak i publicystyczne. Tradycyjnie nagroda im. Józefa Mackiewicza wręczana jest 11 listopada. W kapitule nagrody zasiadają: Marek Nowakowski (jako jej przewodniczący), Halina Mackiewicz - córka patrona nagrody, prof. Jacek Bartyzel, dr Tomasz Burek, Jan Michał Małek, Stanisław Michalkiewicz, prof. Jacek Trznadel, prof. Maciej Urbanowski, Zbigniew Zarywski i Rafał Ziemiakiewicz.

Wojciech Wencel



Biała magia

We śnie widzę to miasteczko: jest niedziela
przez plac idą dwie kobiety do fryzjera
inni modlą się w kościele z krzywą wieżą
jednocześnie w Boga wierząc i nie wierząc

cały obraz utrwalony w negatywie:
z klatki w klatkę przesuwają się ulice
w szybach okien drżą posady tego świata
ktoś coś woła ale nikt nie odpowiada

zasypane czarnym śniegiem torowisko
dzieci z trudem ciągną sanki za horyzont
gdzie od mrozu przeży się cięciwa strugi
w szczerym polu spacerują białe kruki

ciemno wszędzie głucho wszędzie co to będzie
czarna zima ścina świerki za miasteczkiem
ściana lasu przełamana wąską ścieżką
idą święta ale dojść im będzie ciężko

kto tam mieszka w głębi lasu kto tam płacze -
cienie tych co teraz klęczą przed ołtarzem
pobielone jak nagrobki z trwogą patrzą
jak się krztusi ich przewodnik: czarny anioł

Przez ziemię

Nie ma zbawienia jak tylko przez ziemię
jak szare ziarno młyn na mąkę miele
tak nas rozkłada na cząsteczki woda
rzeka hucząca w podziemnych ogrodach
do wnętrza kuli pcha nas grawitacja
piasek nam z czasem szkielety osacza
a ponad nami wiatr do ziemi chyli
tych którzy jeszcze umrzeć nie zdążyli
kręcą się skaczą wołają do nieba
a ono składa milczący poemat
i czeka aż się przetoczą przez glinę
ich ciała słabe choć takie ruchliwe
patrz: już przyciska je wiatr do podłogi
na rynku burmistrz upada na chodnik
i całe miasto kolana ugina
w szkołach cukierniach kościołach melinach
i nikt nie może reguły tej zmienić:
bydło nas depta pył wzbija się z klepisk
tłamsi nas dusi urabia horyzont
a dzieci nad nim gwiazdy liczą

De profundis

Pamięci Andrzeja Trzebińskiego

Z głębokości wołałem do Ciebie Panie
a Tyś mnie ogniem namaścił jak mirrą
i stałem się żywą pochodnią tragarzem mocy
w rodzinnym kraju rozświetlałem drogę umarłym
i dostrzegli ślad Twojej stopy na brzegu rzeki
nieduże wgłębienie na piasku pośród wierzb
i przychodzili po ogień którym moje ciało
zajęło się od Twojego jak od świecy paschalnej
śpiewali psalmy dziękczynne łamali chleb
bo byli martwi a ożyli zaginęli a odnaleźli się
i ruszyliśmy ognistą procesją do kresu nocy
okiennice mijanych domów zatrzaśkiwały się
węże drutów kolczastych kąsały nam pięty
lecz widać było z oddali że płoniemy a nie ginimy
kapiemy się w ogniu a nie spalamy się
aż po czterdziestu latach wędrówki
w ciemnej dolinie zaczęły migotać światła
malerńkie jasne punkty na mapie imperium
i było ich coraz więcej więcej więcej
wspieliśmy się na górę żeby objąć całość
i stamtąd zadziwieni ujrzeliśmy milion gwiazd
zupełnie jakby ktoś pochylał się nad śpiącym
kontynentem i szepcząc ojcowską modlitwę
okrążył go płaszczem nieba

Moje wiersze są martwe

Moje wiersze są martwe - wrażliwi krytycy
piszą im nekrologi w codziennych gazetach
nikt się nie posługuje nimi na ulicy
nie przyznaje się do nich współczesna poezja

są martwe leżą ciasno pomiędzy sztywnymi
okładkami nakryte prześcieradłem stronic
jak trupy wicherzycieli i nie mają siły
by przeciw komuś powstać albo czegoś bronić

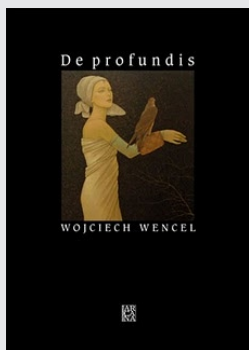
nagie w strzępach mundurów umazane błotem
zachowały tytuły jak nieśmiertelniki
lecz dla młodych junaków są anonimowe
wybite czarną czcionką w lasach republiki

siedzę przy nich pilnuję by ich nikt nie wywiózł
w niewiadomym kierunku przed dniem ostatecznym
wieczorami zapalam im lampę oliwną
balsamuję ich zwłoki kurzem z biblioteki

znam ich pleć kolor oczu grymasy na twarzach
na niedzielę zakładam im czyste koszule
czytam ich sny pośmiertne jak z elementarza
kołysząc w swoim cieple ich zbawione dusze

grudzień 2010

Wojciech Wencel urodził się 16 lutego 1972 r. Poeta i publicysta. Laureat m.in. Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza, Nagrody Fundacji im. Kościelskich, Nagrody im. Franciszka Karpińskiego, Nagrody im. Kazimierzy Iłakowiczówny i Nagrody im. ks. Janusza St. Pasierba. Ostatnio wydał tomy wierszy „Podziemne motyle” i „De profundis” oraz wybory felietonów „Niebo w gębie” i „Wencel gordyjski”. Felietonista tygodników „Gość Niedzielny” i „Gazeta Polska”. Stały współpracownik dwumiesięcznika „Arcana”. Mieszka w Matarni na peryferiach Gdańska.



Wojciech Wencel
De profundis
Wydawnictwo Arcana,
2010.

Andrzej D. Misiura



Iwaniuk trwa



Tym razem szczęśliwcem okazał się Czesław Markiewicz. To on wywiózł, aż do Zielonej Góry, główną nagrodę w postaci 100 autorskich egzemplarzy swojego tomiku poetyckiego pt. *80. urodziny Marilyn Monroe*. Laureat V Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Wacława Iwaniuka - Siedliszcz 2011 wyłoniony został spośród 38 autorów zgłaszających swoje zestawy wierszy. Rozstrzygnięcie odbyło się 22 października 2011 roku podczas dorocznej Siedliskiej Biesiady Literackiej. Organizatorami imprezy byli: Hieronim Zonik - wójt i Urząd Gminy Siedliszcz, miejscowy Gminny Ośrodek Kultury, Wydawnictwo TAWA w Chelmie i Pismo Literacko-Artystyczne „Egeria” prowadzone przez Waldemara Taurogińskiego. Jury stanowili: Robert Gałan, Danuta Makaruk i Andrzej D. Misiura. W uzasadnieniu werdyktu napisali: *Osią wiążącą utwory nadesłane w zestawie pt. „80. urodziny Marilyn Monroe” są kobiety. Nie są to jednak postacie sentymentalne, wiotkie i niewinne. Poeta obnaża prawdę o ich skomplikowanej i niejednorodnej naturze, marzeniach i oczekiwaniach, relacjach z mężczyznami, stosunkiem do samych siebie. Zaskakuje spostrzeżeniami z prozaicznej codzienności, które równoważy demaskowaniem drapieżnych, a nawet obscenicznych zachowań „żon bliźniego”. W jego poezji kobieta jest matką, żoną, kochanką, babką i córką. Jest jednocześnie święta i grzeszna, pokorna i nieugięta, oddana i niewierna. Aby wyrazić istotę jej osobowości, poeta sprawnie posługuje się językiem, sięgając po ciekawe i zaskakujące metafory.(...)*

Wręczono pamiątkowe medale, na których uwieczniony został patron konkursu, Wacław Iwaniuk. Powiedziano też kilka słów na temat różnorodności form zapisu poetyckiego, czego świadectwem były prace konkursowe. A należy też dodać, że większość z nich kwalifikowała się na



Hieronim Zonik
fot. Robert Gałan



Czesław Markiewicz. fot. Robert Gałań

całkiem przyzwoity tomik. Biesiadę uświetnił autor-
ski monodram chełmskiej poetki Teresy Pyc. Póź-
niej laureat Czesław Markiewicz z pasją opowiadał
o swojej pracy zawodowej i podpisywał własne
książki. Odwzajemniano mu się lokalnymi wydaw-
nictwami, które jednak szybko przekroczyły limit



podręcznego bagażu... Trwały jeszcze jakiś czas
twórcze rozmowy przy bogato zastawionym stole,
a my (Henryk Radej i Andrzej D. Misiura) korzysta-
jąc z okazji uzyskaliśmy zgodę na publikację wierszy
Czesława Markiewicza w Nestorze.

Andrzej D. Misiura

Czesław Markiewicz

Deadline erotyk

dzieli nas ściana
klawiatury. Model KB-6. wychylał się z okna
komórki. Nokia N77. piksele zakładają gniazda.
Ona - nie wie czy już się budzi. Ja - czy jeszcze nie zasypiam
chcemy zasypiać i budzić się w tych samych ustawieniach.
Modem GPRS. Kiedyś powiedziałbym: w tym samym miejscu.
Albo żeby między nami nie zdychały lecące motyle. Słychać
tuner. TV USB 2.0. ona - nagle zawija do Portu IR. Pęka eter.



Ja - ogłuszam ciszę. Skądś. Być może stąd ten doniosły szept.
Ona - modli się. Jakby pożerała wargami mgłę po kawalku.
Ojcie nasz, w zasadzie i bez wyjątku, spraw się:
Żeby z tego radia nie wylaływały bombowce.
A jeśli potop, niech będzie lazurowy. A jeśli mrok, niech
zamroczy nagość, którą po ciemku przykrywam bezwstydnie
pierzem. A jeśli kwiaty, z tej ziemi nade mną, których szukam
w tomach i po bibliach, jakbym nie potrafiła po prostu posadzić
pod oknem czulego zapachu piwonii, niech wędzną w rocznice
oraz jubileusze na co dzień i od święta. Żeby nie musiała
oglądać własnych pleców, przywiązywać się do wszystkich
końców i początków. Żeby nie chciała ugryźć tego jabłka,
nie dlatego, że jest robaczywe. Żeby wąż i w ogóle z krwią.

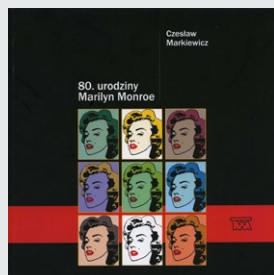
Ja - cóż.

Moje pragnienia są coraz bardziej purpurowe. Pojawiam się
Na ekranie w rozchwianej rozdzielczości. Jestem
Kostką lodu w twoim klimatyzowanym interfejsie.

80. urodziny Marilyn Monroe

widuję stare kobiety które z powodów że stare i kobiety
złośliwie wyciągają nogi załamują ręce zgrzytają zębami
kiedy pytam o godzinę odpowiadają z grafomańską precyzją
że ich zegarki późnią się o westchnienie
jedząc budyń spuszczaają wstydlivé powieki
jakby rozmazywały włókna szarego mięsa
ich szczotki do włosów utknęły gdzieś o włos
pną się po schodach jak bluszcz po spróchniałym drzewie
ściągnięcie bielizny jest jak skalpowanie tysego
na młodych mężczyzn popatrują
jakby o krok od poronienia wily gniazda bociany
w ogóle mężczyźni pogrzebani w talii tarota
albo przegrani w amerykańskiego pokera

widuję stare kobiety które już wiedzą
że żywe piękno się nie uniwersalizuje
bo nie ma nic bardziej niesprawiedliwego niż wędnięcie róży



Czesław Markiewicz,
80. urodziny Marilyn
Monroe, Wyd. TAWA,
Chełm 2011, ss. 40.

Henryk Radej

 Święta ostatnie?


Za rok może być zupełnie inaczej. Może to już ostatnia taka jesień? Może to już ostatnia na tym świecie tak urokliwa niedziela? Trudno uwierzyć, ale coraz głośniejsze o tym, że nadchodzące święta Bożego Narodzenia mogą być ostatnie w historii naszej cywilizacji. I miałyby już nigdy potem nie być sylwestra i Nowego Roku? Niemożliwe! Coś takiego mogli wymyślić tylko okrutni Majowie, którzy nie wiedzieli, jak w ten jedyny wieczór smakują wigilijne śledzie, albo jak w sylwestra o północy musuje rosyjski szampan. W najgorszych snach trudno o takie wizje, jakie snują katastrofiści, inspirowani starożytnym kalendarzem Majów, który kończy się akurat 21 grudnia 2012 roku. Potem ma nie być nic. Jednym słowem - koniec świata!

Całe szczęście, że zdążymy jeszcze „charatnąć w gałę”, czyli sprawdzić, jak nowe stadiony i drogi wytrzymają zamieszanie związane z „Euro 2012”. Ciekawe, kto zostanie mistrzem i czy polska drużyna strzeli chociaż jednego gola komukolwiek? Ale, jakie to wtedy będzie miało znaczenie? Przecież za niecały rok wszystko rozsypie się w pył, gdy kometa zatopi swoje jądro (a potem ogon!) w Atlantyku. Kto pamiętać będzie o golach i pucharach, gdy fale tsunami porwą kolorowe reklamy i trybuny dla kiboli? Głównie dalej, że akurat potop dałoby się jakoś przeżyć, uciekając na wzgórza Roztocza lub Pagóry Chełmskie. Jak jednak żyć dalej, gdy Słońce ziać będzie zjonizowaną lawą ognistą i Ziemia fiknie koziołka? Przecież wszystko przekreśli się do góry nogami. Ale, ale..., gdzie wtedy będzie góra, a gdzie dół i niby względem czego? Na dodatek mają się przestawić bieguny: południe będzie na północy, a północ tam gdzie teraz południe. Siłą rzeczy, słońce wędzie na zachodzie, a zajdzie na wschodzie. Wiatr słoneczny ma jeszcze zdmuchnąć magnetosferę Ziemi, co wykasuje wszelki zapis elektroniczny na jakimkolwiek nośniku. Wyczyści to dyski twarde w komputerach i znikną wszelkie dane (także filmy!) na CD. Przeszną działać telewizory, lodówki i telefony komórkowe! Papierowe książki rozbłyszczą jak pochodnie, a stare płyty analogowe z muzyką

stopią się jak... masło. No właśnie, a co stanie się z moim ulubionym masłem z „Bielucha”? Wyparuje? Tego faktycznie mogą nie przeżyć!

Próbuję odpędzić od siebie te futurystyczne koszmary, ale nie jest to takie łatwe. Już zimny pot czuję na plecach i zaczynam nerwowo przebieierać w miejscu nogami. Spokojnie, tylko spokój może nas uratować! A tu jeszcze święta tuż, tuż... Wypadałoby w związku z tym końcem świata jakoś godnie i z fantazją je przygotować i przeświętować, skoro mają być... ostatnie. Może tym razem bez choinki i karpia? Niech pożyją sobie jeszcze rok dłużej. Tylko jak przekonać do tego dzieci i żonę? A co z prezentami? Po co komu te błyskotki w kolorowych pudełkach? Z czego się cieszyć, gdy za rok nie doczekamy Wigilii. A może w tym roku urządzić sobie podwójne święta i czynić wszystko po dwakroć, jako że za rok już się nie da? Gdyby tak postawić w domu dwie choinki, zaśpiewać dwa razy więcej kolęd, zjeść dwie wieczery - oczywiście, wszystko na rzecz roku 2012. Tylko, czy wytrzymają to nasze domowe budżety i żołądki? A i nieszczęście gotowe, gdy w ślad pójdą znajomi i wypiją dwa razy więcej wódki niż zwykle. To chyba nie najlepszy pomysł. A w kościele i tak będzie tylko jedna pasterka, bo drugiej północy nie da się ogłosić. Czasu nie można oszukać. Akurat pracuje on na naszą niekorzyść i z każdym tyknięciem zegara, coraz bliżej nam do 21 grudnia 2012 roku.

Cóż więc mamy robić? Może, jak nigdy, wyjechać na święta do egzotycznych krain i nie przejmować się niczym? Udać, że świąt już nie ma, a za rok będzie co ma być. Że też Pan Bóg musiał osadzić człowieka na tak kruchej planecie! A tę komętę, co leci podobno na nas, nie mógłby pacnąć po łbie i skierować gdzieś w dzikie ostępy kosmosu? W przeciwnym wypadku wyginie jak dinozaury! To trochę nielogiczne, bo na co Panu Bogu wszechświat bez ziemi i ludzi? Przecież tylko nas stworzył „na obraz i podobieństwo”. Tym samym, nie powinien się zdarzyć żaden koniec ziemskiego świata! Jeśli już - niech wali się wszystko! Jak szaleć - to szaleć! Od krańca po krańce. Przynajmniej nikt nikomu nie będzie zazdrościł, że miał szczęście i się ostał.

A jeśli to wszystko strachy na Lachy, i ktoś ma interes w szerzeniu takich wizji i przepowiedni? Zawsze przy okazji można coś sprzedać, trochę postraszyć, napędzić ludzi do jakiejś sekty. Osobi-

ście nie znam ani jednej przepowiedni, która by się spełniła, a w swoim życiu czytałem ich sporo. W Biblii jest napisane, że nikt poza samym Bogiem nie zna tej daty: *Ale o tym dniu i godzinie nikt nie wie: ani aniołowie w niebie, ani Syn, tylko Ojciec* (Mar 13,32). A skoro nikt tego nie zna, więc nikt nie ma prawa ogłaszać takich rewelacji i mącić ludziom w głowach. W XX wieku i na przełomie stuleci udało się nam przeżyć już niejeden „koniec świata”. Najczęściej różne daty wskazywali świadkowie Jehowy oraz Adwentyści Dnia Siódmego - i nic. Świat (ziemia) nadal się kręci, a słońce przyjemnie grzeje. Zdarzeniem, które istotnie może nam się przytrafić w najbliższym czasie, jest koniec obecnej cywilizacji, a właściwie kres obecnego porządku świata. Można to oczywiście nazwać końcem świata, ale byłby to raczej tylko koniec „naszego świata”. Moim zdaniem, nie ma czego żałować. Na pewno nie będzie gorzej.

Nie mam wątpliwości, że Majowie nie mieli żadnych proroczych zdolności. Przecież nie potrafili nawet przewidzieć prawdziwego końca własnego świata. To, że urwał im się kalendarz na 21 grudnia 2012 roku - o ile dobrze wyliczono tę datę - mogło wynikać z wielu powodów. Może nie chciało im się wykuwać w kamieniu znaków na kolejnych ponad 3 tysiące lat? Jak twierdzą historycy, około 900 roku naszej ery Majowie, nie wiadomo czemu, porzucili swoje miasta i poszli sobie, nie wiadomo gdzie. A my się teraz stresujemy. Najwyższa pora wyjść z domu na grzane piwo, a po drodze kupić choinkę. Jedną! Do siego roku!

Henryk Radej

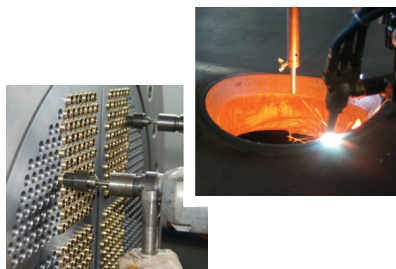


Justyna Ślusarczyk, Krasnystaw
justinaslusarczyk@interia.pl tel. 609 653 211

ENERGOREMONT Sp. z o.o. to stuosobowa firma inżynierska z ponad 22 letnim doświadczeniem specjalizująca się w produkcji, modernizacjach i remontach płaszczowo-rurowych wymienników ciepła stosowanych powszechnie w energetyce zawodowej, przemyśle papierniczym i chemicznym oraz w cukrownictwie.



Oferta ENERGOREMONT Sp. z o.o. opiera się na własnej opatentowanej technologii remontowej uzupełnionej o nowe technologie produkcyjne, przy zachowaniu najwyższych standardów jakości oraz dbałości o środowisko naturalne i bezpieczeństwo ludzi. Oferta obejmuje projektowanie, prefabrykację i montaż oraz sporządzenie pełnej dokumentacji powykonawczej, przeprowadzanie prób ciśnieniowych oraz zgłoszeń do odbiorów dozorowych.





Góry nagród

w drugiej edycji loterii

TWOJE KONTO Z PREZENTAMI!

SAMOCHÓD GWARANTOWANY DLA KLIENTÓW BS KRASNYSTAW

Zapraszamy

Krasnystaw, ul. Mostowa 25
tel. 82 576-17-18
poniedziałek - piątek 7:30 - 17:00
sobota 7:30 - 14:00

Fajslawice 106
tel. 81 585-30-40
poniedziałek - piątek 7:30 - 15:15

Gorzków, ul. Główna 11
tel. 84 683-83-72
poniedziałek - piątek 7:30 - 15:15

Łopiennik Nadrzeczny
tel. 82 577-31-13
poniedziałek - piątek 7:15 - 15:00

Siennica Rozana 259C
tel. 82 575-29-15
poniedziałek - piątek 7:30 - 15:15

Turobin, ul. Piłsudskiego 2
tel. 84 683-33-59,
poniedziałek - piątek 7:30 - 15:15

Zółkiewka, ul. Hetmana Zółkiewskiego 10
tel. 84 683-16-66
poniedziałek - piątek 7:30 - 15:15



Sprzedaż promocyjna trwa
od 1 października 2011 roku do 31 stycznia 2012 roku.

Wyślij SMS-a pod numer **7055** z prawidłowym kodem uprawniającym
do udziału w Loterii, w okresie trwania sprzedaży promocyjnej
lub wpisz kod na stronie www.twojekontozprezentami.pl.
Koszt jednej wiadomości SMS wysłanej pod powyższy numer
wynosi 0,50 zł netto (0,62 zł brutto); kody uprawniające do udziału
w loterii są dostępne w placówkach biorących udział w Loterii.

Regulamin "Loterii Twoje konto z prezentami
Druha Edycja" dostępny jest na:
www.twojekontozprezentami.pl
oraz w placówkach Banków z Grupy BPS
Infolinia: 0 801 321 456
www.GrupaBPS.pl

*Samochód gwarantowany dla BS
Krasnystaw. Dodatkowo spośród klien-
tów BS Krasnystaw będą losowane po-
zostałe nagrody.

Założ rachunek ROR

w jednej z 3000 placówek
Grupy BPS i wygraj
cenne nagrody!

356

telewizorów
SHARP

560

notebooków
ASUS

24

samochody
CHEVROLET
SPARK



Grupa BPS

Banki Spółdzielcze i Bank BPS

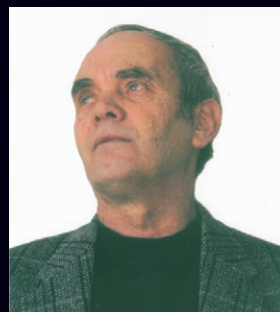
Grupa BPS
Oficjalny Sponsor
Reprezentacji Polski
w Pielce Nożnej



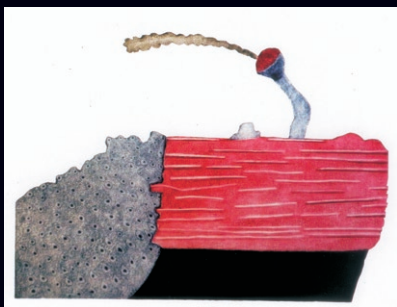
Krasnostawski Katalog Firm.pl

REJESTRUJ SWOJĄ FIRMĘ W NASZEJ
WYSZUKIWARCE I BĄDŹ WIDOCZNY - BEZPŁATNIE!
SZEROKA OFERTA USŁUG
PROMOCJA DLA ZAREJESTROWANYCH
PRZED 20 GRUDNIA 2011r., SZCZEGÓŁY NA:
www.krasnostawskikatalogfirm.pl

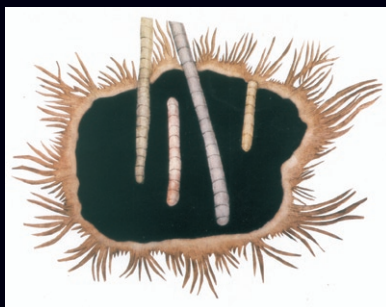
W 1964 roku ukończył Wydział Sztuk Pięknych UMK w Toruniu. Około 40 lat był związany z pracą naukowo-dydaktyczną na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Początkowo pracował w Instytucie Wychowania Plastycznego na Wydziale Pedagogiki i Psychologii, potem w Międzywydziałowym Instytucie Artystycznym, a następnie w Instytucie Sztuk Pięknych na Wydziale Artystycznym. W swojej karierze naukowo-dydaktycznej przeszedł wszystkie szczeble, począwszy od asystenta do profesora. Pełnił różne funkcje, m.in. był zastępcą dyrektora Instytutu (w latach 1993-96), kuratorem Zakładu Teorii i Metodyki Wychowania Plastycznego (1997-99), kierownikiem Zakładu Grafiki Warsztatowej II (2000-2006). Został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej i Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Od 1964 roku jest członkiem ZPAP.



prof. Zdzisław Niedźwiedź



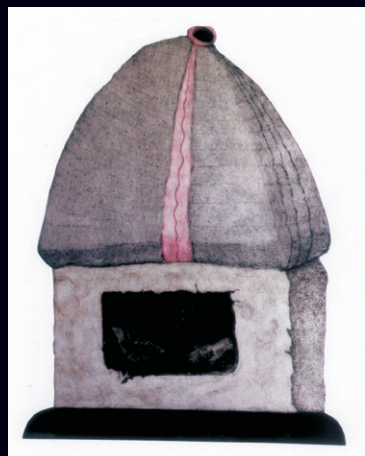
Na zewnątrz XVI - suchoryt, elektrotinta, 46,5x65; 2009 r.



Na zewnątrz XV - suchoryt, elektrotinta, 50x65; 2009 r.



Na zewnątrz XVIII - suchoryt, elektrotinta, 65x49; 2009 r.



Na zewnątrz - suchoryt, elektrotinta, 64,5x49; 2004 r.



Na zewnątrz XIII - suchoryt, elektrotinta, 64x48; 2009 r.



Cialo amorficzne I - suchoryt, elektrotinta, 46,5x37; 2001 r.



Na zewnątrz XIX - suchoryt, elektrotinta, 70x49,5; 2009 r.



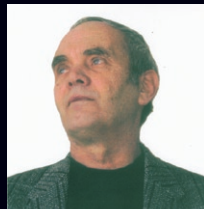
Cialo amorficzne XI - suchoryt, elektrotinta, 65x48; 2009 r.



Na zewnątrz XIV - suchoryt, elektrotinta, 64x49; 2009 r.

prof. Zdzisław Niedźwiedź

W dorobku artystycznym posiada około 20 wystaw indywidualnych i około 100 wystaw zbiorowych, w tym 12 międzynarodowych. Prace znajdują się w zbiorach prywatnych i instytucjach w kraju i za granicą.



GALERIA JEDNEGO OBRAZU



Z wnętrza ziemi VI - suchoryt, elektrotinta, 62x49; 2004 r.